

Krystyna Śmigielska
Ty to głupia jesteś

Wydawnictwo Skrzat Kraków 2007

© Copyright by Krystyna Śmigielska Edycja © Copyright by Skrzat, Kraków 2007 Redakcja:

Maria Kasza Skład i projekt okładki: Aleksandra Kowal

ISBN 978-83-7437

gródniejska Biblioteka Publiczna

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski 31-202 Kraków, ul. Prądnicka 77 tel.

(012) 414 28 51 wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiędź naszą księgarnię internetową: www.skrzat.com.pl

— Ty to głupia jesteś, wiesz?! — krzyczała podekscytowana Magda. — W ten sposób nigdy nie znajdziesz męża!

— Łatwo ci mówić — próbowałam się bronić. — Twój Igor sam się znalazł.

— Sam?! Też coś! Szczęściu należy dopomóc! Żaden się sam nie znajdzie. Nie wierz w cuda! — śmiała się Magda.

— Dopomóc? Jak? Mam dwadzieścia dziewięć lat i dotąd nie spotkałam nikogo sensownego — żaliłam się.

— Bo źle szukasz! Kto to widział — w twoim wieku włóczyć się po dyskotekach... Tam tylko cnotę możesz stracić — spojrzała na mnie podejrzliwie.

— No co ty? — obruszyłam się. — Chętnie bym ją straciła, ale ten towar już nie jest dostępny w moim sklepie — odparłam zażenowana jej aluzją. — Opowiadałam ci przecież o Tomku...

Prawdę mówiąc, nie znałam nigdy żadnego Tomka. Wymyśliłam byłego kochanka. Chwilami robiło mi się go żal. Koleżanki drwiły z niego, obrzucały błotem, nie zostawiały na nim suchej nitki.

— Ten bydlak, Tomek, nieźle cię urządził. To przez niego nie możesz znaleźć porządnego faceta. Wykorzystał cię i rzucił. A ty dalej latasz po dyskotekach i zadajesz się z małolatami!

4

Ty to głupia jesteś!

— To gdzie mam szukać księcia z bajki? Nie będę stała pod latarnią i proponowała seksu w zamian za małżeństwo!

— Pani Irmino! Proszę do mojego gabinetu! — usłyszałam za swoimi plecami.

No tak! jak zwykle musiałam palnąć głupstwo w najmniej odpowiednim momencie. Wyrzuciłam mnie z pracy i to nie za spóźnianie się, nie za niewywiązywanie się z obowiązków, tylko za totalną głupotę! Rzuciłam spojrzenie pełne pogardy prosto w twarz Magdy. Niech wie, że też jest winna! Wzięłam głęboki wdech, powoli wstałam i pomaszero wałam na rzeź niewiniątka (czyli mnie), prosto do jaskini smoka (czyli do gabinetu dyrektora).

— Dobrze zna pani zasady obowiązujące w naszej firmie — szef zaczął kazanie, a ja pomyślałam, że to chyba nasze ostatnie tete-a-tete, ponieważ nie poprosił mnie, bym usiadła. Stałam więc z opuszczoną głową, zamkniętymi oczami, skruszoną miną, nie słuchając potoku słów wypowiedzianych na mój temat. Docierały do mnie tylko poszczególne wyrazy, które odliczałam na palcach dłoni, schowanych za plecami.

— Rozmowy... terminy... sprawozdania... klienci... powaga... szacunek... prywatne sprawy... praca... dom... i te pani trafne spostrzeżenia na tematy matrymonialne. Proszę, naprawdę bardzo panią proszę, nie w pracy! Czy dobrze się rozumiemy? — zakończył dyrektor.

Z całą pewnością rozumielibyśmy się jeszcze lepiej, gdybyś był kawalerem — myślałam. Nie miałam jednak wyjścia i musiałam przyznać mu rację.

— Tak, panie dyrektorze.

Widocznie dobrze odegrałam skruszoną owieczkę, bo przełożony złagodniał i na pożegnanie starał się mnie pocieszyć.

— Naprawdę życzę pani szybkiego wyjścia za mąż. Dzień pani ślubu będzie i dla mnie dniem wyjątkowym! Mam nadzieję, że po

5

Krystyna Śmigielska

nim zapanuje spokój i upragniony ład w pani dziale, a nasza firma na tym bardzo skorzysta.

— Wezmę to pod uwagę i zapewniam pana, panie dyrektorze, że dołożę wszelkich starań, aby był pan ze mnie zadowolony - odparłam wyzywająco.

Odwrociłam się na pięcie i z ulgą wróciłam do Magdy. W drzwiach zapowiedziałam:

— Żadnych prywatnych rozmów o mężczyznach!

— Dobrze już dobrze! — śmiała się. — Co ci Tadzio powiedział?

— Stwierdził, że będę wydajniejsza, jeśli zaspokoję swoje potrzeby seksualne. Nie wiem tylko, kiedy do tego dojdzie. Wielka szkoda, że on jest już żonaty. Nadałby się jak nic!

— Przystojny! Owszem. Tomek do pięć mu nie dorasta! I na stanowisku. To też się liczy. Niestety, zajęty, a żaden mężczyzna z odzysku już tak nie smakuje - Magda się zamyśliła. - Chociaż, czy ja wiem, może warto spróbować? Jak myślisz?

— Odbiło ci na stare lata czy co? Mam się jeszcze bawić w rozbijanie rodziny? Nigdy!

Widziałaś jego żonę?

Spojrzała na mnie podejrzliwie, taksując.

— Widziałam, fakt, laska z niej pierwsza klasa. Może jeśli zmieniłabyś uczesanie, zrobiła wyzywający makijaż, kupiła ekstra ciuchy i rzuciła palenie...

— I za matkę chrzestną miała dobrą wróżkę — dokończyłam. — Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Do tego trzeba mieć jeszcze charakter i umiejętność kochania się na biurku.

Musiałabym to dobrze przećwiczyć!

— Po co zaraz na biurku? Można i pod biurkiem. Chodziłabyś do niego z kocykiem... — zawiesiła głos.

Nie musiałam się oglądać, żeby wiedzieć, co się dzieje za moimi plecami. Zastygłam w bezruchu, praktycznie skamieniałam. No to koniec! Wyrzuci mnie, jak amen w pacierzu! Nie będzie już łagod-

6

Ty to głupia jesteś!

nych pogadanek, dyskretnej perswazji i pobożnych życzeń dotyczących zmiany mojego stanu cywilnego.

Magda robiła dobrą minę do złej gry. Przewracała zalotnie oczkami i przekładała faktury z miejsca na miejsce, demonstracyjnie symulując ciężką pracę. Nagle, jakby natchniona, spojrzała przeze mnie i zwróciła się do ciągle stojącego tam dyrektora.

— Pan do nas, panie dyrektorze? — spytała słodziutkim głosem. — W czym możemy panu pomóc?

— Słów mi brakuje, pani Magdo! Nie mam już siły. Nie chcę tego robić, proszę mi wierzyć, ale będę zmuszony rozdzielić panie. Postawimy tu ściankę działową! Co ja mówię — mur! Panie są niereformowalne! Do pracy! — ostatnie zdanie zabrzmiało nieprzyjemnie.

Bezmyślnie przyglądałam się rozłożonym przed sobą papierkom.

— Poszedł — wyszeptwała Magda. — Wściekł się dzisiaj czy co? Ciągle się szwenda. Nie można spokojnie popracować. Słuchaj, a może przez Internet? Próbowałaś?

— Daj spokój! Jeszcze trafię na jakiegoś zбочeńca! Ani mi się śni! — broniłam się.

— Nie wiem — przyznała. — Ja w sieci nie siedzę, ale...

— Na czat czasem wchodzę, ale boję się odezwać. Diabli wiedzą, kto jest po drugiej stronie — zastanowiłam się. — Jest tam taki jeden. On też zawsze milczy. Ma fajny nick.
— A jednak! — śmiała się Magda. — Opowiadaj! Kim jest ten facet?
— Magda! — jęknęłam błagalnie. — Czy ty w ogóle słuchasz, co ja do ciebie mówię? Ja milczę i on milczy. Takie braterstwo dusz. Obie dusze milczące! Rozumiesz?
— E! — machnęła ręką. — Nic z tego nie będzie. Od milczenia jeszcze nic się nikomu nie urodziło! Na jakim ty czacie siedzisz? — zainteresowała się.
— Daj spokój! Przecież nie na seksie! Jeszcze by tego brakowało!
— Powiedz, jaki to nick? — przymilała się. — Dam ci ciastko!

7

Krystyna bmgieiska

Nie było rady. Musiałam jej powiedzieć. Dobrze wiedziałam, że mi nie odpuści. Ciekawość przeżerała ją na wylot. Zdawało mi się, że już widzę w niej małe dziurki, przez które wylewa się lawa kobiecej wścibskości.

— Mogę ci powiedzieć, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz się śmiała.
— Przysięgami — z poważną miną podniosła dwa palce do góry. Wyglądała jak mała dziewczynka zgłaszająca się do odpowiedzi.
Szczerze mówiąc, nie wierzyłam, że zachowa powagę. Sama byłam ciekawa jej reakcji. Wyrzuciłam z siebie jednym tchem:

— Gwidon!

— Gwidon? — zdziwiła się. — To na jakim ty czacie siedzisz? Sie-demdziesięciolatków?

— Nie wygłupiaj się — prosiłam.

— Pomyśl, kto może mieć takie idiotyczne imię?

— Normalne — broniłam Gwidona.

— Dziewczyno! To na pewno jakiś stary dziadyga. Już go widzę! Laseczka, kapelusik, spodnie w kancik i aktóweczka — śmiała się. — Irmina, obudź się! Gwidon nie jest dla ciebie. Tobie potrzebny jakiś Marcin, Mateusz, Patryk! Na litość boską! Tylko nie Gwidon. Słuchaj — ściszyła głos. — Może to jakiś szpieg? Policjant? Podobno oni siedzą w sieci i śledzą...

— Policjant też ci się nie podoba? — spytałam z wyrzutem. — Czego ty właściwie chcesz? Przecież ja tylko mówię, że jakiś Gwidon wisi na czacie.

Nie słuchała mnie. Podniosła się z krzesła i rzuciła w stronę szafy z naszymi ubraniami.

Wyjęła torebkę i rozpoczęła poszukiwania. Po chwili, z miną zwycięzcy, podała mi zgniecioną kartkę papieru.

— Jest! Wiedziałam, że muszę to mieć. To chyba jakaś epidemia, a może nawet pandemia z tymi Gwidonami. Spójrz, jak ten tekst jest podpisany! — biła palcem w sponiewieraną kartkę.

8

Ty to głupia jesteś!

Rzeczywiście! W prawym dolnym rogu widniał mały napis. Musiałam przymrużyć oczy, żeby go odczytać.

— Gwidon! — promieniała Magda. — To musi być przeznaczenie! To nie przypadek! Dwa Gwidony! Mam przeczucie, że tym razem to strzał w dziesiątkę!

Usiadła za biurkiem, dumnie wypięła pierś i jak gdyby nigdy nic, zajęła się pracą. Skołowała mnie całkowicie. O co jej właściwie chodziło z tym przeznaczeniem? Kogo miała na myśli?

Mnie czy siebie? Nie chciałam wywoływać dalszej dyskusji na drażliwy dla mnie temat, dlatego i ja udałam, że pochłonęła mnie praca. Pogniecioną kartką wciąż leżała na moim biurku. Delikatnie przysunęłam ją do siebie. Niewątpliwie był to jednak niezwykły zbieg okoliczności. Dwa Gwidony! Spojrzałam na krótki tekst. Co mi właściwie szkodzi?

Przeczytam! Ciekawe, co też taki Gwidon wymyślił.

Fotografowałem chwile, fragmenty życia, album niepotrzebnych wspomnień, bez kontekstu, bez chronologii, bez przestrzeni, złote myśli, ku nauce, ku przestrodze, ku potwierdzeniu prawdy. Obrazy nakładające się na rzeczywistość (o ile rzeczywistość istnieje) gasiły światło, zaciemniały widzenie rzeczy, przesłaniały świat. Prywatny śmietnik przeszłości.

O kurczę! — pomyślałam. Skąd Magda to wzięła? Przeczytałam jeszcze raz, odruchowo wyglądając pomiętą kartkę.

— Gdzie ją znalazłaś? — nie wytrzymałam. Musiałam zapytać. Spojrzała znad papierów.

— W autobusie. Bierz się za robotę! Nie zdążymy oddać tych faktur. Pisz i nie marudź!

— W autobusie? — dopytywałam się.

— Leżała na siedzeniu. Pracuj i nie gadaj! Jeszcze się pomylę!

Gwidon spacerował po mojej głowie. Nie potrafiłam się skupić. Automatycznie przepisywałam faktury. Czas dłużył się niemiłosiernie. Magda, jakby robiąc mi na złość, udawała przykładną urzędniczkę.

— Idziesz zapalić? — zapytałam.

9

Krystyna Śmigielska

— Pójdę, chwilka przerwy nie zaszkodzi.

Schodziłyśmy na pierwsze piętro. Firma nie zapewniła swoim pracownikom godziwego miejsca do palenia, musiałyśmy więc zaciągać się dymkiem w damskiej toalecie. Czułyśmy się jak uczennice. Latem nie narzekałyśmy, ale zimą marzłyśmy przy otwartym na oścież oknie. Jediną pociechą w całej tej sytuacji mógł być fakt, że naszym szefem był mężczyzna. Nie odwiedzał palarni. Problem stanowiły koleżanki. Zwłaszcza dwie. Mendi! Ciągłe wydzierały się na cały korytarz:

— Kopcicie i kopcicie! Wejść nie można! Śmierdzi tu i nie ma czym oddychać!

— No, fakt! Śmierdzi! — spokojnie przyznawałyśmy im rację. Nie chciałyśmy robić sobie wrogów. Przed wyjściem z toalety dokładnie spryskiwałyśmy ją męskimi dezodorantami.

— Dlaczego nie używamy damskich? — spytałam kiedyś.

— no wiesz! — obruszyła się Magda. — jest kilka powodów. Pierwszy — wyliczała — chcesz pachnieć jak kibełek?

— Nie! — zaprzeczyłam szybko.

— Męskie kosmetyki kupuje się o wiele przyjemniej. Wąchasz i wyobraźnia rusza! Już widzisz swojego księcia...

— Pachnącego jak damska toaleta — dokończyłam.

Magda zmierzyła mnie groźnym wzrokiem.

— I są tańsze! — zakończyła z tryumfem.

— Z tym się zgadzam! — potulnie przytaknęłam.

Poniekąd Magda miała rację. Lubiłam kupować męskie dezodoranty. Wybierałam je starannie. Dziwna sprawa. Kiedy poczułam swój ulubiony zapach przyniesiony z wiatrem na zatłoczonej ulicy, w tramwaju, w kinie, zaraz chciało mi się palić! Nigdy nie ośmieliłam się zapytać Magdy, czy jej się też to zdarza. Intrygowało mnie również pytanie: czy takich samych dezodorantów używa jej mąż — Igor? Próbowałam wywąchać tę sprawę, ale efekty były fatalne.

10

Ty to głupia jesteś!

- Co cię tak do niego ciągnie? — zastanawiała się Magda. — Chodzisz za nim krok w krok. Jak wierny pies! Wąchasz go! Zwariowałaś? Chłopa ci trza! Masz szczęście, że jesteś moją przyjaciółką!

W ten sposób zakończyłam swoje prywatne śledztwo w sprawie „zapachu Igora” i do dziś nie wiem, czy czuć od niego naszą ubikację.

— To już trzecie „arcydziełko” — spokojnie mówiła Magda, kiedy wróciliśmy na nasze stanowiska pracy.
— O czym ty mówisz?
— O Gwidonie!
— Trzecie? — starałam się podtrzymać rozmowę. — Poprzednie też masz?
— Nie! Nie zbieram ich. Dzisiaj wzięłam, bo usiadłam na nim i bałam się, że ktoś może to zauważyć. Jeszcze ludzie będą mieli do mnie pretensję, że mam poezję w d... dużym poważaniu — dokończyła.
— Nie znam się na poezji — skłamałam — ale tekst mi się spodobał. Chętnie przeczytałabym więcej.
— Sto dwadzieścia trzy — powiedziała Magda.
— Tyle? Tyle to może nie. Dwa, trzy, byłoby miło.
— Linia sto dwadzieścia trzy. Autobus! Paniała? — irytowała się Magda.
— A, sto dwadzieścia trzy! Dziękuję. Zawsze tam są? — dopytywałam się.
— Niestety, nie zawsze.
— Już wiem! — wołałam zadowolona. — Gwidon jest kierowcą. Kiedy ma służbę, rozkłada swoje wiersze, żeby uprzyjemnić podróż pasażerom!
— Wiesz co? Już trzy razy znalazłam te kartki i jakoś nie uprzyjemniły mi drogi do pracy — wykrzywiła się Magda.
— To one jadą rano? — zapytałam nieśmiało.
— Ja widuję je rano, może potem też się pokazują. Trudno mi powiedzieć.

u

Krystyna Śmigielska

Tego dnia nie rozmawiałyśmy już więcej o Gwidonie, natomiast ja rozmawiałam z Gwidonem! Siedziałam cały wieczór przed monitorem komputera, wpatrywałam się w listę gości na czacie i starałam się zahipnotyzować jego nick.

— Odezwij się do mnie — przemawiałam błagalnie. — Jeden, jedyne raz — prosiłam. — Chcę tylko zapytać, czy jeździsz do pracy linią sto dwadzieścia trzy. jedno małe „tak” mi wystarczy. Jeżeli nie chcesz wchodzić na pñv, to powiedz cokolwiek na ogółe. Jedno słowo, żebym wiedziała, że tam jesteś. Wyślij chociaż słoneczko! Słuchaj — wpadłam na pomysł. — Może ty rzeczywiście jesteś policjantem? Mnie to nie przeszkadza! Nie mam nic przeciwko glinom. Zaakceptuję cię takim, jaki jesteś!

Gwidon milczał jak żaba, w którą zaklęty był cudowny książę. Im dłużej siedziałam przed komputerem, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że to ten! Wyśniony, wymarzony, wyczekany, wyte-skniony, wymodlony! Mój jedyny! Druga, jeszcze uparcie milcząca, połówka jabłka! Około północy zdałam sobie sprawę z upływu czasu.

— Widzisz, co narobiłeś? Nie pozmywałam po obiedzie, nie zjadłam kolacji, nie obejrzałam filmu! O Boże! Nie przygotowałam ubrania na jutro! Chociaż nie powiedziałaś ani słowa, już zdołałeś przewrócić do góry nogami moje dotychczasowe życie! Dlaczego nie idziesz spać? Nie wstaniesz jutro do pracy! Mężczyźni są tacy nierozważni. Idź spać! Już późno! — wołałam do świecącego monitora.

Od dłuższego czasu na czacie nie było już innych rozmówców. Zostaliśmy sami.

Zmęczonymi oczami wpatrywałam się w jego nick. Powoli moje powieki robiły się cięższe, cięższe, cięższe...

Głowa opadła mi prawie na piersi. Tak bardzo przestraszyłam się tym nagłym „upadkiem”, że aż podskoczyłam na krześle. Spojrzałam

12

Ty to głupia jesteś!

na ekran. Poszedł sobie! A to drań! Wykorzystał moment mojej nieuwagi i przepadł w mroku nocy.

«r- Jeśli myślisz, że ci tak łatwo ze mną pójdzie, to się mylisz — mówiłam, ziewając i przebierając się w nocną koszulę.

Zła na Gwidona, zabrałam się do wyłączania komputera. W ostatniej chwili zauważyłam, że na samym dole ekranu, pod kolorowymi pożegnaniem innych czatowników, znajdują się życzenia dla mnie.

Gwidon:

— Dobrej nocy, Irmino!

— Dobrej nocy, Gwidonie! — szeptałam, czule wpatrując się w czarne literki na ekranie.

Zaspałam, co zresztą było do przewidzenia. Mój plan, żeby przed pracą odwiedzić Magdę i przejechać się z nią autobusem linii sto dwadzieścia trzy, nie mógł być zrealizowany. Do biura wpadłam jak wichura, z potarganymi teatralnie włosami, w rozpiętej kurtce. Bluzka, nie wiadomo dlaczego, uparcie wysuwała się spod paska w spódnicy.

— Co się stało? — wystraszyła się Magda. — Gdzie twój makijaż? Coś ty zrobiła z włosami?

— Nic nie zrobiłam! Nawet nie zdążyłam ich przeczesać — tłumaczyłam, wieszając kurtkę w szafie.

— Wyglądasz dziś wyjątkowo niechlujnie — mówiła, przyglądając mi się z nieukrywaną odrazą.

— Rozmawiałam z nim! — pochwaliłam się dumnie.

— Naprawdę? — Magda nie mogła uwierzyć. — Spotkałeś go?

— Nie całkiem! Był na czacie!

— Opowiadaj, bo chyba umrę z ciekawości — ponaglała. — Co mówił? Czego się o nim dowiedziałaś? To on pisze te kartki?

13

Krystyna Śmigielska

Usiadłam przy biurku.

— Widzisz, to nie jest takie proste — zaczęłam.

Magda wysłuchiwała spokojnie moich zwierzeń. Popukała się wymownie palcem w czoło i ignorując moją obecność, zabrała się do pracy, co chwilę cedząc przez zaciśnięte zęby:

— Rozmawiałam... rozmawiałam...

Starałam się nie zwracać uwagi na jej zjadliwy ton i kpiny pod moim adresem. Było mi przykro, że nie podzielała mojego entuzjazmu, ale nie chciałam jej więcej drażnić.

Zastanawiałam się właśnie, w jaki sposób ją podejść, kiedy to ona podeszła do mnie. Bez słowa położyła na moim biurku kartkę papieru i znów (zupełnie nie wiem dlaczego) popukała się w czoło.

Szykuję się do zimowego snu. Zrzucam wspomnienia jak liście. Otulony ciepłym szalem, przemijam mroźne dni. Serce karmię okruchami nadziei na blask słońca, na ciepło ciała, na odrodzenie, na życie, na miłość.

— Dzień dobry paniom! — przywitał nas szef.

Spojrzał na mnie i szybko założył okulary. Nerwowo zaczęłam poprawiać potargane włosy i wciskać w spódnice wygniecioną bluzkę.

— Mam nadzieję, że nie czuć od pani alkoholu — powiedział ściszone głosem. — Proszę unikać dziś kontaktu z klientami. Pani Magdo, niech się pani zaopiekuje koleżanką. Daj Boże, żeby to chociaż był „TEN"! jestem gotowy puścić cały incydent w niepamięć. Do pracy! — warknął i wyszedł.

— Cholera — biadoliliła Magda. — Facet wyraźnie czuje do ciebie miętę! Ty to masz prawdziwego pecha, jak się pozbyć tej zołzy, jego żony? — zastanawiała się.

— Zidiociałas na stare lata? Pozbyć się? Co ci przyszło do głowy? Nikogo nie będę się pozbywać! — wołałam przerażona.

14

Ty to głupia jesteś!

- Uspokój się — uciszała mnie. — Nie musimy jej likwidować. Mam inny pomysł... — puściła do mnie oczko porozumiewawczo. — Zdaj się na mnie, a resztę życia spędzisz w luksusie!

— Zdaj się na mnie — przedrzeźniała ją. — Już to kiedyś słyszałam, ale jakoś moje życie nie uległo poprawie, ba, o mały włos a wylądowałabym w więzieniu — przyznałam się. Magda przestała pisać. Przyglądała mi się podejrzliwie.

— Czy ja dobrze słyszałam? Mówiłaś coś o więzieniu? — spytała po dłuższej chwili.

Od odpowiedzi wybawił mnie dzwonek telefonu. Obie podskoczyłyśmy na swoich krzesłach, ale żadna nie kwapiła się, żeby odkryć, kto i czego sobie od nas życzy.

— Odbierz wreszcie! Tarabani i tarabani — prosiłam.

Oprzytomniała. Energicznym ruchem chwyciła słuchawkę i przyłożyła do ucha. Trzymając telefon w lewej ręce, prawą zgarniała papiery ze swojego biurka. Powtórzyła kilka razy „tak” i wypuszczając głośno powietrze, odłożyła słuchawkę.

— Sprawa Owsika! — krzyknęła do mnie.

Wpadłam w popłoch. Dokumenty miałam w rozsypce. Zaczęłam je kompletować, próbując ułożyć chronologicznie.

— Nie ma czasu na zabawę! — poganiała mnie. — Pośpiesz się! On czeka! — wyrwała mi z rąk plik papierów i zanim zdążyłam zaprotestować, była już za drzwiami. Opadłam na krzesło i starałam się uspokoić nerwy. Ciekawy poranek — myślałam. — To wszystko przez Gwidona. O rany! Gwidon! — przypominałam sobie. Na próżno szukałam jego kartki. Biurko było puste. Leżał na nim tylko mój telefon komórkowy i paczka chusteczek. Teraz byłam już pewna. Najwyższy czas szukać nowej pracy. Wylecę! Gwidon mi w tym pomoże! Niech tylko szef przeczyta tę jego twórczość! Będę się miała z pyszna!

Magda wróciła rozpromieniona.

— Przez Tomka? — zapytała.

15

Krystyna Śmigielska

— Czego ty znów chcesz od tego biednego Tomka? — nie rozumiałam. — I co on ma wspólnego ze sprawą Owsika?

— Pytam o to więzienie! Owsika zostawmy w spokoju.

— Tak, przez Tomka — odrzekłam zrezygnowana.

Co mi tam? — myślałam. — Mój Tomcio ma tyle na sumieniu, że ta sprawa nie może mu już zaszkodzić, jego reputacja jest i tak wystarczająco kiepska.

— Opowiadaj! — rozkazywała Magda.

— Nigdy! — krzyknęłam wściekła. — I dobrze ci radzę, nie próbuj ze mnie wydobyć zeznań!

— Nie powiesz? — najwyraźniej nie mogła w to uwierzyć.

— Nie!

— A na torturach? — próbowała.

— Nie licz na to — syknęłam zjadliwie.

— Bez łaski — odgryzła się.

No i mam, czego chciałam! Moja jedyna koleżanka się obraziła. Nawet palić cały dzień chodziłyśmy osobno. Z kpiącą miną podrzucała na moje biurko kolejne faktury do korekty. Robiła to złośliwie i wcale tego nie ukrywała. Trudno — myślałam. — Niepotrzebnie wyrwało mi się to głupie zwierzenie. Prawdę mówiąc, wstydziłam się całej tej historii. Głupio brnęłam w wymagowanego Tomka, bojąc się powiedzieć Magdzie o swoich miłosnych perypetiach. Dużo łatwiej byłoby mówić prawdę, niż oszukiwać jedyną przychylną mi osobę. Moje doświadczenia z koleżankami były równie żałosne jak kontakty z płcią przeciwną.

Przyjaźń trwała do czasu pierwszego sukcesu. Oczywiście mojego sukcesu! Zaczęło się już w przedszkolu. Z Anią byłyśmy jak papużki nierozłączki. Mieszkałyśmy w tym samym bloku, chodziłyśmy do tej samej grupy, bawiłyśmy się na tym samym podwórku. Nasze mamy ubierały nas prawie jednakowo. Bliźniaczki! Nasza dozgonna przyjaźń trwałaby zapewne do dziś, gdyby nie... Byłam bezczelna do tego stopnia, że potrafiłam śpiewać ładniej niż

16

Ty to głupia jesteś!

Ania. Pani wydelegowała mnie, żebym w imieniu naszej grupy odśpiewała „Sto lat” na imieninach pani dyrektor i to ja wręczyłam jej piękny bukiet kwiatów, za który płaciła również mama Ani (całe 10 złotych). Nic nie pomogły perswazje, że przecież te pieprzone 10 złotych dały wszystkie matki dzieci z naszej grupy. Od dnia imienin pani dyrektor Ania znalazła sobie inną papużkę nierozłączkę, a ja postanowiłam starannie dobierać koleżanki. Widocznie byłam jeszcze za młoda i moje doświadczenie życiowe było wciąż niedostateczne, ponieważ już w drugiej klasie przeżyłam kolejne rozczarowanie. Tym razem była to Viola (pisana przez V). Przyjaźniłyśmy się długo! Od początku roku szkolnego, aż do 26 maja. Jak ogólnie wiadomo, historia lubi się powtarzać. Moja się powtórzyła. Całą winę za rozpad naszego związku ponosi i tym razem pani, nasza wychowawczyni. To ona kazała nam w kilku zdaniach napisać: „Dlaczego powinniśmy kochać mamę”. Do dziś nie wiem, czym urzekły ją moje nieporadne wyznania. Faktem jest, że ze sterty zeszytów wybrała właśnie mój i kazała mi odczytać przed wszystkimi mamami, dlaczego powinnam kochać swoją. Moja mama była zachwycona. Viola i jej mama, nie! Przysięgam sobie, że teraz nie dam się już tak wyrolować. Do końca podstawówki nie zaprzyjaźniłam się z nikim. Nie żebym była odludkiem. Miałam duże grono koleżanek, ale nie przyjaciółek. Jednak w końcu dałam się ponieść emocjom! Uśpiłam swoją czujność i stało się. W drugiej klasie liceum, całkiem niechcący, wpłatałam się w aferę z Justyną. Któregoś dnia przybiegła do mnie do domu, zapłakana, brudna, w podartych rajstopach. Jak się okazało, jechała na rowerze obok mojego domu i została potrącona przez samochód. Mieszkałam najbliżej miejsca wypadku, dlatego Justyna wiedzona ślepyim instynktem, skierowała swoje chwiejne kroki do moich drzwi. Stały przed nią otworem! Mamąidajntóeliłyśmy jej pomocy. Mój tata odwiózł ją do domu. Była n)C\$ak wdzie^aa, że postanowiła obdarzyć mnie swoją przyjaźnią. ше^БЛАaЩл/уcопа, ale w końcu

% 7 Л Ч£пий/

17

Krystyna Śmigielska

uległam jej czarowi. I pomyśleć, że Justyna też nie była w stanie przebaczyć mi sukcesu. Uczyłyśmy się razem, ale to właśnie ja, nie ona, wygrałam eliminacje szkolnej olimpiady polonistycznej. Na maturze podłożyła mi świnię! No, niezupełnie mi, bo jak się potem okazało, podłożyła ją Witkowi. Podała mi fałszywą ściągę, nie wiedząc, że jako ambitna uczennica postanowiłam sprawdzić własne siły i nie korzystać z pomocy „ściągniętego szczęścia”. Nie zaglądając do zwiniętej w rulonik karteczki, przekazałam ją dalej i w ten sposób stałam się współwinna Witkowej jedynki z matematyki. Po takich drastycznych przeżyciach boję się okazać zaufanie, zwierzać, doradzać. Trochę mi szkoda Magdy. Pracujemy ze sobą już dwa lata i uważam, że ona jest naprawdę w porządku. Nie wiem jednak, co jeszcze mnie w życiu czeka! Co będzie, jeżeli znów odniosę jakiś sukces? Nie chcę narażać Magdy na rozczarowania. Poza tym jak się tak dobrze zastanowić, Magda jest mi teraz potrzebna, w końcu to ona jeździ linią sto dwadzieścia trzy. Opowiem jej historię z Markiem, wtedy na pewno będzie dla mnie zbierała wypociny Gwidona. Taki układ! Ciekawe, czy na to pójdzie?

Kupiłam czekoladę. Kobiety najłatwiej przekupić słodyczami. Nie było to uczciwe z mojej strony. Znałam słabość Magdy i wiedziałam, że chociaż broni się, biedna, jak może, codziennie pochłania zbędne kalorie, kwitując to jednym zdaniem: „A dupa rośnie”.

Najważniejsze, że nie mogła się już na mnie gniewać. Tabliczka czekolady z orzechami przełamała lody. Stosunki między nami wróciły do normy.

— Jak tam nasz ukochany Gwidon? — dopytywała się. — „Rozmawialiście” wczoraj?

— Tak! — śmiała się. — Nie uwierzysz, ale mi odpisał.

— Napisałaś do niego? — dziwiła się.

18

Ty to głupia jesteś!

Magda w podnieceniu rozpakowała czekoladę, ułamała spory kawałek i włożyła do ust.

Ruchem głowy spytała, czy też zjem. Odmówiłam. Ona mogła sobie pozwolić na zdeformowanie sylwetki, ja nie. Nie miałam jeszcze swojego Igora, któremu byłoby już wszystko jedno, jak wyglądam. Siedząc na biurku, łapczywie zjadała kolejne kostki i spokojnie czekała na moją relację z czatowej rozmowy.

— Trochę się boję mówić — grałam na zwłokę. — A jak szef znów usłyszy?

Ułamała następny kawałek czekolady.

— Mów. Nie ma go. Widziałam samochód przed biurem. Kierowca mówił mi, że jadą do Poznania. Będziemy mogły odpocząć i pogadać do woli. Dziś na pewno nie wróci do pracy. Żeby tylko te małpy tu nie przychodziły. Zawsze, kiedy go nie ma, zlatują się jak hieny do padliny. Plotkary jedne. O właśnie! — przypomniała sobie. — Twój wczorajszy wygląd zaintrygował je tak bardzo, że cały dzień cię obgadywały, nie zostawiając na tobie suchej nitki. Wera pytała mnie kilka razy, dlaczego chodzimy osobno na papieroska i czy przypadkiem nie jesteś pijana — mówiła.

— Za to ją wszędzie widać — syczałam. — To wścibskie babsko. Cały dzień nic nie robi! Siedzi za tym biurkiem, nóżki sobie pod tyłek podkłada, żeby jej było mięciutko, papieroski u siebie w pokoju pali i tylko myśli, komu przypieprzyć i rzucić na niego odpowiedzialność za swoje nieudane życie. Co ja jej jestem winna? Nie ma kobieta innych zmartwień? Pijana?! Też coś] Pamiętasz, co wyprawiała na szkoleniu w Polanicy? Ona to była pijana!

— Nic na to nie poradzimy. Mów lepiej o Gwidonie! Te zołzy niech się karmią plotkami, mnie to nie przeszkadza. Dobrze, że szef jest mężczyzną i nie cierpi plotek. Wstrętne koczodany, siedziałyby mu na karku i tylko donosiły, co kto robi, z kim robi, gdzie robi. Miała rację! Przetestowałam to kiedyś na własnej skórze. Moja pierwsza praca była bardzo ciekawa, nieźle płatna. Stosunki mię-

19

Krystyna Śmigielska

dzyludzkie były jednak fatalne. Składając wymówienie, czułam się jak więzień, przed którym właśnie mają otworzyć bramę i wypuścić go na wolność. Tu jest inaczej. Przez dwa lata nikt nie zajrzał do mojego biurka, nie wyrzucił moich rzeczy, nie przestawiał mi mebli w pokoju. Nawet te zołzy, przy tamtych żmijach, to potulne baranki. Szef jest miły, można powiedzieć „do rany przyłóż”. Potrafi docenić moje kwalifikacje i kiedy tylko ma okazję, chwali profesjonalizm. Właściwie nie ma na co narzekać. On sam mówi, że z niewolnika nie będzie pracownika i trzyma się tej zasady. Prywatne życie personelu go nie interesuje. Ciekawe, czy zmieni zdanie, kiedy w papierach Owsika znajdzie poetycki tekst Gwidona?

Magda zrobiła nam drugą kawę. Widocznie nawet dla niej cała tabliczka czekolady to trochę za dużo. Do pokoju zajrzała pani Stenia. Zlustrowała mnie dokładnie i kręcąc się na pięcie, udawała, że nie może sobie przypomnieć, po co do nas wpadła. Miałam wielką ochotę, żeby jej podpowiedzieć! Stwierdziła, że dzisiaj wyglądam normalnie i ulotniła się jak kamfora.

— Przestań na chwilę! — prosiła Magda. — Orderu nie dostaniesz, a przecież wszystko zdążymy zrobić. Wykorzystajmy czas i omówmy szczegóły naszego planu.

— Jakiego planu? Co ty opowiadasz? — nie mogłam jej zrozumieć.

— Boże! — wołała, wznosząc oczy ku górze. — Jak z tobą się ciężko rozmawia! Już godzinę temu miałaś mi opowiedzieć o Gwidonie! Wczoraj postanowiliśmy wyrolować tę piękną laleczkę szefa. Nie pamiętasz?

— Jeśli o to chodzi, to pamiętam doskonale. Nie postanowiliśmy, tylko ty postanowiłaś, a to jest zasadnicza różnica. Mnie ona nie przeszkadza i nie zamierzam jej krzywdzić. Tobie też dobrze radzę, zostaw ją w spokoju! — byłam zaniepokojona jej pomysłami.

20

Ty to głupia jesteś!

— Nie masz racji. Wszystko już obmyśliliśmy. Musisz nam jednak trochę pomóc, sami nie damy rady — mówiła z wypiekami podniecenia na twarzy.

_ przerażasz mnie! Odpuść! Nie podoba mi się to — protestowałam.

— Kiedy my nie chcemy jej skrzywdzić. Chcemy tylko dokonać wymiany — spokojnie tłumaczyła.

— Jakiej wymiany? Co ci chodzi po głowie?

— Wymienimy szefa na Gwidona! W ten sposób będzie wilk syty i owca cała.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — naprawdę nie mogłam jej zrozumieć. Przynęła krzesło do mojego biurka.

— To bardzo proste — stwierdziła. — Nakierujemy Gwidona na nią. To przecież superlaska. Głowę sobie dam uciąć, że da się złapać. Żaden się takiej nie oprze. Ona też się zakocha.

Będziemy podsyłać jej te jego karteczki, a jak będzie mało, to same możemy coś napisać.

Potem zaaranżujemy spotkanie. Jak już będą kochankami, starczy wtedy dyskretnie poinformować szefa i... Wtedy ty wkraczasz do akcji. Będiesz jego pocieszycielką!

Pozwolisz, żeby wyplakał się na twojej piersi, a jak już raz poczuje ciepło twojego cycusia, jest nasz! — rozmarzyła się. — Wesele będzie piękne! Kto wie, może zrobicie je razem?

Dwie szczęśliwe pary na ślubnym kobiercu.

— Zaczynam się o ciebie martwić. Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Igor ci w tym pomagał? Jak długo żyję, nie słyszałam głupszej historii. Jedno jest pewne. Abstrahując od tego niedorzecznego pomysłu, nie oddam Gwidona! On jest mój! Rozumiesz? Wara od niego!

— Też coś! Jakiś tam Gwidon! Biedak! Nie stać go nawet na wydanie tych bzdur, którymi zaświnia miasto. Zobaczysz, wspomnisz moje słowa! Jeszcze go wsadzą za zaśmiecanie.

Coś mnie tknęło w jej wypowiedzi. Nie od razu zdałam sobie sprawę, o co chodzi. „Zaświnia miasto”? Tak powiedziała? To może znaczyć tyl-

21

Krystyna Śmigielska

ko jedno. Te karteczki podróżują nie tylko linią sto dwadzieścia trzy! Ona wie coś, o czym nie chce mi powiedzieć.

— Mów i to szybko! Gdzie je jeszcze widziałaś?! — krzyczałam przez swoje biurko. — Szybko! — poganiałam ją.

— Nie ekscytuj się tak! Widziałam, to prawda. Rozrzuca je, gdzie popadnie. W autobusie... - zaczęła.

— To wiem! Mów!

— W parku na ławeczkach.

— Dalej — nie dawałam się oszukać.

— W Galerii.

— Gdzie jeszcze? — nie pozwoliłam się zbyć byle czym.

— Na klatce schodowej u mojej teściowej — wyjęczała. Uspokołam się. Zebrałam myśli.

Próbowałam racjonalnie podejść

do sprawy. Wyglądało na to, że zasypał całe miasto. Wszędzie można było napotkać jego twórczość.

— Ja niczego nie znalazłam. Jak to się stało? — rozmyślałam głośno.

— Siedzisz w domu, nigdzie nie wychodzisz, to się nie dziw. Gwidon jeszcze nie doszedł do takiej perfekcji, żeby wkładać swoje arcydzieła za klamki i dzwonić! Ale poczekaj, dojdzie! Usłyszysz gong u drzwi, a za klameczką rulon z jego twórczością! — śmiała się. — Nie zagaduj mnie, tylko w końcu powiedz, jak tam wasza wczorajsza randka na czacie. Myślałam, że już zapomniała. Trudno, przyznam się. Nie ma co zmyślać. Prawda może szybko wyjść na jaw, a wtedy będę się głupio czuła, że ją okłamywałam. Całe szczęście, że kontakty z Gwidonem są tak niewinne, wręcz platoniczne i śmiało mogę przyznać się do wszystkiego.

— Wiesz, jaka jestem ostrożna. Nie zaczynam rozmowy z obcymi. Wczoraj patrzyłam w monitor jak jakaś głupia. Chciałam bardzo, żeby do mnie napisał, ale on milczał. Dopiero koło północy, jak już wszyscy sobie poszli i zostaliśmy we dwoje, przemówił! — opowiadałam.

22

Ty to głupia jesteś!

— Kurczę! Jednak? Wyczuł, że na niego czekasz! Co powiedział? Tylko nie opowiadaj, że znów „dobranoc” — starała się wyprzedzić fakty.

— No, nie tylko. Zaczął bardzo ładnie. Poczekaj, mam to zapisane — szukałam w torebce małej karteczki. — O, jest. Słuchaj, ale się nie śmieję! To poważna sprawa — upominałam ją. Zaczęłam czytać:

irmina kwiat przypomina. Zanim zwiędnie polne kwiecie, miłość jej podarujecie. Obsypiecie swymi snami, zachwycicie się płatkami. Do wazonu je wstawicie, niech umiła wasze życie. Niepotrzebne wasze smutki, żywot kwiatu zawsze krótki. W książce więc go zaszuszycie, by podziwiać potem skrycie. Kiedy błysnie szron na głowie, kiedy będzie słabe zdrowie, poczujecie zapach łąki, usłyszycie też skowronki i choć śmierć czeka za drzwiami, żyć będziecie wspomnieniami.

— No, nie wiem... — zastanawiała się Magda. — Mickiewiczem to on nie jest. Pamiętam, w szkole zawsze stawiano pytanie: „Co poeta chciał powiedzieć?”. Jak to odczytać? Miłość do grobowej deski? Co właściwie miał na myśli?

— A mnie się podoba! Guzik mnie obchodzi, co on chciał. Napisał to dla mnie i tylko dla mnie — mówiłam, staranie składając swój skarb i chowając go do torebki.

— Jeśli tak, to będziesz sławna — ironizowała. — Jutro całe miasto będzie wiedziało, że Irmina śmierć przypomina!

Oczka Magdy pojaśniały, a na twarzy błąkał się chytry uśmieszek.

— Żartowałam! — przymilała się. — To piękne, co o tobie napisał. Na pewno nie będzie tego roznosił po mieście. Daj mi tę karteczkę, zrobię ksero i będę miała do kolekcji.

Jej intryga była szyta tak grubymi nićmi, że nawet ślepiec by ją zauważył.

— Chcesz otworzyć fanklub Gwidona? — zapytałam.

— Może jeszcze znajdę jakąś wielbicielek. Dobra poezja sama się obroni — mówiła tajemniczo.

23

Krystyna Śmigielska

— To było dla mnie, nie dla żony szefa! — powiedziałam dobitnie i ostentacyjnie położyłam torebkę na kolanach, chcąc w ten sposób dać jej do zrozumienia, że zamierzam jej pilnować.

— Dobrze — zgodziła się. — jak sobie życzysz. Pamiętaj, że ja jestem gotowa. Jedno słóweczko, a pójdę jak burza.

Będę to miała na uwadze. Gwidon pewnie nie jest ucieleśnieniem kobiecych marzeń. Kto wie, może go jeszcze kiedyś przehandluję za naszego, na pewno przystojnego szefa. Wiersz o kwiatuszku jest kiczowaty, ale dla mnie posiada dużą wartość emocjonalną. Pierwszy raz

mężczyzna napisał coś tylko dla mnie i w dodatku zrobił to w ciemno! Dorobiłam sobie tym samym niezłą ideologię do swojej gwidonowej manii!

— i co dalej? — pytała Magda. — Odpowiedziałas mu?

— Tak! — byłam z siebie naprawdę dumna. — Napisałam, że pięknie to ujął. Odpowiedział mi, że od dawna patrzy na mnie na czacie i czeka, aż się odezwę.

— O, cholera! Ty to masz przecucia! Mów, mów — Magda kręciła się na krześle, jakby miała ukrytego pod siedzeniem naszego pana Owsika.

— To ja mu na to, że Gwidon to też ładne imię. A on mi na to, że nie!

— O karteluszek pytałaś? — nie mogła się doczekać.

— Tak. Krążyłam, nie chciałam pytać wprost. Niby, że spotkałam się już z twórczością jednego Gwidona, że jeżdżę do pracy autobusem, a tam leżą na siedzeniach jego utwory.

— i co? Przyznał się? — Magda z napięciem aż przymrużyła oczy.

— Tu pojawił się pewien problem. Zamilkł. Dopiero przed pierwszą napisał „dobranoc” i wylogował się. Nawet nie poczekał, żebym mu odpowiedziała.

— Poszedł sobie — jęknęła smutno. — Chyba nie przestraszyłaś go na amen? Lepiej by było, gdybyście byli ze sobą w kontakcie.

24

Ty to głupia jesteś!

- Pomyślałam, że to może nie on. Może ten pochodzi gdzieś z Górnego Śląska. Tam prawdopodobnie jest jeszcze kilku Gwidonów. Z drugiej strony, jak to on, to przecież nie powinien się wstydić. Rozrzuca to wszędzie — zastanawiałam się.

— Fakt! Jest tego tyle, że nie wiem, skąd bierze pieniądze na papier i ksero. A ile czasu musi mu zabrać takie chodzenie po mieście i roz-

-kładanie? Zabraknie mu siły na pisanie kolejnych — dokończyła, jakby czytała w moich myślach.

— Ciekawa jestem, czy zebrałaś te jego wypociny. Masz coś dla mnie?

— Przyznaję, czytałam wszystkie, które widziałam. Były tam te dwie, które już znamy i jeszcze jedna... — zawiesiła głos.

Wiedziała, że będę musiała ją jakoś przekupić. Nie odda łupu za darmo. Nie ma mowy. Na pewno już wymyśliła słoną zapłatę za kawałek zapisanego papieru.

— Gadaj! Ile? — warknęłam, udając wściekłą.

Nie pomyliłam się! Tylko na to czekała. Lekko uniosła się na krześle i z kieszeni spodni wyjęła złożoną kartkę. Śmiejąc się, wymachiwała mi nią przed nosem i kpiąco pytała:

— A ile dasz? Ile dasz?

— Mów, czego chcesz, małego jedna! — starałam się zachowywać spokojnie.

Magda dobrze wiedziała, że ma nade mną przewagę. Byłyśmy bądź co bądź w pracy i chociaż nie było szefa, musiałyśmy zachować minimum powagi. Z tego powodu nie mogłam rzucić się na nią i wyrwać jej z rąk upragnionego tekstu. Licytacja trwała dalej.

— Czekolada — rzuciłam, niby od niechcenia.

— Chyba żartujesz? — roześmiała się.

— Pudełko ptasiego mleczka? — podbijałam cenę.

— To najdłuższy tekst — zachwalała swój towar.

25

Krystyna Śmigielska

— Okay! Niech będzie moja strata! Kawa w Galerii — byłam już zdesperowana.

— Ciepło, ale mało — Magda była nieugięta. — Najdłuższy i najlepszy!

— Ty źmijo! Ty krwio pijco! Wstrętna handlaro, kupcząca cudzym potem! Oddawaj! Wygrałaś! Mrożona kawa i puchar orzechowy — wyrzuciłam z siebie. — Dawaj! Magda była najwyraźniej usatysfakcjonowana.

— Nie będziesz żałowała. To jest warte swojej ceny. A przy okazji, jak już będziemy w Galerii, rozejrzemy się. Może spotkamy Gwidon-ka „przy pracy”. To byłby fart! Co ty na to? — śmiała się, podając mi kartkę na wyciągniętej dłoni.

— Widziałas go? — jęknęłam.

— Widziałam — przytaknęła. — Niestety, tylko plecy! Wiesz sama, jaki tam bywa tłok. Ale kto wie, jak będziesz grzeczna, może szczęście nam dopisze.

Sprawa robiła się niebezpieczna. Brnęłam w nią coraz bardziej i coraz bardziej zaczynałam się bać wiążących się z nią konsekwencji. Gwidon miał zastąpić Tomka, być jego nowym wcieleniem. Mając go za adoratora, nie musiałabym już opowiadać, że włóczę się po dyskotekach (na dyskotecę byłam raz w życiu i to mi w zupełności wystarczyło). Wiecznie zajęty, zapracowany, romantyczny, trochę oderwany od rzeczywistości poeta, bardzo dobrze wpisywał się w mój plan przetrwania w biurowej społeczności. Zawsze mogłabym powiedzieć, że napisał coś tylko dla mnie, że byłam jego muzą i takie tam inne pierdoły, dzięki którym uwaga biurowych plotkarek przeniosłaby się ze mnie na mojego utalentowanego i godnego podziwu partnera, a ja tymczasem mogłabym spokojnie prowadzić swoje ciche, ustabilizowane życie.

Ucieleśnienie Gwidona wprawiło mnie w zakłopotanie. Efemeryczny kochanek mógł być ciekawy. Człowiek z krwi i kości budził

26

iy III ympiU jtSieS!

we mnie lęk i niepewność. Trudno, zgodziłam się na wspólną wyprawę do Galerii, nie ma więc odwołania. Zawsze możemy mieć pecha i nie spotkać mojego poety.

Rozłożyłam kartkę i pogрузyłam się w lekturze. Zacytana, nie zauważyłam, kiedy Magda wyszła z pokoju.

Na niepokój! Na troskę! Na ból! Sprzedaję barwne koraliki!

Opis działania:

Nawlec na sznurek, zawiesić na szyi. Odbija słoneczne światło. Jego magiczna moc odstrasza nieszczęścia. Działa bez szemrania, bez modlitw, bez zachęt. Rozpoznaje zagrożenie i przeciwstawia mu się z ogromną siłą. Kolorowy zastępca Boga. Osłania nas niewidocznymi tarczami, utkanymi z blasku dnia, z powietrza, z naszych obaw. Strzeże nas skutecznie! Ból, który nie jest naszym udziałem, nie budzi współczucia, chęci odwetu. Kara jest mglistym wspomnieniem. Zamknięci za osłoną barwnej tęczy, płasamy beztroski taniec, nie bacząc na fakt odosobnienia. Koralik szczęścia dba o nasze dobre samopoczucie. Bez łez, bez strachu, bez cierpienia. Wznosimy się ku absolutnej szczęśliwości. Rajski ogród w zasięgu ręki. Od nas zależy, czy dotkniemy gwiazdki na niebie.

Wskazania:

Pozwala przetrwać ból zębów, utratę pracy, śmierć najbliższych, wojnę i kataklizm, nieszczęśliwą miłość. Przeciwdziała myślom samobójczym.

Dawkowanie:

Jednorazowe. Koralik zakładamy na szyję. Raz zdjęty, traci moc.

Działania niepożądane:

Pozbawia nas prawa do decydowania, prawa do odczuwania, prawa do cierpienia, prawa do nienawiści. Stajemy się biernymi obserwatorami życia, które toczy się bez naszego udziału. Z braku lęku narażamy się na niebezpieczeństwa, łącznie z utratą życia lub miłości. Pewność, że nic złego nie może nam się stać, osłabia wiarę w Boga.

Uwaga! Koralik szczęścia skutecznie odbiera człowieczeństwo!

27

Krystyna Śmigielska

Z zadowoleniem stwierdziłam, że mój Gwidon powoli się rozwija i robi się z dnia na dzień bardziej interesujący. Magda miała rację, to jest warte mrożonej kawy i pucharu orzechowego. Zaczęłam właśnie myśleć, gdzie ona się podziała, kiedy zobaczyłam jej... zadek. W otwartych drzwiach naszego pokoju pokazała się tylna część jej ciała. Wyglądało to tak, jakby właśnie miała opuścić nasz dział i sprawdzała, czy na korytarzu nie czeka jakiś zboczeniec dybiący na jej cnotę.

— Co ty robisz? — spytałam zdziwiona.

Odwróciła się raptownie i szybko zamknęła drzwi, naciskając klamkę tak, żeby nie wydała z siebie najmniejszego pomruku. Ostępiałam doszczętnie. Moja koleżanka trzymała w ręce foliowy worek ze śmieciami.

— O Boże! — wyjęczałam.

— Cicho bądź! — rozkazała. — Mam skarb!

— No, nie wiem! To jest worek na śmieci. W dodatku pełny — upierałam się przy swojej wizji.

Uśmiechała się tajemniczo. Schowała się za swoim biurkiem. Podeszłam do niej. Nie wierzyłam własnym oczom. Siedziała po turec-ku na kawałku starego dywanika i z błogą miną grzebała w wyrzuconych na podłogę śmieciach.

— Nie patrz tak, tylko mi pomóż — prosiła, wciąż bardzo z siebie dumna.

— Co to za odpadki? — próbowałam odnaleźć sens całej tej sytuacji.

— Nie uwierzysz! — promieniała. —= To są skarby z gabinetu Tadzia.

— No wiesz! — naprawdę się oburzyłam. — W tej chwili wyrzucić to na śmietnik!

— Jeszcze czego! — warczała. — Musimy sprawdzić, czym faktycznie zajmuje się nasz szef.

28

Ty to głupia jesteś!

— Magda, proszę, zostaw to! Tak nie wolno! Bój się Boga! — błagałam.

— Wiesz co? Ty to naprawdę głupia jesteś! Sama już wiem, co mam o tobie myśleć?

Człowiek chce ci pomóc, naraża się, a ty tylko wybrzydzasz! Bierz się do roboty! — syczała na mnie.

— Tego jest już za wiele! Grzebanie w koszu na śmieci nazywasz pomoeą? Co ty kombinujesz i dlaczego mi to robisz? — prawie płakałam.

— Irmina, to była jedyna okazja! Musimy to sprawdzić! Nie rozumiesz?! — starała się uspokoić głos i wytłumaczyć mi dokładnie, o co jej właściwie chodzi. — Siadaj tutaj i bądź cicho. Widziałam, że wczoraj szukałaś kartki Gwidona. Wiem, że przez pomyłkę zaniosiłam ją szefowi. Nie jesteś ciekawa, co z nią zrobił? Nie oddał jej, nie pytał o nią! Tu coś nie gra. Jeżeli uznał, że to nieważny śmieć, musi być tutaj! Szukaj!

Zaczynałam rozumieć. To prawda. Sama się zastanawiałam, dlaczego pomyłkowo wyniesiona twórczość Gwidona nie wróciła do mnie. Nie pierwszy raz w dokumentach, które docierały na biurko szefa znalazły się niepożądane papiery. Oddawał je, a ich treść dyskretnie pomijał milczeniem. Może Magda ma rację? Sprawdźmy jego kosz! W końcu nie ma tam chyba akt ściśle tajnych, a jak takie się znajdą, wyrzucimy je bez czytania.

Usiadłam obok niej.

— Przejrzę tę kupkę — zaproponowałam.

— Dobrze, że zważałaś — pochwaliła mnie.

— Nie jestem przekonana co do słuszności naszych działań — cicho próbowałam jeszcze się usprawiedliwiać, ale już rozwijałam pogniecione kartki i zagłębiałam się w ich treść.

— To był chyba znak od Boga — rozmyślała Magda.

— Boga to w te śmieci nie mieszajmy — wtrąciłam.

29

Krystyna Śmigielska

— Szłam korytarzem i nagle patrzę, drzwi do gabinetu otwarte. Pani Marysia ze swoim wózkiem jedzie do sekretariatu. To ja, niewiele myśląc, wpadłam, za worek i w nogi! — relacjonowała mi tok

wydarzeń.

— Rzeczywiście, znak! — przyznałam. — Dlaczego otworzyła drzwi na korytarz, a nie weszła od sekretariatu? — zastanawiałam się.

— Wynosiła pudła. Skróciła drogę. Dyro zafundował sobie nowy monitor do komputera. Może i my dostaniemy? — marzyła.

— Już ty się nie martw! Jak będą rozdawać, to Wera i Stenia wyprzedzą nas i pierwsze ustawią się w kolejce.

Magda nie odpowiedziała. Spojrzałam na nią i zamarłam. Siedziała na dywanie, w ręce trzymała kawałek mocno pogniecionego papieru, oczy miała wytrzeszczone jak żaba, usta otwarte, twarz białą jak płótno. Z trudem łąpała powietrze.

— Znalazłaś? — spytałam.

— Znalazłam — podała mi kartkę i szybko zaczęła zbierać rozsypane śmieci do foliowego worka.

To nie były wycpociny Gwidona. To był anonim! Niepodpisany, krótki, parszywy tekst. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś może być tak perfidny, żeby napisać podobne świństwa.

Magda zapakowała śmieci i otwierając drzwi na oścież, prosiła:

— Siadaj przy biurku. Udawaj, że pracujesz. Zobaczę, co da się zrobić. Może pani Marysia nadal plotkuje z Werą i będę mogła odnieść to na miejsce. Jakby co, ty nic nie wiesz! Trzymaj za mnie kciuki, bo jak się wyda, będziemy miały prawdziwe kłopoty.

Miałam szczęście. Właśnie zwolnił się dwuosobowy stoliczek, tuż przy samej balustradzie. Można było stąd podglądać cały parter, łącznie z ławeczkami i fontanną, do której w regularnych

30

Ty to głupia jesteś!

odstępach czasu pluły wodą cztery zielone żaby. Wychyliłam się przez barierkę, żeby sprawdzić, czy na ławeczkach leżą już kartki z tekstami Gwidona i właśnie wtedy zobaczyłam... To musiała być ona. Długie blond włosy luźno spadały na kołnierz futra. Białe kozaczki! Nie miałam wątpliwości. Swoje wiotkie, kobiece ciało oddała pod opiekę męskiego ramienia. Obok niej dumnie kroczył superman! Wysoki, szpakowaty, z zalotnym wąsem. Ubrany w czarny, elegancki płaszcz. Na głowie miał filcowy kapelusz. Istny amant filmowy! Para jak z kobiecego pisma. Nic, tylko podziwiać i zazdrościć. Mnie jednak trudno byłoby w tej chwili zmusić się do takich uczuć. Ja wiedziałam! Magda wiedziała! Nasz biedny szef też wiedział!

Magda się spóźniła. Wcale mnie to nie dziwiło, zawsze miała kłopoty z wyrwaniem się z domu. Doskonale ją rozumiałam. W końcu jest matką i żoną. Obserwowałam ją z daleka. Biedaczka! Rozpinając kurtkę, przeciskała się przez tłum ludzi. Twarz miała czerwoną, minę wściekłą. Mocno wysłużoną torebkę przyciskała do piersi jak drogocenny skarb.

— Wiesz? — przywitała mnie, wieszając kurtkę na poręczy krzesła. — Czasami zastanawiam się, czy ty nie jesteś w lepszej sytuacji? Nie mówię o Igorze i dzieciach. Oni są w porządku. Ale teściowa... — zawiesiła głos i wzniosła oczy ku górze. — Do niej trzeba mieć zdrowie! O nic nie możesz poprosić, bo zaraz tysiące przeszkód wynajdzie. Mówię ci, co to za baba! Szukaj sieroty! Dobrze ci radzę!

Usiadła. Torebkę wciąż przyciskała do bluzki.

— Co tam masz? — zainteresowałam się. — Czemu ją tak ściskasz?
— Domyśl się — odparła, puszczając do mnie oczko. — Włożyłam to w foliową koszulkę. Martwię się tylko, że są tam również nasze odciski palców. Powinnyśmy nałożyć rękawiczki, a nie tak, gołymi rękami.

31

Krystyna Śmigielska

— Masz rację — przytaknęłam. — Jak jeszcze kiedyś będziemy grzebać w śmietnikach, musimy koniecznie pamiętać o zabezpieczeniu naszych odcisków palców.
— W odróżnieniu od ciebie, nie widzę nic śmiesznego w całej tej sprawie — zganiła mnie.
— A ja widziałam! — chwaliłam się. — Przed chwileczką, tam na dole. Spacerowali sobie jak Romeo i Julia.
— Romeo i Julia? Kurczę, nie mogę sobie przypomnieć! — zaniepokoiła się. — Spacerowali? Jakoś tego nie pamiętam. Scenę balkonową tak, ale spacerków...
— Zostaw ich w spokoju — prosiłam. — Tak mi się tylko powiedziało. Nieważne. Widziałam ją z tym jej gachem — ściszyłam głos.
— Tutaj? — Magda rozglądała się nerwowo i jeszcze mocniej przycisnęła torebkę do piersi.
— Na ludzkich oczach sobie paradują? Nie boją się?
— Chyba nic nie wiedzą o anonimie — mówiłam szeptem. — Z drugiej strony, jestem ciekawa, kto go napisał. Jedno jest chyba pewne. Ma tego kochanka i wcale się z tym nie kryje.
— Kochanka niech sobie ma. Tego jej nikt nie zabrania. Jej sprawa. Nie o nią mi chodzi. Żal mi naszego biednego Tadzika! Pomyśl tylko, a jeżeli to prawda i dybią na jego życie? Myślisz, że zawiadomił policję?
— Nie zawiadomił — stwierdziłam autorytatywnie. — Przecież wyrzucił anonim do kosza. Nie potraktował go poważnie.
— Mężczyźni bardzo dziwnie rozumują. Są przekonani, że tylko oni mogą zdradzać. Nie pomyślą, że' zdradzają swoje żony z cudzymi żonami, co niezbitnie prowadzi do wniosku, że kobiety również zdolne są do takiej niegodziwości.
Młody, sztucznie uśmiechnięty kelner stał nad nami i czekał na odpowiedni moment, żeby podać nam menu. Odpowiedziałam mu podobnym uśmiechkiem i nadając głosowi słodziutki ton, powiedziałam:

32

Ty to głupia jesteś!

- prosimy dwie mrożone kawy i dwa puchary orzechowe. Zapisał zamówienie, zmienił wyraz twarzy na zniechęcony i szybko oddalił się do następnego stolika. Magda obserwowała parter Galerii.

— Gwidona jeszcze nie było? — zmieniła temat.

— Nie widziałam go — odparłam, wyjmując papierosy. — Nie widziałam karteczek — uściśliłam.

— Przyjdzie — pocieszała mnie.

— Poczekajmy na kawę, wypijmy ją i rozkoszujmy się chwilą — chciałam zapomnieć o ostatnich wydarzeniach.

Anonim do szefa zmienił moje nastawienie do całej sprawy z Gwidonem. Zabawiam się kosztem swojej koleżanki, udaję śmiertelnie zakochaną w tajemniczym osobniku, a za ścianą mojego biura przychylny mi szef zmagają się z prawdziwą tragedią. Jego zwyrodniała żonka paraduje po Galerii ze swoim przystojnym gachem i planuje mężobójstwo. Kto wie, może właśnie w tej chwili nabywa w którymś ze sklepików narzędzie zbrodni? Ciarki przeszły mi po plecach. Nie chcąc, żeby Magda zobaczyła moją minę, odwróciłam się i spojrzałam przez balustradę. Na ławeczce, tuż pod nami, siedział jakiś facet. Nie zwróciłam na niego

najmniejszej uwagi, gdyby nie żółta, papierowa aktóweczka, która leżała na jego kolanach. Gwidon! Dopiero teraz wystraszyłam się nie na żarty! Magda też go zauważyła.

— Jest! Przyszedł! Wiedziałam, że tu będzie! — podskakiwała na krzeselku. — Słuchaj, ruszmy się! Zróbmy coś! Zaraz pewnie się zmyje i szukaj wiatru w polu! Wiem! Zostawiamy tu kurtki i papierosy na stoliku, wtedy nikt nam miejsca nie zajmie, i zamówienie przyniosą, bo będzie wyglądało, że my tylko na chwilunię odeszłyśmy! Szybko! Chodź! — wołała podekscytowana, gotowa biec do Gwidona jak na spotkanie z upragnionym kochankiem.

33

Krystyna Śmigielska

— Siadaj — prosiłam spokojnie. — Nie będę latała po Galerii za nieznanym mężczyzną. Mam swoją godność. Jak coś zostawi, to potem zabierzemy.

— Irmina, ja ciebie nie rozumiem. Chcesz znaleźć męża czy nie? O co ci właściwie chodzi? Zbieram śmieci po całym mieście, a ty nawet nie zjeździsz zobaczyć jak facet wygląda? Wolisz jakieś głupekowate wierszyki na czacie od konkretnego chłopca z krwi i kości? i W głębi duszy przyznawałam jej rację.

— Tobie wcale na nim nie zależyl — w końcu to do niej dotarło. — Robisz ze mnie głupią! A ja uważałam cię za przyjaciółkę! Irmina! Dlaczego nic nie mówisz?

Kłótnia wisiała w powietrzu. Magda poczuła się dotknięta moim zachowaniem. Pomyślałam, że nawet mrożona kawa i puchar orzechowy nie będą w stanie naprawić naszych relacji. Mrożona kawa nie, ale żona szefa, owszem. Właśnie zjawiła się ze swoim supermanem. Zajęli stolik naprzeciwko nas. Dama niosła mały, piękny bu-j kiecik róż, a jej kochanek dużą, papierową torbę z zakupami. Kelner błyskawicznie znalazł się przy ich stoliku. Zobaczył kwiaty i strzelił palcami na pomocnicę (może stażystkę), która jakby tylko czekała na umówiony znak. Po chwili już biegła z pucharem czystej wody. Żona szefa w egzaltowany sposób układała kwiatki w pucharku, demonstracyjnie wachając je i głośno chwając ich zapach.

— Żmija! — Magda szeptem skomentowała jej zachowanie. — Wywłoka jedna! Morderczyni!

— Z tej waszej zamiany chyba nici. Ona jest za stara dla Gwidona. Z daleka jeszcze nieźle wygląda/ fakt. Figurę ma dobrą. Ale gdyby zmyć jej makijaż? Myślę, że ząb czasu już ją trochę nadgryzł.

— Zawsze myślałam, że ona jest dużo młodsza od szefa. Rzeczywiście, z bliska wygląda nieszczęśliwie. Co ci mężczyźni w niej widzą? — zastanawiała się Magda.

— Ciekawe czy nas poznała.

34

iy to gmpia jesteś!

— Nie sądzę. Takie kobiety nie zwracają uwagi na podwładne swoich mężów. Stanowimy tylko szare tło dla sukcesów ich panów. Nie ma potrzeby się nami zajmować. Dopiero kiedy się dowiadują o biurowych wyczynach swoich jedynych żywicieli, czują się zagrożone. Boją się, że utracą swój status. Popatrz na nią! Rączkę do całowania wyciąga.

e- przystojny ten jej gach — komplementowałam przyszłego zabójcę. — Trudno uwierzyć w jego złe intencje! Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak dźga nożem szefa. Wygląda na miłego człowieka.

— Ciekawe kim on jest? Wygląda jak aktor, polityk, dyplomata, biznesmen... Popatrz, jak to się w życiu układa. Jedna, tak jak ty, nie może znaleźć męża, a do drugiej chłopcy lgną jak do miodu. I to jakie chłopcy! Wybrane egzemplarze — filozofowała Magda.

— Szczerze mówiąc, wolę być starą panną — wyrwało mi się, zaraz jednak odpowiednio uzasadniłam swoją wypowiedź. — Same kłopoty z tymi mężami. Jeden biedny jak mysz kościelna i całe życie trzeba przy takim harować i klepać z nim biedę, drugi bogaty, zapewnia

ci wszystkie luksusy, a ty z nudów musisz kombinować, jak się go pozbyć i zamienić na ciekawszego.

— Nie przesadzaj! Mój Igor jest pośrodku. Ani bogaty, ani biedny. Tacy też się zdarzają — tłumaczyła mi Magda.

— Oczywiście — przytaknęłam jej szybko.

Kelner, wciąż z tym samym sztucznym uśmiechem na twarzy, ustawiał na naszym stoliku puchary z kremem i wysokie szklanki z kawą. Spojrzał na nas wymownie i ostentacyjnie położył rachunek, czekając na naszą reakcję. Zapłaciłam, dając mu spory napiwek. Zezłościł mnie tym swoim kpiącym uśmieszkiem.

— Dziękuję! Bez reszty! — rzuciłam od niechcenia, kładąc na stoliku 60 złotych.

Niech wie, że mam gest. Magda patrzyła na mnie z podziwem. Kelner zmienił uśmiech na szczerzy, podziękował i szybciotko się oddalił.

35

Krystyna Śmigielska

— Widziałaś? — podsumowała Magda. — Jak zobaczył kasę, zaraz znormalniał. Pieniądze czynią cuda. Swoją drogą, to chyba ni jest zła fucha? Kilku takich klientów dziennie i można sporo zarobić. Niech ma z napiwków dziennie pięćdziesiąt złotych. Pomnożyć to przez, dajmy na to, dwadzieścia dni...

— Zwariowałaś? Zachowujesz się, jak nie przymierzając, pani Stenia! Co cię obchodzi, ile taki kelner może zarobić? Zazdrościsz mu? To postaraj się tu zatrudnić.

Mentalność ludzka bywa okropna! Drażnią nas ludzie, którzy mają więcej pieniędzy, mniej kłopotów, zdolniejsze dzieci. Zachowujemy się wobec nich agresywnie, zupełnie tak, jakby tę odrobinę szczęścia zabrali z naszej puli. Nie jesteśmy zainteresowani poprawą własnego bytu. Całą swoją uwagę kierujemy na szczęśliwszego osobnika i ze wszystkich sił staramy się go zdyskredytować w naszych oczach. Taka swoista zemsta za nasze nieciekawe życie.

— Cholera! — zawyła. — Masz rację. Staję się podobna do mojej teściowej! Strach pomyśleć, co się ze mnie zrobi na stare lata. Będę wredną staruchą! — jęczała.

— Pracuj nad sobą, dziewczyno! Jeszcze nie jesteś stracona. Zachowałaś odrobinę zdrowego rozsądku. Wszystkie jesteśmy potencjalnymi teściowymi, ale w końcu chyba powinnyśmy coś zmieniać, dążyć do upragnionego ideału. Małymi krokami zbliżać się do celu. Taka ewolucja doprowadzi do pozytywnych zmian w następnych pokoleniach.

Magda wychyliła się przez barierkę.

— Poszedł — stwierdziła z zalem. — Irmi, spójrz! Ludzie to czytają! Nie do wiary! Ciekawe, co dziś napisał? Kurczę, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć. Siedz tu, a ja polecę na dół i przyniosę. Nie spuszczaaj z oczu morderców! Mam pomysł, jak uchronić szefa przed jego żoneczką. Zaraz wracam! Nie ruszaj się!

36

Ty to głupia jesteś!

Nie zdążyłam jej powstrzymać. Pognała jak wichur. Obserwowałam, jak na parterze Galerii skrada się do pustej ławeczki, siada i rozglądając się dookoła, ukradkiem zwija leżącą na niej kartkę. Z tryumfem patrzy na mnie i już spokojnie wraca na górę. Para naszych zakochanych gruchała, trzymając się za rączki. Popijali wino i patrzyli sobie w oczy. Przez ułamek sekundy poczułam leciutkie ukłucie w sercu. Może wcale nie jest źle mieć przy sobie oddanego, wiernego mężczyznę? Przecież oprócz skrajnych przypadków, na które ja ciągle natrafiam, muszą istnieć normalni faceci. Tacy jak Igor! Z tego wniosek, że jak lepiej się rozejrzę, mam jeszcze szansę spotkać kawalera przy zdrowych zmysłach. Czy Gwidona można uznać za zrównoważonego psychicznie? Rozrzuca karteluszeki z grafomańską twórczością. Czy jest normalny? A jeżeli nie, to czy można zaakceptować takie dziwactwo? Jakie mogą być rokowania na przyszłość? Wyleczy się, czy popadnie w całkowite rozdwojenie jaźni? Dobrze znałam Magdę, więc zaczynałam mieć pewność, że już niedługo

poznam odpowiedź na te pytania. Moja koleżanka nie spocznie, póki mnie nie wyswata, a ponieważ Gwidon jest jedynym kandydatem na męża, będę musiała poznać go osobiście. No to wpadłam jak śliwka w kompot!

— Mówiłam ci, że on szuka żony! — wywijając mi przed nosem kartkę. — Czytaj, a ja spróbuję tego pokarmu bogów.

Wyrwałam jej z rąk świeżo zdobyty skarb.

Za rybią łuskę, za muszelkę, za bursztyn z muszką zatopioną, koralik w świetle się mieniący, ząb wieloryba, ptasie piórko, garść piasku do klepsydry czasu i za modlitwę, i za złoto wykupić pragnę chwile szczęścia. Bliskość i ciepło twojej twarzy, spacer wśród liści kolorowych, odbicie w lustrze naszych marzeń i miłość do zawrotu głowy. Piasek w klepsydrze spada na dno, modlitwa dawno się spełniła, a ja chcę więcej, coraz więcej... miłość me zmysły zakłóciła.

37

Krystyna bmgieiska

— Będzie nasz! — śmiała się, widząc moją zdziwioną minę. -J Znajdziemy go i siłą przed ołtarz! Zazdroszczę ci — marzyła. -J Szczęściara z ciebie! Kobiety pragną mieć romantycznych mężów... I

— Osobiście wolałabym silnego — przyznałam się.

— Po co ci silny?

— Mógłby mnie nosić całe życie na rękach. Poeci to przeważnie[cherlaki i do prac fizycznych trudno ich zagonić.

— Przez Lale szefa nie udało nam się obejrzeć Gwidona. Będzie-] my musiały trochę w niego zainwestować i jutro znów tu przyjść —j planowała Magda.

— Na mnie nie licz! — asekurowałam się. — Nie wydam następ-1 nych sześćdziesięciu złotych tylko po to, żeby zobaczyć jakiegoś' nieudolnego poetę. Nie ma mowy! Myślisz, że będę ci fundować w nieskończoność mrożoną kawę? W końcu nabawimy się anginy i jeszcze za leki będziemy musiały słono zapłacić! Nie wiem, czy Gwidon jest tego wart.

— Omówimy tę sprawę jutro w biurze. Teraz musimy się zastanowić, co robimy z naszymi gołąbkami. Gruchają i gruchają! Ciekawe, czy szef już wrócił z Poznania? Może siedzi tam, biedny i głodny?

— Gdzie niby siedzi? — nie zrozumiałam jej.

— W pustym, zimnym domu — wzdychała Magda.

— Skąd wiesz, że jest pusty i zimny? Może mają służącą, która już się nim odpowiednio zajęła? — poddałam jej myśl.

— Kurczę! Na pewno mają. Lala sama chyba nie sprząta. Paznokcie by sobie pewnie połamała. Biedny Tadziu! Jemu potrzebna prawdziwa kobieta, taka co rozgrzeje ognisko domowe. Ciepła, miła, gospodarna...

— Taka, co i krowy wydoi i pierzynę zagrzeje — dokończyłam. — Nie patrz na mnie! Ja jestem egoistką. Nic nie będę doła i grzała!

Magda zapaliła kolejnego papierosa, a ja pomyślałam, że niedługo będziemy musiały rozpylić tu męskie dezodoranty, bo kopcimy jak

38

iy iñ yiuyiu jcsclu:

zabytkowe parowozy. Obserwowana przez nas parka najwyraźniej zbierała się do wyjścia.

_ ciekawe, czy gach przebije mój napiwek — zastanawiałam się

głośno. __ Tego się nie dowiemy — smutno powiedziała Magda. __ Dowiemy się — stwierdziłam. — Kelner nam powie.

— chyba nie zamierzasz go pytać? — oburzyła się.

— Mowy nie ma. Sam się zdradzi.

Gołąbki poprosiły o rachunek. Gach chwilę przyglądał mu się z niepewną miną, wyjął portfel i zapłacił kelnerowi. Ten z ociąganiem wydał mu resztę, podziękował, schował pieniądze do etui i prosto od ich stolika przymaszerował do nas.

— Podać coś jeszcze? Może panie sobie jeszcze czegoś życzą? — pytał z miłym uśmiechem na twarzy.

— Nie! Bardzo panu dziękujemy. Już wychodzimy — promieniałam z zadowolenia. Przebiłam gacha! Nie żałowałam już swoich dziesięciu złotych. Z dumną miną patrzyłam na wychodzących kochanków. I pomyśleć, że taki sknera planuje morderstwo naszego szefa. Nigdy na to nie pozwolimy!

— Zwijamy się! — powiedziałam do Magdy i zebrałam ze stolika swoje rzeczy. Starannie złożyłam karteczkę Gwidona i schowałam do torebki. Magda nakładała kurtkę, lecz ciągle zerknęła przez balustradę, żeby się upewnić, że śledzona parka już sobie poszła.

— Irmina! Ale jaja! Zobacz tylko! — zawołała.

Wychyliłam się i szczerze muszę przyznać, nie wierzyłam własnym oczom.

— Uszczypnąć cię? — zaoferowała się Magda.

— Dziękuję! Już wierzę! — zaprotestowałam.

Na parterze Galerii Lala, wsparta na ramieniu swojego kochasia, czytała kartkę Gwidona. Rozglądała się ciekawie, jakby szukała au-

39

KiybiyiIII SIUiyiClbAU

torą romantycznych słów i bez zastanowienia... włożyła „poemat” do torebki.

— A to wiedźma! — syknęłam. — Pazerna małpa! Magda zacierała ręce.

— Sama widzisz, że zamiana jest realna! Mówiłam ci, baby zawsze i dadzą się złapać na czułe słówka! Irmina, tylko spokojnie! Musimy] dopracować nasz plan — podskakiwała z podniecenia.

— Twój plan! — uściśliłam. — Muszę pomyśleć! Tak dobrze nie będzie, żeby jedna Lala zaanektowała wszystkich fajnych facetów! w mieście! Gacha niech sobie bierze! Na mordercy mi nie zależy! Alej Gwidon? Kurczę, wychodzi ze mnie natura „psa ogrodnika”.

— Niech bierze i Gwidona! Walczymy o szefa! — zawyrokowała j Magda.

Pani Stenia już trzeci raz zaglądała do naszego pokoju. W ręce j trzymała plik dokumentów.

— Jeszcze go nie ma? — pytała, patrząc w głąb korytarza. Pracowałyśmy z Magdą od samego rana. Szykowałyśmy całą dokumentację, tym razem do sprawy Pobiałka.

— Nie widziałyśmy go! — odpowiedziałam pani Steni, nie podnosząc oczu znad papierów.

— Zawsze jest punktualny — Stenia nie dawała za wygraną, wymownie patrząc na zegarek.

— A wy, co tak dziś cicho siedzicie? j Stało się coś?

— Pobiałek nas poróżnił — warknęła Magda. — Idź do siebie. Jak się szef pokaże, zadzwonimy. Od tego stania nogi cię rozbolą — Magda chciała się pozbyć intruza.

— Masz rację. Przysiądę — łagodnie powiedziała pani Stenia. Przysunęła sobie krzesło blisko drzwi i rozsiadła się na nim wygodnie.

40

iy co дупля jesteś!

Magda zmierzyła ją piorunującym wzrokiem, ale i to nie pomogło, pisałyśmy dalej, przekładając kolejne kartki i same z niepokojem nasłuchiwałyśmy, czy szef się nie zbliża. W biurze panowała grobowa cisza. Nie stukały maszyny do pisania, nie dzwoniły telefony, nie dochodziły do nas odgłosy rozmów z sąsiednich pomieszczeń. Ciarki przeszły mi po plecach. O Boże! Dlaczego on nie przychodzi? A jeśli „Życzliwy” w anonimie napisał prawdę? Spanikowałam! Spojrzałam ukradkiem na Magdę. Najwyraźniej i ona była zdenerwowana. Stenia siedziała przy nas jak więzienny strażnik. Rozstawiła szeroko nogi. Siwiejące włosy miała niedbale związane w mały koczek. Wyglądała nieapetycznie. Oczka biegały jej i lustrowały nasz pokoik.

— Nie macie kwiatów — stwierdziła z niesmakiem.
— Pani ma — uśmiechnęłam się kpiąco.
— Nie lubimy — lakonicznie odpowiedziała Magda.
— Ja nie mogłabym siedzieć tak cały dzień bez żywych roślin — pani Stenia mówiła w próżnię.

Widząc, że ją ostentacyjnie ignorujemy, zaczęła swój monolog.

— Człowiek musi mieć jakieś zamiłowanie. Ja kocham kwiaty. Trzeba z nimi dużo rozmawiać, dbać o nie, wtedy rosną piękne, zielone. Jak zakwitną, to aż się na sercu ciepło robi. W domu mam piękne okazy! Wszyscy mi zazdroszczą. A wiecie, że kwiaty nie lubią zazdrości? Moja sąsiadka zawsze je głaszcze i wtedy mam z nimi kłopot, zaraz chorują. Trzeba dbać o nie jak o dzieci. Ona mi po prostu zazdrości. Sama nie ma, bo wszystkie u niej więdną. Ja dbam o swoje. Hołubię je. Syn to się na nie wkurza. Mówi, żebym je wyrzuciła na śmietnik, że jak umrę, to on zrobi z nimi porządek! Niedobry z niego człowiek. Z żoną też nie może się zgodzić! Co prawda pracuje, pieniądze jej oddaje. Nie wiem, czego ona jeszcze chce. On nawet z dziećmi lekcje czasem odrabia.

— Co ty powiesz? — ironizowała Magda. — Lekcje odrabia? To ci dopiero.

41

Krystyna smigieisKa

— Naprawdę — zarzekała się pani Stenia. — Mój mąż się nigdy do tego nie brał. Mówił, że to głąby, te nasze dzieci i nic z nich niej będzie.

Słuchałam jej wynurzeń jednym uchem, drugim starałam się wyłapać wszystkie dźwięki dobiegające z korytarza. Swoją drogą, biedni ci synowie pani Steni. Zamiast z kwiatkami mogłaby czasem z nimi porozmawiać, ich hołubić. Może mieliby wtedy większe szanse na życiowy sukces.

Napięcie sięgało zenitu. Spojrzałam na zegarek. Wpół do dziesiątej! To już nie spóźnienie! To porzucenie pracy! Co on sobie myśli? A jeśli nie myśli... Magda podniosła głowę znad sterty papierzysk i patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami. Musiałyśmy spokojnie ze sobą pogadać. Pozbierać fakty i wyciągnąć wnioski. Stenia jakby przysnęła na krzeselku.

— Steniu, zostaniesz u nas? My idziemy zapalić — odważnie zakomunikowała Magda.

— Nie! Nie! — broniła się Stenia. — Idźcie sobie! Pójdę do Wery, może ona coś wie?

Ociężała podniosła się z krzesła, jeszcze raz dokładnie obejrzała nasze biuro i z niesmakiem na twarzy potoczyła się na korytarz. Nie skomentowałyśmy jej odwiedzin. Pośpiesznie opuściłyśmy pokój i wybiegłyśmy na zewnątrz budynku. Ponieważ nie ubrałyśmy kurtek, dygotałyśmy z zimna i podniecenia. Magda rozejrzała się po parkingu.

— Auta nie ma! Szefa nie ma! Anonim był! Nie wiem już sama, co mam o tym myśleć...

— O Boże! — jęczałam nerwowo, przeskakując z nogi na nogę. Nie możemy być winne! Co miałyśmy zrobić? Jeszcze raz poinformować go o planowanym zabójstwie? Przecież to on wyrzucił ten parszywy anonim. Magda, czemu milczysz?

— Wiem! Zadzwonimy do niego! — krzyknęła.

42

Ty to głupia Jesteś!

— odbiło ci? Chcesz, żeby nas namierzyli? Schowaj tę komórkę! Trup nie odbierze, a policja szybko zidentyfikuje twój numer. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Naprawdę myślisz, że już po wszystkim? Nie upilnowałyśmy go?

— Może nie — pocieszałam nas obie bez przekonania. — Poczekajmy jeszcze, przecież musi w końcu nadjechać.

.Zmarznięte, paliłyśmy już drugiego papierosa, kiedy na parking wjechał czarny opel szefa. Magda tak się ucieszyła, że ucałowała mnie w oba policzki.

— Irm! Żyje! On żyje! — szeptała uradowana.

— Widzę! Uspokój się, bo się jeszcze domyśli, że wiemy! — starałam się przywołać ją do porządku.

Tadzio wysiadł z samochodu i energicznym krokiem ruszył w naszą stronę.

— Co panie tu robią? — zapytał.

— Palimy! — powiedziała Magda, nadając swojemu głosowi słodycz najczulszego wyznania.

Szef cofnął się dwa kroki. Zmierzył nas od stóp do głów i kręcąc z ubolewaniem głową, powiedział:

— Proszę na górę! Zabraniam wychodzić paniom poza biuro!

— Już idziemy, panie dyrektorze! Dla pana wszystko! — Magda wdzięczyła się do niego. Nie oglądając się na nas, wszedł do budynku.

— Sprowadzisz na nas kłopoty! — wyrzucałam jej, gasząc pośpiesznie papierosa. — Co ty wyprawiasz? Myślałam, że się na niego rzucisz i ze szczęścia zaczniesz go całować!

— Tak się cieszę, że on żyje! Nie udało się tej małpie, Laleczce jednej! Żyje i może nas opieprzać! Co mi tam! — promieniała.

— Skąd wiesz, że się nie udało? Może ona nawet nie próbowała? Spóźnił się, co z tego? Pewnie samochód nie chciał mu odpalić — szukałam innego wyjaśnienia.

43

Krystyna Śmigielska

— Gdyby chodziło o samochód, dawno by zadzwonił po pana Kazia i już o ósmej był na miejscu — przedrzeźniała mnie.

— To prawda! I Wera by wiedziała, dlaczego go nie ma — przyznałam jej rację.

Sprawa Pobiałka była gotowa. Czekałyśmy niecierpliwie, aż szef wezwie jedną z nas.

Osobiście wolałabym, żeby poszła do niego Magda, ale tym razem wypadło na mnie.

— Spróbuj się czegoś dowiedzieć. Wysonduj go. Tylko pamiętaj, dyplomatycznie. Nic na siłę! — zlecała mi.

Grzecznie położyłam stos papierów na jego biurku. Spojrzał na mnie chłodno i poprosił, żebym usiadła.

— Proszę nie palić na dworze. Wiem, że nie ma tu odpowiedniego miejsca dla palaczy, ale to nie moja wina, takie czasy, takie zarządzenia. Przeziębicie się i pójdziecie na zwolnienia. Już lepiej róbcie to w toalecie. Rozumiem was, sam czasem zapalę, zwłaszcza jak jestem zdenerwowany. A dziś jestem! Ma pani przy sobie papierosy? — zapytał niespodziewanie.

— Nie! Nie mam, ale mogę przynieść — zaproponowałam.

— Jakby pani była taka miła, pani Irmino i poczęstowała mnie, będę bardzo wdzięczny.

— Mam iść w tej chwili? — spytałam głupio.

— Proszę! Tylko niech mnie pani nie zdradzi przed personelem — prosił.

— Oczywiście — obiecałam i szybko wyszłam z jego gabinetu.

— Coś nie gra? — Magda wystraszyła się moim niespodziewanym powrotem.

— Skołował mnie całkowicie — przyznałam. — Chce papierosa!

— Małpa! Jednak próbowała! — tryumfowała.

— Zdenerwowany jest jak diabli — relacjonowałam, biorąc z szafy torebkę.

44

Ty to głupia jesteś!

- po takich przeżyciach potrzebna mu przyjazna i kochająca dusza — mówiła Magda w zamyśleniu. — Uważaj, to decydująca rozgrywka. Ty albo Laleczka! Spokojnie daj mu się wypłakać na swojej piersi! Żadnego ociągania, krygowania się! Jesteś gotowa mu pomóc i razem z nim stawić czoła wszystkim niebezpieczeństwom! Pamiętaj, to twoje pięć minut! — pouczała mnie.

Szłam wolno korytarzem. Zastanawiałam się nad intrygą uknutą przez Magdę i Igora. Sprawy przybrały dziwny bieg. Nie spodziewałam się takiego szybkiego zwrotu akcji. Czy

rzeczywiście powinnam nadstawić pierś? Jakie mogą być tego konsekwencje? Co ma być, to będzie — myślałam, wchodząc bocznymi drzwiami do gabinetu dyrektora.

Wyglądał przez okno. Dokumenty na biurku leżały nietknięte. Ręką wskazał mi krzesło.

Wyjęłam z torebki paczkę papierosów i poczęstowałam go. Wyciągnął jednego i nie

dziękując, czekał, aż ja przyłożę swojego do ust. Podpalił elegancką, złotą zapalniczką.

Wciągaliśmy papierosowy dym, nie mówiąc ani słowa. Było mi nawet przyjemnie siedzieć w jego gabinecie i spokojnie palić papieroska. Zawsze to lepiej niż w otwartym oknie damskiej toalety.

— Fatalny dzień — zaczął dyrektor. — Straszny! Okropny! Człowiek nie zdaje sobie sprawy, co go czeka, aż przychodzi taki ranek jak dziś...- zawiesił głos.

Podświadomie wypinałam pierś do przodu, gładząc bluzkę i cierpliwie czekając na wybuch rozpacz.

— Widzi pani, człowiek nawet wtedy, kiedy spodziewa się czegoś okropnego, nie umie się do tego odpowiednio przygotować. Niby zdajemy sobie sprawę ze zbliżającego się zagrożenia, ale uparcie odpychamy od siebie najgorsze myśli, łudzimy się, pocieszamy. W jednej chwili tracimy tych, których kochamy. Wiemy, że śmierć jest nieodłączną częścią życia, ale wiemy to tylko teoretycznie i tylko teoretycznie się z tym zgadzamy. Kiedy jednak stajemy z nią twarzą

45

Krystyna Śmigielska

w twarz... nie potrafimy zrozumieć jej bezsensownego, nieodwra-ł calnego piętna. Rozumie mnie pani, pani Irmino?

— Tak — przyznałam cicho.

Byłam wstrząśnięta jego zwierzeniami. Wyobrażałam sobie] jaką potworną walkę musiał toczyć sam ze sobą. Nie mógł uwie-| rzyć, że kochana przez niego Lalka mogła dopuścić się takiej potwornej niegodziwości. Przyglądałam się dyskretnie, czy aby \ nie został ranny.

Śladów krwi jednak nie zauważyłam. Ze zgro-: zą pomyślałam, że jeśli on stoi przede mną

żywy, musiał wygrać pojedynek ze śmiercią. Wygrać, czyli pokonać wroga! Idąc dalej tym

tokiem rozumowania, widziałam oczami wyobraźni jego] żonę i gacha, leżących nieruchomo na dywanie w salonie jedno-' rodzinnego domku. Jezu! Teraz on jest mordercą! Prawda, działał! w obronie własnej. Nie zmienia to jednak faktu, że pozbawił życia dwie osoby.

Wyobraźnia wzięła górę nad rozumem. Pragnęłam, aby jak najszybciej wtulił się w moją bluzkę i oblał ją rześzystymi

łzami.

— Przychodzimy, dajemy szczęście innym i odchodzimy w ciszy. Życie toczy się dalej!

Bierzmy się do pracy! — niespodziewanie zaproponował.

— Jeżeli mogę panu w czymś pomóc... — usłyszałam swój łamiący się głos. — Może pan na mnie liczyć!

— To miło z pani strony. Nie trzeba, już wszystko posprzątałem, zakopałem... — odpowiedział smutno.

Alibi! — pomyślałam. — Mogę mu przecież zapewnić alibi. Nie zdążyłam zaoferować swoich usług w tym zakresie, kiedy dyrektor spojrział na mnie z weselszym wyrazem twarzy.

— A wie pani, właściwie może mi pani pomóc i to bardzo! Mam prośbę! Gdyby pani słyszała, że ktoś ma do sprzedania szczeniaki owczarka niemieckiego! Rodowodowe! Nasza suczka była meda-

46

Ty to głupia jesteś!

, 3ardzo panią proszę! Dom bez niej będzie nie do wytrzyma-. 2ona strasznie rozpacza. Ja też, jak zdołała pani już zauważyć. Czy pani ma psa?

Zamurowało mnie! O czym on mówi? Pies? Jaki pies? Żona strasznie rozpacza? Rozpacza, więc nie leży martwa na dywanie obok ciała swojego gacha? Zakreśliło mi się w głowie. Chyba za dużo papierosów wypaliłam. Nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować. Złożyć mu kondolencje? Jedno tylko przyszło mi do głowy.

— Bardzo przepraszam, ale muszę skorzystać z toalety. Zaraz wracam — mówiłam, naciskając już klamkę.

Wpadłam do naszego pokoju jak gradowa burza.

— I żebyś wiedziała, że nie odezwę się do ciebie więcej ani słowem! W co ty mnie wrabiasz? Co ty knujesz? — syczałam wściekła.

Magda teatralnym gestem schowała twarz w doniach. Łkała bezgłośnie, a ja czekałam, aż zacznie sobie wyrywać włosy z głowy.

— Zabił ich? — wyszeptwała.

— Ja ciebie zabiję! — groziłam jej. — Zamorduję, uduszę, zakopię w parku!

Oprzytomniała. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami.

— Nie wypłakał się? — spytała.

— Wypłakał, a i owszem. No, może nie na piersi w dosłownym znaczeniu tego słowa. Pies mu zdechł! — warczałam. Owczarek niemiecki! Medalistka!

— On miał psa? — Magda nie mogła uwierzyć.

— Miał — syczałam. — Ale już nie ma. Zdechł mu dziś rano! A ty zapamiętaj sobie raz na całe życie! Wara od moich piersi! Bo jak jeszcze raz wpadniesz na jakiś głupi pomysł, to cię psami poszczuję!

47

Krystyna Śmigielska

— Ty masz psy? — dziwiła się.

— Nie mam! Jak będzie taka potrzeba, zakupię, Bóg mi świadkiem, owczarki niemieckie! Rodowodowe!

Zejście suzuki dyrektora z tego świata, padło uez, tak mnie z Magdą poróżniło, że nie zapytałam o Gwidonowe karteczki. Dopiero w domu przypomniałam sobie o jego istnieniu i rozrzucanej po mieście twórczości. Chciałam iść, poszukać ich w Galerii, aldy pogoda była „pod zdechłym psem”. Weszłam na chat. Gwidon już wisiał. Przez wydarzenia ostatnich dni zrobiłam się śmielsza, nawet nachalna. Otworzyłam okienko rozmowy prywatnej i bez ceregieli napisałam list do chatowego Gwidona:

Witaj Gwidonie!

W moim mieście krąży poeta o takim samym imieniu. Rozkłada swoją twórczość na ławkach, w autobusach, w sklepach. Zbieram te karteczki i codziennie czytam fragmenty jego myśli.

Dzisiaj jednak miałam pieski dzień! Pogoda też jest pod psem. Jednym słowem: pieskie życie! I jakby tego było mało, nie znalazłam swojej ulubionej lektury. Jeżeli piszesz te teksty, bardzo proszę, prześlij mi dzisiejszą opowieść. Będę wdzięczna! Serdecznie pozdrawiam!

Irmina

Klik i poszło!

Zaplanowałam miły wieczór w domowym zaciszu. Postanowiłam zrobić sobie grzane piwko, wygodnie rozwalić się na wersalce, przykryć kocem i poczytać książkę. Piwny aromat rozprzestrzenił się po moim wynajętym, jednopokojowym mieszkanku, a ja szykowałam się na ucztę czytelniczą. Gdy usłyszałam dzwonek u drzwi, byłam naprawdę zła. Nie miałam najmniejszej ochoty na gości. Otwierając, myślałam że niezapowiedziane wizyty mogą definitywnie popsuć człowiekowi

48

Ty to głupia jesteś!

humor. Za progiem stała Magda. W pierwszym odruchu chciałam zatrzaskać jej drzwi przed nosem. Historia z biedną suzką szefa wytrąciła mnie z równowagi, a ja podświadomie

obarczałam Magdę za cały ten galimatias. Jednak w wyglądzie mojej koleżanki zaszła tak wielka zmiana, że przez chwilę zastanawiałam się, czy to na pewno ona. Nigdy nie widziałam jej aż tak poważnej. Nie smutnej! Poważnej!

— Skoro już przyszałaś, to wejdź — zapraszałam ją serdecznie. — Gość w dom, kłopoty za progiem!

— Przenocujesz mnie? — upewniała się Magda.

— To zależy. Ze śniadankiem czy bez? — uściślałam.

— Jeżeli nie weźmiesz za nocleg, śniadanie ja stawiam — mówiła ze smutkiem.

— Wygrałaś! Wchodź, bo zimno leci!

Rozbierając się w przedpokoju, Magda wciągała nosem rozgrzane piwem powietrze.

— Dużo tego masz? — dopytywała się.

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Dysponowałam tylko dwiema butelkami, co mogło stanowić tylko preludium do naszego upojnego wieczoru we dwie.

— Ubieraj się i szoruj do sklepu! Ja na taki ziąb nie dam się wygonić. Masz kasę i kup co trzeba. Zapowiada się długie siedzenie, a najbliższy sklep nocny jest dwa przystanki stąd. Miej to na uwadze. Nocna włóczęga nie wchodzi w grę.

— Może jednak pójdziesz ze mną? Nie wiem, czy dam radę sama przynieść skrzynkę piwa — mówiła, robiąc słodkie oczka, ale wyraźnie nie było jej do śmiechu.

Chyba zadziałał na mnie zapach grzańca, bo nie protestując, zebrałam swoje ciuchy i schowałam się w łazience. Magda, w pełnym rynsztunku, czekała na mnie w przedpokoju. Wiedziałam, że coś musiało się stać, skoro tak niespodziewanie postanowiła spędzić ze

49

Krystyna Śmigielska

mną noc. Uszanowałam jej prawo do milczenia i spokojnie czekałam, | kiedy poczuje, że przyszedł właściwy moment na rozładowanie złych] emocji. Sprawunki załatwiłyśmy błyskawicznie. Rzeczywiście, sama I by tego nie uniosła.

— Jeżeli spożyjemy dzisiaj zawartość wszystkich butelek, to spóźnimy się jutro do pracy — próbowałam żartować.

— Bardzo ci zależy na tej robocie? — spytała zrezygnowana.

— Trochę zależy — przyznałam się. — Nie jest zła. I dobrze sobie radzę! — dodałam.

— To poważny problem — stwierdziła. — Rozważymy go jutro rano.

Nie wiem dlaczego, ale ciągle prześladowało mnie przeczucie, że stracę tę pracę. Brnęłam w jakiś ślepy zaułek, do którego drogę wskazywała mi Magda. Jak dziecko we mgle dawałam się prowadzić na manowce swojego życia. Przecież muszę zarabiać pieniądze na mieszkanie, na papierosy, na jedzenie, na kosmetyki, a jak tak dalej pójdzie to i na piwo!

Po powrocie ze sklepu postanowiłyśmy przygotować się na wszelkie ewentualności.

Pościeliłyśmy wersalkę, przebrałyśmy się w piżamy. Magda była grubsza ode mnie i nie pasowały na nią moje nocne ko-j szule. Musiałam pożyczyć jej piżamę taty. Wyglądała w niej komicznie. Stała przed lustrem w przedpokoju i majtała za długimi rękawami.

— Masz takiego ogromnego ojca? — nie wierzyła. — To musi być spory chłop.

— Spory — śmiałam się. — Metr osiemdziesiąt dwa! Jeszcze się nie zdeptał, chociaż uważa, że już maleje.

— Żeby tak moja teściowa się zdeptała. Nawet zdeptała — marzyła Magda.

— Zaczęłaś, to mów — delikatnie zachęcałam ją do zwierzeń. Magda czasem robiła na mnie wrażenie lekko postrzelonej, głupiutkiej kobietki. W rzeczywistości była bardzo dobrą matką i żoną. Dbała

50

Ty to głupia jesteś!

swoją rodzinę, ale uważała, że trochę luzu i humoru jest w życiu bardzo potrzebne. Starła się przyjmować ze spokojem i z dystansem wszystkie niedogodności dnia codziennego i zawsze szukała dobrej strony, nawet w sprawach z góry skazanych na niepowodzenie.

— powiem ci, że jestem przerażona! A jak i ja na stare lata zamienię się w taką jędzę? Mam dwóch synów, kiedyś będę miała dwie synowe. Pomyśl, one już gdzieś sobie spokojnie rosną i dojrzewają tylko po to, żebym miała na kim się wyżywać, gdy zabraknie mi innych problemów. Biedne dziewczątka! Powinnam je odnaleźć i uprzedzić, żeby nie zadawały się z moimi chłopcami, bo będą miały ze mną do czynienia.

Wieczór zapowiadał się iście szampańsko! Ja, Magda i jej teściowa. Prawdziwy trójkąt. Ciarki przechodziły mi po plecach na samą myśl, że ubzdryngolona grzańcem moja jedyna w tej chwili koleżanka, będzie raczyła mnie opowieściami z intymnego życia swojej rodziny. Nie lubiłam takich pikantnych szczegółów. Na teściowej się nie skończy, tego byłam pewna. W zanadrzu trzymała Igora, którego pewnie chciała zostawić sobie na deser. Przyszła się wyplakać na mojej piersi, a więc Igor musiał stanąć po stronie swojej mamusi. Wiedziałam, że nie przeprowadzi się do mnie na stałe. Tego się nie obawiałam.

Nie doceniłam jej! Totalnie mnie zaskoczyła. Wypiła duszkiem pierwszy kufelek piwa, usiadła po turecku na pościelonej wersalce i jak gdyby nigdy nic, zaczęła swoje rozważania.

— Dzisiaj był fałszywy alarm. Nie zmienia to faktu, że Tadziovi grozi niebezpieczeństwo. Widziałyśmy na własne oczy, co wyprawia ta jego Laleczka. Myślę, że powinniśmy go pilnować, zapobiec nieszczęściu.

— Jaktyto sobie wyobrażasz?—nie wierzyłam własnym uszom. — Chcesz wyznaczyć warty pod jego domem? W dzień i w nocy? I co z tego, że będziemy tam paradowały i marzły, jak w tym samym czasie Lala poda mu na przykład zatrute jabłko? — perswadowałam.

51

Krystyna Śmigielska

— Zgadzam się z tobą, ale musimy wykorzystać wszystkie spoJ soby. Pomyśl sama, jak będziemy się czuły, jeśli rzeczywiście okaże! się, że anonim nie kłamał? Mam plan, może niezbyt doskonały. Zrealizujmy go, a będziemy miały czyste sumienia.

Z dwojga złego wolałam już słuchać o ratowaniu szefa niż o jędze watej teściowej. Bałam się też, że Magda przypomni sobie o Gwido-| nie i będzie chciała uczestniczyć w naszej czatowej rozmowie, jak] dobrze to rozegram, może wieczór nie będzie taki koszmarny.

— Sąsiedzi — klarowała mi coraz bardziej podekscytowana — to skarbnica wiedzy. List napisał ktoś, kto mieszka blisko Tadzia. Coś widział, coś słyszał, coś wie. Trzeba dotrzeć do tej osoby. Wyciągnąć z niej informacje i wtedy będziemy mogły wprowadzić w życie nasze] dalsze zamierzenia.

— To mamy dalsze zamierzenia? — spytałam naiwnie. — Nie wy- j starczy, że będziemy włóczyły się po okolicy i nagabywały sąsiadów?

— No nie! Jak już będziemy bliżej znały zamiary gacha i Laleczki,] nasze działania będą skuteczniejsze. Będziemy mogły na przykład wymienić zatrute jabłka na normalne, a te spreparowane wyrzucić do rzeki — tłumaczyła mi spokojnie.

— Chcesz się włamać do jego domu? — nie wierzyłam.

— Jak zajdzie taka konieczność, czemu nie?

— Wsadzą nas do więzienia! Zobaczysz! To się źle skończy! Dla! nas źle się skończy! — krzyczałam w szale. — Lepiej idźmy na policję, powiedzmy o wszystkim i spokój. Albo nie! Idźmy do szefa! Pogadajmy z nim otwarcie! Najwyżej wyrzuci nas z pracy! Tobie przecież i tak na niej nie zależy! Ja nie będę się nigdzie włamywać! Rozumiesz?

— Właśnie! Więzienie! — przypomniała sobie. — Mówiłaś kiedyś że już miałaś kłopoty z prawem. Jesteś bardziej doświadczona. Opo wiedz, jak to było, to może unikniemy błędów.

— Magda, to nie ma nic wspólnego z twoim planem. Głupia hist ria i wcale nie jest śmieszna — broniłam się.

Ty to głupia jesteś!

— pozwól, że sama ocenię! Nie migaj się tak, nie wykręcaj.

— Nie chcę! — starałam się być stanowcza.

— Irmina, nie jesteś ze mną szczerą. Dlaczego? Już dawno zauważyłam, że dobrze się kamuflujesz i grasz przede mną słodką idiotkę. Daj tego piwa! — prosiła. — Niech poznam wreszcie prawdziwe oblicza twoich Tomków!

Zamarłam! Myślałam, że jestem taka sprytna a tu klops na całej linii. Magda domyśliła się, że lżę jak pies. Dlaczego mówi o tym dopiero teraz? Prowadziłyśmy tę grę przez dwa lata?

— Nie gniewaj się na mnie — prosiła z piwnym błyskiem w oczach. — Twoja bajeczka o tym biednym Tomku, łajdaku, ma swoich wiernych słuchaczy! Wera jest nią zachwycona. Twierdzi, że chociaż jej mąż jest świnią i dziwkarz, to nie porzucił jej i ona nadal może się nim chwalić. Teraz nawet jest zadowolona z jego wyskoków. Po każdej zdradzie dostaje piękny prezent. Stworzyła sobie nawet teorię, że i z nieszczęścia też można czerpać korzyści. Czerpie i nawet trochę się boi, że jej Misiu się starzeje i korzyści może być mniej.

Wypiłam swoje piwo i chciałam iść do kuchni, żeby wstawić następną porcję na grzańca.

— Daj spokój — zatrzymała mnie Magda. — Rozgrzałyśmy się już jak piece hutnicze.

Szkoda gazu i czasu. Pijemy zimne! Teraz potrzebne nam ostudzenie emocji — śmiała się.

Położyłyśmy się na wersalce. Leciutki szmerek w głowach rozluźnił nasze myśli. Było mi bardzo miło. Nie byłam sama. Bliskość Magdy sprawiła, że w mieszkanku zrobiło się ciepło i przytulnie. Milczałyśmy i chyba pograżyłyśmy się w marzeniach. Powoli zamykałam oczy, czując, jak ogarnia mnie błoga senność.

— Ani mi się waż! — wyrwała mnie z półsnu. — Nie będę tu sama siedziała! Siadaj i opowiadaj! Którego cię tak urządził?!

— Jeśli już mamy być ze sobą szczerze, to powiem ci w zaufaniu, że wstydzę się całej tej historii i dzięki niej inaczej patrzę na męż-

Krystyna Śmigielska

czyn. Nie twierdzę, że wszyscy są źli i niemoralni. Nie uogólniam ' Sparzyłam się, więc dmucham na zimne — mówiłam, starając się unikać tematu Gwidona. — Wyglądało to tak.

Pojechałam z bratem i bratową na wczasy nad morze. Nie chciałam im przeszkadzać ■ i często starałam się sama spacerować, chodzić na piwo lub lody. J Marka poznałam w banalny sposób. Dosiadł się do mojego stolika ■ w kawiarni. Na początku nie widziałam w tym nic złego. Tłok był] duży i ludzie polowali na wolne krzeselko. Usiadł ze szklanką piwa.!

Podziwiał widok za oknem, piękny zachód słońca. Kawiarnia stała prawie na plaży. Sama widzisz, początek jak z kiepskiego romansidła.

— Przystojny był? — spytała.

— Nie wiem! Starszy trochę ode mnie, ale niezbyt dużo. Elegancko ubrany. Miał grubą, złotą bransoletkę na rękę. Już to powinno daj mi do myślenia. Ale samotna kobieta w moim wieku (było to trzy lata temu), udaje, że nie widzi takich drobiazgów. Szum fal widocznie] mnie ogłuszył, otumanił. Włosy miał pięknie wymodelowane. Taki goguś — jednym słowem.

Kiedy skończyłam jeść lody i zbierałam się do wyjścia, przemówił. Wstawiał mi bajer o pięknych, samotnych] kobietach, o spacerze brzegiem morza, o kolacji przy blasku świec] i klejnotach, które są dla mnie odpowiednie. Nie chciałam być niegrzeczna i czekałam, aż skończy. Przycupnęłam na krzeselku. Wi-j docznie zauważył, że nie trafił w mój czuły punkt i zaczął z innej] beczki. Biedny, samotny, porzucony. Ja rozsądna (śmiać mi się chce teraz z tego), inteligentna, piękna, potrafiąca zapełnić pustkę w jego! życiu. Postawił mi piwo!

Wyobraź sobie! Nie znałam faceta i piłam z nim, za jego pieniądze! Na samo wspomnienie ciarki chodzą mi do' dziś po plecach. „Jestem Marek, ja Irmina" i wszystko na ten temat. Lato, morze, zachód słońca, kto by pytał o resztę, legitymował drania? Podczas spaceru pustą już

plażą delikatnie mnie objął. Na promenadzie pocałował. Było tak sobie, bez rewelacji. Opowiadał o studiach

54

iy LU LfiUjJIU yCOŁCi.'

rawniczych i o swojej manii — szybkich samochodach. Staralam się łuchać, nie mówić o sobie. Przed zaproszeniem na kolację do ekskluzywnej hotelowej restauracji, głaskał moje włosy i mówił: „Zdaj się na mnie”. Kolacji nie żałuję! Magda, mówię ci, przepych. Kelne-rZy skakali na każde jego spojrzenie jak małpki. Znali go. Mówili do niego „panie Marku”. Piłam prawdziwego szampana, jadłam ślimaki, kawior i sama już nie wiem co jeszcze. O dziesiątej wziął moją komórkę i wysłał sms-a do mojego brata, że będę jutro po południu, że niby spotkałam koleżankę i przenocuję u niej. Począł, aż brat odpisze i nie pytając mnie o zgodę, wynajął apartament w hotelu. Poszłam za nim jak owca na rzeź! Pokój był piękny. Łazienka cud! Nie widziałas jeszcze takiego cacka. Płaska, okrągła wanna w podłodze, jak w filmach. Napuścił wody, rozebrał mnie i wsadził do tej bajecznej wanienki. Potem sam zaczął się przygotowywać do „aktu miłości”, tak pięknie nazwał moje kurestwo. I już był w ogródku, już witał się z gąską, już się na mnie wdrapywał, pachnący, mokry, męski...

— Dalej — poganiała mnie Magda. — Może piwka?

— Daj piwka! Kurczę, jaki człowiek jest czasem głupi! Nie mogę uwierzyć, że to mi się naprawdę przytrafiło.

— Coś z nim było nie tak? — śmiała się.

— Jeśli o to chodzi, był w porządku. Wszystko jak w książce, rozmiar imponujący — przyznałam.

— Pij i opowiadaj. Nie dręcz mnie! — skomlała.

— A masz silne nerwy?

— Nie mów tylko, że nakryła was jego żona.

— Gdyby to była żona, byłabym szczęśliwa. Do dziś wysyłałabym jej świąteczne kartki z życzeniami spełnienia najskrytszych marzeń.

Magda zapaliła papierosa i skamieniała. Nie pytała już o nic. Czekala. Nie miałam sumienia narażać jej na dalsze niepotrzebne stresy. Uznałam, że miała ich dziś w nadmiarze. Łyknęłam piwo, wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam z siebie ponurą prawdę.

55

— Leżymy nago w pięknej wannie. Otacza nas obfita piana. Męskie, mokre ciało ślizga się po mnie. Lekko rozłożyłam nogi, napięłam się jak struna, zamknęłam oczy i czekam. Nagle jak nie huknie! Myślałam, że hotel się zawalił, że trzęsienie ziemi, tsunami, w koń-, cu, że trzecia wojna światowa. Wystraszona wyskoczyłam z wanny. Nic nie widziałam. Cała łazienka była w jakimś gęstym pyłe. Ktoś^ rzucił mnie na podłogę, przycisnął plecy kolanem i wykręcił obiel ręce do tyłu. Słyszałam pojedyncze rozkazy. „Nie ruszać się! Na zie-l mię! Zamknij się!”. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że krzyczę, ile tylko sił w płucach. Pył powoli opadał. Lekko uniosłam głowę

i zobaczyłam kilkunastu ludzi ubranych na czarno, w kominiarkach na twarzach i ze skierowanymi w moją stronę karabinkami w rę-< kach. Zamarłam! Prędzej bym się śmierci spodziewała! Musiało ich być więcej. Słyszałam, jak przewracają pokój do góry nogami. Jeden z nich wszedł do pięknej, jeszcze przed chwilą, łazienki. Trzymał w rękach moją torebkę i grzebał w niej bez najmniejszego skrepo wania. Stanął nade mną w rozkroku, wymierzył we mnie pistole i wrzasnął: „Nazwisko, suko! Nazwisko, kurwo jedna!” Spojrzałam na Magdę. Palila drugiego papierosa, bezwiednie popi jając go piwem. Oczy miała wielkie jak pięć złotych.

— Wystękałam w końcu, jak się nazywam. Zamaskowany face schylił się, żeby spojrzeć mi w twarz i porównać z moją podobizn w dowodzie osobistym i legitymacji studenckiej.

„Patrzcie, panowie, studentka, inteligentna kobieta, niebrzydka, a kurwa! Dziewczyno,

pomyśl, co robisz?" Dobra rada, ale trochę się z nią spóźnił. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kazali nam się ubrać, skuł nas kajdankami i wyprowadzili z hotelu prosto do suki. Jechaliśmy, nie mówiąc ani słowa. Okazało się, że była to brygada antyterrorystyczna, a mój Romeo to zwykły handlarz narkotykami i żywym towarem. Sprawdzili dokładnie, jakie miałam powiązania z narkoty-

56

I y IU yiUpJU JCSieS!

kowym gangiem. Rano przyszedł po mnie brat. Wypuścili mnie. Kie-hv wychodziłam z komisariatu, podszedł do mnie mężczyzna w cywilu. „Przepraszam panią — powiedział. — Ale sama wpakowała się pa™ P° uszy- w ^Yciu trzeDa uwazac i nie wierzyć pierwszemu napotkanemu facetowi. Niech pani porzuci wiarę w ludzi i trzeźwo spojrz na świat. Dobrze radzę.”

— To był ten od „kurwy”?

— Tak. Nie czułam do niego żalu. Miał rację. Teraz wiesz, dlaczego jestem ostrożna i dlaczego nie szukam męża? Kiedy słyszę, że ktoś mówi: „Zdaj się na mnie” przypomina mi się piękna hotelowa łazienka zdemolowana przez brygadę specjalną.

— Oślizgły jak wąż wspinał się na ciebie, a tu... łubudu! Rozpieprzyli cały apartament? — zastanawiała się.

— Wpadli jak burza... — nie wiem czemu zaczęłam się śmiać.

— On ślizga się po tobie, a oni pierdut w drzwi? — Magda zaczęła ryczeć z zachwytu.

— Cały hotel się zakołysał — tarzałam się po pościeli.

— Ty oczka zamknięte, a oni z pepeszą do ciebie? Chyba się posi-kam! Czegoś takiego jeszcze nie słyszałam.

— Nie do łóżka — prosiłam. — Nie śmiej się tak, tylko turlaj się do toalety!

Magda jakby na to czekała. Wstała z wersalki i zgięta w pół, wyła radośnie.

— Toalety! Toalety! Toalety!

— Uspokój się, wariatko! — zaklinałam ją, jak umiałam najciszej. — Sąsiedzi mnie stąd wyrzuca. Już chyba jest po północy?

Otworzyła dwa kolejne piwa. Jedno mi podała, swoje piła duszkiem z butelki. Usiadła na dywanie, rozłożyła nogi i ciągnęła żółty Płyn jak spragniony wędrowiec życiodajną wodę w oazie.

— Żółty łańcuch mu dynda, a tu jak nie pizgnie! — wybuchła ze zdwojoną siłą.

57

Krystyna smigieisKa

— Do toalety — jęczałam błagalnie. — Nie na dywan! To nie mój wynajęty!

— Ale z ciebie artystka! „Ty z nim poszłaś ślepo, damo bez matii ry” — zaśpiewała.

— O, wypraszam sobie! Maturę już miałam! Ale wpadka, co? Słyszałaś kiedyś lepszą historię? — nie wiem, czemu tak bardzo rozba wiły mnie moje tragiczne przeżycia.

Magda spoważniała. Patrzyła na mnie jak na bohaterkę.

— Podziwiam cię! Mówię poważnie! Takiej opowieści jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam. Byłaś w sercu wydarzeń — znów ryk nęła śmiechem. — Do toalety! Już grzecznie idę... — próbowała podnieść się z podłogi.

Kiedy wróciła, leżałam już spokojnie, przykryta po uszy kołdrą i próbowałam zasnąć. Nie wiem, czemu wersalka była dziwnie niestabilna. Wirowała, zapadała się. Od jej obrotów żołądek podskakiwał mi do gardła.

— Nie, nie, nie, moja panno! Już mi stąd! Ja od ściany — spychał, mnie na brzeg. —

Mężatki śpią od ściany! Wynocha! To moje miej sce!

Nie byłam zachwycona takim obrotem sprawy, ale nie miałam siły protestować. Grzecznie się przesunęłam, myśląc o tym, że jak choroba morska weźmie nade mną górę, będę miała krótszą drogę do ubikacji.

Telefon dzwonił i dzwonił. Dotarło do mojej świadomości, że jeżeli nie podniosę słuchawki, nie przestanie. Wściekła próbowałam zerwać się z łóżka. Zaplątałam się w kołdrę i zwałam na podłogę. Wpadłam na puste butelki po piwie i dopiero ból i głośny brzęk toczącego się po parkiecie szkła, przywołał mnie do przytomności.

58

Ty to głupia jesteś!

W głowie huczało mi niemiłosiernie. W ustach czułam wstrętną gorycz. Jak niemowlę poraczkowałam do stolika i wreszcie znalazłam wyjąca słuchawkę. Jedną ręką odebrałam telefon, drugą wyciągałam z paczki papierosa. Sięgałam już po zapalniczkę, kiedy w słuchawce odezwał się głos Magdy.

— Odbiło ci? Wiesz, która jest godzina? Chyba oszalałaś? — wydierała się, trzeźwa jak dziecko.

— Kurczę, gdzie ty jesteś? — pytałam zdezorientowana, rozglądając się po ciemnym pokoju.

— Skąd ty dzwonicz? Nie wygłupiaj się!

— Ja się wygłupiam? Ja? — śmiała się Magda. — Ja jestem w pracy. Odstoń okna! Słonko już świeci! Pijaczka jedna! — ściszyła głos. — Stenia już dwa razy pytała, gdzie jesteś!

— O Boże — jęknęłam, bo nic bardziej sensownego nie mogło zalegnać się w mojej głowie.

— Która jest godzina?

— Dziewięta — rzeczowo poinformowała mnie Magda. — Słuchaj, dzwoń do Tadka i proś o urlop na dzisiaj. Masz gorączkę i gardło cię boli. Chcesz to wyleżeć, żeby nie brać zwolnienia. Słyszysz?

— No co ty? Nie wyartykułuję żadnego dźwięku. Zaraz pozna, że jestem spita — broniłam się.

— Powiedz, że tak cię boli gardło, że nie możesz mówić — radziła mi.

— Magda! Magdeczka! Magdusia! — błagałam ją, unosząc się na kolana. — Klęczę przed tobą! Pomóż! Będiesz moją przyjaciółką, powiernicą, kim tylko chcesz, ale załatw to za mnie. Miej litość! Nie zostawiaj mnie w potrzebie.

— Idź do łóżka i wyśpij się! A piwa więcej z tobą nie pij! Nie znasz umiaru! — śmiała się.

— Załatwisz? — pytałam.

— Załatwię! Czego się nie robi dla przyjaciółki, choćby była alko-holiczką.

— Kocham cię — wyszeptałam.

59

муыупи snuyieibKU

— Jeszcze czego?! — oburzyła się. — Raz się z taką przespała: a ona wyobraża sobie, że dla niej zostawię męża i dzieci. Pa! — roz łączyła się.

Niespodziewany dzień urlopu postanowiłam wykorzystać A odpoczynek i zwykłe byczenie. Letni prysznic przywrócił mi d życia. Pozbierałam walające się po całym pokoju dowody naszego wczorajszego pijaństwa. Policzyłam puste butelki i muszę szczerze przyznać, nie wierzyłam własnym oczom. Doszłam do wniosku, że mogę mieć pewne kłopoty z trzeźwym spojrzeniem na rzeczywistość, dlatego czynność tę powtórzyłam jeszcze dwa razy. Wynik był zawsze taki sam. Wypiłyśmy z Magdą dziesięć butelek piwa! W paleniu również okazałyśmy się rekordzistkami. Dwie pełne pe tów popielniczki stały ma moim uroczym, okrągłym stoliczku. Jak tego było mało, niedopałki walały się na serwetce, na dywanie, p podłodze i o zgrozo, w pościeli! Szybko jednak znalazłam dla siebie usprawiedliwienie. To nie ja, to Magda! Nigdy nie złamałabym swo jej żelaznej zasady i podstawowej normy bezpieczeństwa: „Palenie w łóżku zabronione!”

W trakcie sprzątania przypominałam sobie o Gwidonie! Komputer całą noc był włączony. Stanowczo wczoraj przesadziłam i nie dopilnowałam swoich interesów! Trudno. Więcej to się nie powtórzy! Usiadłam przed monitorem. Lekko poruszyłam myszką, aż w końcu ekran zaświecił. Ciągłe byłam połączona z czatem. Na liście gości był tylko mój nick. Na listwie

widniała ikona wiadomości od Gwidona. Wciągnęłam głęboko powietrze i kliknęłam. Nie napisał ani jednego słowa od siebie. Przysłał tylko kolejny tekst. Teraz byłam już na sto procent pewna, że Gwidon z Galerii i Gwidon z czatu to jedna i ta sama osoba. Przeczytałam: Jedno mnie łączy ze światem — obroża. Szczęnięta moje dawno potopili. Za miskę jadła jestem niewolnicą. Szczekam na rozkaz i witam się z wrogiem. „Daj łapę” słyszę i wiem o tym dobrze, że chociaż nie chcę,

60

Ty to głupia jesteś!

IO w końcu tak zrobię. Pilnuję czegoś, co nie jest mą sprawą. Panu najchętniej przegryzłabym gardło, lecz siedzę cicho, wiem, że nic nie zrobię. Krew jest za słodką, za lepką, za czarną. Gdy zasnę, nigdy władza mi się nie śni. Dni chcę doczekać w spokoju jedynie. Myślę, że świat byłby piękny, lepszy, gdyby nie ludzie...

O, matko jedyna! Na psa urok! — pomyślałam. On też o pieskim życiu! Przypomniałam sobie biedną suczkę szefa! Może w tym tekście zawarta była jakaś głębsza treść, ale nie stać mnie było na wnikliwą analizę „dzieła”. Niepewną ręką przepisałam wiadomość i schowałam do szufladki w biurku, tam gdzie trzymałam całą twórczość Gwidona. Szczerze mówiąc, dzisiejszy kawałek przypawił mnie o dodatkowy zawrót głowy. Wyłączyłam komputer i spokojnie położyłam się na złożonej wersalce. Zasnąłam.

— Litości — jęknęłam, otwierając drzwi. — Od razu ci mówię, żadnego picia i spania na mojej wersalce. Palisz w łóżku papierosy!

Magda nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Bez ceregieli wsunęła się do mieszkania i rozgościła w kuchni. Wystawiała na blat szafki jakieś garnki i talerze.

— Daj patelnię. Całkiem wystygły. Pierogi mojej teściowej są super! — zachwalała, zdejmując kurtkę i wieszając ją na oparciu krzesła.

— Czy ty nie masz domu? — dopytywałam się.

— Spokojnie! Możesz mnie zrewidować. Szczoteczki do zębów nie przyniosłam. Owszem, ostatnia noc była upojna, ale dzisiaj upiję się moim Igorkiem. Nie miej do mnie urazy, muszę jednak kategorycznie stwierdzić, że jako kochanek jest od ciebie o niebo lepszy — żartowała.

— Potrzebuję spokoju — szeptałam, waląc się na wolne krzesło.

61

Krystyna Śmigielska

— Potrzebujesz ciepłego posiłku! — protestowała. — Zrób kawę/ ja zrobię obiad.

Pierogi pachniały zachęcająco.

— Jak grzecznie zjem, to sobie pójdziesz? — upewniałam się.

— Pójde, pójde — śmiała się.

— Igor już się na ciebie nie gniewa? — zaczęłam badać teren.

— Co ci strzeliło do głowy?! Igor się na mnie nie gniewał, ani ja na niego! Wkurzyła mnie wczoraj jego mamuska, to fakt. To on mi zaproponował, żebym się odprężyła i poszła do ciebie. Zajął się wszystkim! Kochany! A efekty jego działań zaraz skonsumujemy! Tak pogonił kota teściowej, że na zgodę nagotowała pierogów dla całej armii i w ten właśnie sposób i ty skorzystasz z naszych nieporozumień — dumnie mówiła, rozkładając talerze na stole. — Dobrze sobie męża wychowałam!

— A propos męża — przypomniałam sobie. — Gwidon się wczoraj odezwał. To jednak ten sam Gwidon! — zakomunikowałam.

— Gdzie masz jakiś widelec? — pytała, otwierając kolejno wszystkie szuflady w meblach.

— Co u niego?

— W pierwszej od okna, na samej górze — odpowiadałam po kolei. — Nie wiem, ale chyba nie jest z nim dobrze.

Magda zamarła z widelcem w ręce. Szybko jednak oprzytomniała, bo pierogi już skwierczały na patelni. Przewracając je, dalej szukała czegoś wzrokiem, lustrując swoją kuchnię.

— Wolisz z cebulą czy ze śmietaną?
— Ze śmietaną — odpowiedziałam. — Cebuli nie mam.
— Dobra — zgodziła się. — Dlaczego tak myślisz? Zwierzał ci się?
— Jeszcze by tego brakowało — warknęłam. — Zwierzeń! W zupełności mi wystarczy, że wypisuje głupoty.
— Nic nie wiem o „głupotach” — żalącym się głosem mówiła, kładając pierogi na talerze.

62

Ty to głupia jesteś!

___ pokażę ci po obiadku! Teraz chcę zjeść z apetytem. Smaczne-

Or — zakończyłam rozmowę o Gwidonowych karteczkach.

Kawę piłyśmy w pokoju, przy moim ulubionym stoliczku. Mieszkanie wynajęłam kompletnie wyposażone. Mogłam korzystać z cudzej nralki, lodówki, nawet odkurzacza. Stoliczek był mój. Kupiłam go za psie pieniądze na bazarze. Trochę brat mi go podreperował i teraz ten niepozorny mebel dumnie stał w pokoju, na honorowym miejscu!

Paliłyśmy papierosy, a ja odruchowo kontrolowałam Magdę, czy nie strzepuje popiołu na dywan lub serwetkę. Dzisiaj zachowywała się przyzwoicie, prawie jak dama.

— Czym więc Gwidon tak cię wnerwił? — spytała słodkim głosikiem.

Czar przysł. Z damy wyszła współczesna kobieta.

— Nie chcesz wiedzieć — wmawiałam w nią. — Stracisz dobry humor na resztę dnia i nie będziesz już miała ochoty na miłosne igraszki z Igorem.

— Do tego trudno mnie będzie zniechęcić — upierała się. — Chętnie poczytam coś mądrego!

— Pamiętaj! Uprzedzałam — mówiłam, podając jej kartkę. Zaczęła czytać z zadowoloną miną. W trakcie lektury jej twarz

ulegała dziwnym przeobrażeniom. Oczy powiększyły się chyba dwukrotnie. Otworzyła usta i mamrotała niewyraźnie. W końcu podała mi kartkę.

— Schowaj to do szafki i zamknij na klucz! — powiedziała poważnie. — Najwyższy czas zająć się nim konkretnie. Na mózg mu już pada. Baby mu trzeba! Baby! Przystępujemy do ofensywy! Trzeba ratować ludzkość! Jutro sobota, musimy złapać go w Galerii. Wyobraź sobie, że te jego wypociny przeczyta pół miasta. Depresja, jak nic! Nic nie załatwisz, nic nie kupisz, nigdzie nie dojedziesz! Totalne zniechęcenie do życia!

63

Krystyna Śmigieliska

— Niby ja mam ratować?! Taki bohaterски czyn społeczny?

— Ciemnej stronie życia przeciwstawimy czar i piękno! — mówił w uniesieniu, gestykulując teatralnie.

— ja tego Gwidona na oczy nie chcę widzieć! Rozumiesz?! Na żaden czat nie wchodzę, żadnych kartek więcej nie zbieram! Koniecti Kropka! Niech szuka sobie innej Dulcynei! Don Kichot jeden! % nadaję się na opiekunkę wariatów!

Moja przyjaciółka najwyraźniej nie była zadowolona z reprezentowanej przeze mnie antyspołecznej postawy. Nerwowo dopalała papierosa i szybko sączyła resztkę kawy.

— Zrobisz, jak będziesz uważała — powiedziała nienaturalnym, służbowym tonem. — Ja uważam, że jesteście dla siebie stworzeni.] Twoja wola! Nie chcesz męża, szukaj dalej przygód. Może Mareczka już wypuścili z kicia? Gwidon na pewno nie zagwarantuje ci takich] atrakcji.

Totalnie mnie zaskoczyła. Nie zdążyłam ustosunkować się do jej wypowiedzi, ponieważ ubrała się błyskawicznie i stojąc już w otwar-j tych drzwiach, zakomunikowała:

— jeżeli nie szukamy jutro Gwidona, to możemy śmiało udać się na ulicę Śliwkową.

Wpadnę po ciebie koło jedenastej. Bądź gotowa!]

— Co jest na Śliwkowej? — szybko spytałam.

— Jak to co? — zdziwiła się. — Tadzio tam mieszka! I postaraj się ubrać w jakiś płaszcz, żebyśmy nie rzucały się w oczy. Załóż może czapkę. Cześć! — zamknęła drzwi.

— Nie mam płaszcza — smutno powiedziała sama do siebie, stojąc w pustym przedpokoju.

— Czapki też nie mam. Ale mani chustkę! Już ja ci pokażę! Poczekaj! Zobaczysz, jak się przebiorę! Nawet ty mnie nie poznasz.

Z tego pośpiechu Magda nie zabrała swoich garnków. Nie podziękowała jej też za rzeczywiście wspaniałe pierogi. Zmywała gary i kombinowała, jak powinnam się ubrać na jutrzejszy spaJ

64

i y io дшрю jesies:

O śliwkowej. Nie mogłam się wykręcić z tej akcji. Po pierwsze, ałaby mnie za zdrajczynię! Po drugie, uważałyby, że życie szefa mi całkowicie obojętne (a on jest dla mnie taki ludzki). Po trze-• czepiałyby się tego szaleńca, Gwidona. Musiałabym ganiać po ierii i przyglądać się jakimś obcym, podejrzanym facetom. Swoją, „a to igor mógłby poświęcić jej trochę więcej czasu. Co to za małż? Sprząta, gotuje, zajmuje się dziećmi, a ona szwenda się po mieście za jakimiś zbrojeńcami. Może między nimi nie jest aż tak nieknie, jak to przedstawia Magda? O co tu chodzi? Wiem! Igor jej nie lubi i dlatego jest zadowolony, kiedy chociaż na chwilę pozbędzie się jej z domu!

— Spóźniłaś się! — wyrzucałam Magdzie.

Zbliżałyśmy się do przystanku tramwajowego. Zgodnie z sugestią mojej przyjaciółki, dołożyłam wszelkich starań, żeby mnie nikt nie rozpoznał. W tym celu zarzuciłam na głowę starą, wełnianą chustę. Magda również wykazała się podziwu godną przezornością. Na głowie miała elegancki kapelusik swojej teściowej. Pasował jak ulał do starego beżowego płaszcza, którego fason wyszedł dawno z mody, ale i tak prezentowała się uroczo w przykusym i odrobinę za ciasnym odzieniu. Szłyśmy szybkim, marszowym krokiem, a ja czułam, jak pot leci ze mnie ciurkiem.

— To nie moja wina, że jesteś kopnięta! Ludzie się za tobą oglądają! Miałyśmy nie rzucać się w oczy, a ty wyglądasz, jakbyś biegła na bal przebierańców! Nie mam do ciebie siły! Wszystko ci się nie podoba! Ciągle jesteś niezadowolona! Zobacz, o której ten tramwaj — syczała na mnie jak jadowna żmija.

Nie mogłam pojąć, o co jej właściwie chodzi. Przesadziłam z chustką, fakt. Sama jednak chciała, żeby mnie nikt nie poznał.

— Zaraz będzie — zakomunikowałam.

65

кiуьiупи зииуїсiьки

Przystanek znajdował się na małej wysepce. Spory tłumek ludzi oczekiwał na przyjazd tramwaju. Linia przebiegała obok dwóch' największych w mieście marketów, a jak ogólnie wiadomo, sobota jest doskonałym dniem na rodzinne wycieczki do sklepów. Chciałam zapalić papierosa, ale w tym ścisku nie mogłam sobie pozwolić na komfort zaciągania się dymem. Stałam więc zrezygnowana] i wściekła sama na siebie, że dałam się namówić na tę idiotyczną wyprawę.

— Irmina! Jak Boga kocham! Irmina! To naprawdę ty?

Cały mój kamuflaż diabli wzięli. Z dobiegającego do moich uszu krzyku, mogłam wywnioskować, że zostałam rozpoznana. Roz-j glądałam się ciekawie! Nie zauważyłam jednak nikogo znajomego. Po krótkiej chwili stojący przede mną ludzie zaczęli się rozstępować, tworząc wyrwę w zbitej masie ciał. I wtedy właśnie zobaczyłam księcia z bajki!

Zamurowało mnie na moment. Książę, co prawda nie na białym koniu, tylko na przystanku tramwajowym!) Pomyślałam — dobre i to. Niech będzie na przystanku. Posuwał! się wolno w moją stronę. Wyglądał imponująco. Młody, średniego wzrostu, o kruczoczarnych włosach,

śniadej cerze i pięknym, uj-1 mującym uśmiechu. Ubrany był w długi, szary płaszcz. Pod szyją; miał fantazyjnie zawiązany aksamitny szaliczek. Cud, nie chłopak!

— Co za spotkanie! — wołał, stojąc już przy mnie. — Własnym oczom nie mogę uwierzyć! Irmina! Moja piękna Irminka!

— Rzeczywiście — przyznałam zakłopotana. — Niezwykły zbieg okoliczności! — ciągle nie wiedziałam, kim jest ten uwodzicielsko piękny facet.

— Co ty tu robisz? — dopytywał się mój adorator. Uśmiechnęłam się głupkowato. Dobre pytanie! Mądrością to on chyba nie grzeszy, skoro do tej pory nie domyślił się, dlaczego stoję na przystanku tramwajowym.

iy lu yiupiu]сысь:

— no właśnie, co? — droczyłam się. — Jak myślisz?

Facet spojrział na mnie i na ułamek sekundy uśmiech skamieniał mu twarzy Szybko jednak odzyskał rezon. Widocznie puścił w niepamięć mój cynizm i uświadomił sobie, że źle sformułował pytanie. Ja też postanowiłam uznać je za niebyłe.

— Takie duże miasto, a jednak się spotkaliśmy. Wiedziałem, że tu jesteś, rozglądałem się za tobą, no i popatrz, dziś miałem szczęście, prawdziwy dar od losu! — promieniał.

— ja nie wiedziałam, że tu jesteś — przyznałam, zgodnie z prawdą, jego głos wydawał mi się dziwnie znajomy. Nie mogłam jednak dopasować go do znanych mi mężczyzn.

— Prawdopodobnie nie zauważyłbym cię w tym tłumie, ale ta chusta... Jej to nigdy nie zapomnę! Jeszcze ją masz? — zagadywał.

— Mam — odpowiedziałam automatycznie, bo w myślach przeprowadzałam intensywne śledztwo.

Jeżeli poznał mnie po chustce, to musi być ktoś z mojego liceum. Nosiłam ją tylko przez dwa lata. Krąg podejrzanych zacieśniał się. Nie był to żaden z moich klasowych kolegów, tego byłam pewna. Gadał jak katarynka. Wylewał z siebie nieustający potok słów. Musiał być ode mnie starszy, ale niedużo, rok, najwyżej dwa. Wyglądem przypominał dygnitarza, bankiera, dyplomatę.

— Słuchaj, zaraz przyjedzie mój tramwaj! Samochód mi się popsuł — tłumaczył się. — Mieszkam tu, niedaleko! Musimy się spotkać! Co powiesz o kolacji? Może być dzisiaj? A może ty już wyszłaś za mąż? — spytał wystraszony.

— Nie — szepnęłam, nie chcąc oznajmiać tej wieści wszem i wobec.

— To wspaniale! Tak się cieszę! — wołał na całe gardło.

— Ja też — jęknęłam.

— W takim razie nie ma żadnych przeszkód! Możemy spędzić ze sobą miły wieczór przy świecach.

67

Krystyna smigieisKa

Nie zdążyłam nic powiedzieć, sam ustalał szczegóły naszej randki.

— O, jedzie! Siódemka! Ty też siódemką? — zainteresował się.

— Nie! — odpowiedziałam.

— Trudno! To moja wizytówka! Czekam na ciebie o dwudziestej! Możesz przedtem zadzwonić, to wyjdę po ciebie. Wynajmuję dużej piękne mieszkanie. Sama zobaczysz. Tak się cieszę, że będziemy razem! To wspaniałe spotkanie! Dzwoni i do zobaczenia! Nie mogę się już doczekać! — mówił, całując mnie w policzek i nie oglądając się, ruszył w stronę zatłoczonego tramwaju.

Stałam oszołomiona. Facet o wyglądzie amanta filmowego i o znajomym głosie wciska mi w rękę swoją wizytówkę i wykrzykuje na; cały przystanek, że nie może się doczekać naszej randki.

— Kto to? — spytała Magda, która, jak się okazało, stała przez cały czas za moimi plecami.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — D mi wizytówkę.

— Nie chcesz mówić, to nie — obraziła się.

— Czemu zaraz się boczysz? Naprawdę nie wiem. On mnie poznał, ale ja nie mogę go sobie przypomnieć. Jak dojedziemy, zerknę na wizytówkę i będziemy wiedziały, kim jest — starałam się ją udobruchać.

— Nie znasz go — uśmiechała się kpiąco. — Facet całuje ci w miejscu publicznym, obraża tym moralność i uczucia estetyczn przechodniów, a ty spokojnie twierdzisz, że jak wysiądziesz z tramwaju, to łaskawie spojrzysz na wizytówkę i już będziesz wiedziała, kto cię adorował.

— Uwierz mi — prosiłam. — Głos miał znajomy. Poznał moją chustkę. Za Chiny nie mogę sobie skojarzyć tego głosu z twarzą i nazwiskiem. Musiał się bardzo zmienić.

68

Ty to głupia jesteś!

Następny przystanek był przy markecie. W tramwaju zostało tylko kilka osób. Usiadłyśmy wygodnie na krzeselkach. Magda obróciła się w moją stronę i zaczęła mnie przesłuchiwać.

— Nieważne skąd go znasz. Przystojniaczek z niego! I tak czule się z tobą żegnał! — westchnęła rozmarzona.

— Wygląda przyjemnie — przyznałam. — Mówił jednak jak najęty. Zdażyłam tylko wtrącić, że jestem panną. Straszny gaduła. Mieszka niedaleko. Jak nie będziesz wyprawiać mi scen, to ci coś powiem — szeptałam tajemniczo.

— Nie wyprawię! — obiecała. — Mów, małego jedna! Mów zaraz!

— Podoba mi się! Wygląda jak księżę z bajki. Czas pokaże, czy z tej maki będzie chleb. Rzeczywiście, podobają mi się mężczyźni, którzy dbają o swój wygląd. Ten na pewno dbał. Pachniał ładnie, drogo. Twarz miał starannie wygoloną, gładziutką. Włosy krótkie, dobrze podstrzyżone. Oczy piwne. Rzęsy tak długie, że chyba każda modelka mogłaby mu ich pozazdrościć. Tylko ta jego gadanina! Jak katarynka! Usta mu się nie zamykały. Nie powiedział też nic, na co warto by było zwrócić baczniejszą uwagę. Mądrością chyba nie grzeszył. Doszłam jednak do wniosku, że nie powinno się oceniać ludzi po krótkiej rozmowie. Warunki były niesprzyjające. Tłok, niespodziewane spotkanie. Ważne, że na mój widok się ucieszył.

— Pójdiesz? — spytała Magda.

— Gdzie mam iść? — nie mogłam zrozumieć, wyrwana z rozmyślań.

— Pytam, czy pójdiesz na kolację przy świecach?

— Chyba tak. Mam dziś wolny wieczór. Ty śpisz z Igorem, więc muszę znaleźć sobie inne towarzystwo — żartowałam.

— Żeby to tylko nie skończyło się brygadą antyterrorystyczną — mówiła z przekąsem.

69

Krystyna Śmigielska

— Zaczynam żałować, że ci powiedziałam! Raz w życiu głupio się; zachowałam. Wiem dobrze, to był straszny błąd. Nie musisz mi teraz i docinać. Ty nie miałaś przed Igorem żadnych przygód? — odgryzłam! się.

— Nie miałam — Magda przyznała się ze smutkiem. — Igor był pierwszy. Znamy się od podstawówki.

— W przedszkolu nie miałaś adoratorów? — starałam się ją rozba-j wić.

— Był taki jeden, ale krótko to trwało. Tak mnie kochał, że ukradł mi butyl Mama kategorycznie zabroniła mi dalszych z nim kontaktów.

— Ukradł ci buty? — zdziwiłam się. — Jak?

— Normalnie! Jego matka zabrała moje buty z szafki w szatni. Potem chciała je sprzedać na bazarze. Miała pecha. Buty były znaczone.] Moja mama je rozpoznała. I tak się miłość skończyła.

— Brygady tym nie przebijesz, ale to też ładna opowieść — pochwa[^] liłam ją.

Od pętli dzieliły nas dwa przystanki. Tramwaj przyśpieszył i leciutko kołysząc się, gnał przez dzielnicę domków jednorodzinnych. Pomyśla[^]! łam, że motorniczy musi być osobą palącą i im bliżej postoju, tym bar-j dziej ma ochotę na papieroska, dlatego tak pędzi. Jechałyśmy prawie pół godziny. Odruchowo włożyłam rękę do kieszeni kurtki, żeby wymacać paczkę papierosów. Natrafiłam na wizytówkę. Magda się o nią nie upominała, więc postanowiłam, że przeczytam ją dopiero w domu.

— Co właściwie zamierzamy tu robić? Wiesz, gdzie on mieszka? — dopytywałam się, chcąc odwrócić jej uwagę od moich serco-j wych spraw.

— Byłam kiedyś u niego w domu. Poszwendamy się trochę. Może spotkamy jakichś sąsiadów, zapytamy, czy nie zauważyli nic podejrzanego. Dobrze by było, żeby nas Tadziu tu nie przyłapał! Chcemy' mu pomóc, ale nie wiemy, czy on tego chce.

70

lyioqtupiajestes:

Spacerowałyśmy sobie po willowej dzielnicy. Słońce przebiło się przez poranną mgłę i jak na tę porę roku, grzało wspaniale. Musiałam zdjąć chustę z głowy i przerzucić ją przez ramię. W kurtce i luźno zwisającej, barwnej szmacie na ramieniu musiałam wyglądać intrygująco. Już trzeci raz okrążyliśmy wyznaczony przez siebie teren. W kółko chodziłyśmy tymi samymi uliczkami. Magda nie miała dobrego humoru. Atakowała mnie bez najmniejszego powodu. Doszłam do wniosku, że wścieka się o mojego szkolnego kolegę. Zdziwiło mnie to bardzo, ponieważ taki elegancik powinien się jej podobać a moja przyszła randka była wspaniałym tematem do rozważań, śmiechów i daleko idących planów co do mojego zamąż-pójścia. Dlaczego nie wykorzystwała nadarzającej się okazji i nie zadbała o dobry nastrój? Samo śledztwo dotyczące wyjaśnienia treści anonimu do szefa już jej chyba nie interesowało. Pomyślałam też, że może konflikt z teściową pochłonał ją całkowicie. Musi się na kimś wyżyć! Trudno, nie ma nikogo lepszego pod ręką, niech wyżywa się na mnie.

Wysłuchiwałam jej złośliwości bez mrugnięcia okiem. Od czego w końcu mamy przyjaciół? Defilowałyśmy przed willą szefa w regularnych odstępach czasu. Dzielnica była wyjątkowo spokojna. Do tej pory spotkałyśmy jedynie starszego mężczyznę, prowadzącego dużego psa na smyczy. Właściwie to pies prowadził swojego pana, ciągnąc go z całej siły. Biedak zapierał się nogami o chodnik, ale jego czworonóg był wyraźnie silniejszy. Kiedy mijaliśmy się z nimi, właściciel brytana, wolną od smyczy ręką, podniósł do góry kapelusz i uśmiechał się do nas przepraszająco. Widziałyśmy też dwa samochody, które poruszały się w żółtym tempie. Cisza panująca dokoła dzwoniłaby mi zapewne w uszach, gdyby nie narzekania mojej przyjaciółki.

Właśnie kończyłyśmy piąte okrążenie. Piąty raz zbliżałyśmy się do domu Tadzia, kiedy z willi stojącej obok wypadła na nas kobieta. Wy-

71

кгуыупи ьтйуіеіьки

skoczyła niespodziewanie zza żywopłotu przez małą, ledwie widoczną furtkę. Rozpęd miała tak duży, że prawie potrafiła Magdę, która wystraszyła się, zachwiała i odruchowo chwyciła mnie za ramię, a właściwie za chustę. Zataczając esy-floresy wykonała na chodniku „taniec zdychającego łabędzia” z barwnym szalem. Patrzyłam na nią rozbawiona. Napastniczka, bojąc się, że uciekniemy mocno chwyciła mnie za przegub ręki i ciągnąc za sobą, goniła płaszącą Magdę.

— Czego tu? Czego? — wrzeszczała na całą Śliwkową. Magda odzyskała równowagę i przystąpiła do kontraktaku.

— Proszę puścić moją koleżankę! Natychmiast! — mówiła stanowczo, wciąż oddalając się od napastliwej kobiety.

— A właśnie, że nie puszczyć! — syczała już ciszej baba, chwytając mnie jeszcze mocniej.

— Pani łamie prawo! — nie ustępowała Magda.

— O wy, ładacznicze jedne! Tu spokojna dzielnica! Tu żadne takie nie mają czego szukać! Policję zawiadomię! Jazda mi stąd! A może wy kraść chcecie? Wywłoki!

— Spokojnie, spokojnie — łagodziła Magda. — Jeśli chodzi o policję, to niech pani zawiadamia. Mamy już dość tego chodzenia. Nogi nas bołą, a tak, to nas koledzy do domu odwiozą i koniec akcji. Szef nie będzie mógł mieć do nas pretensji.

Babę zamurowało. Uwolniła moją rękę i z otwartą gębą patrzyła n. dumnie stojącą Magdę. Najwyraźniej nie mogła pojąć, co ona do ni powiedziała. Ja zresztą też. Miałam poważne kłopoty ze zrozumieniem jej słów. Jaki szef? Jacy koledzy? Wpakuje nas w kłopoty, a ja nie zgodzę się na ponowną przejażdżkę policyjną suką. Raz już miałam tę przyjemność i w zupełności mi wystarczy. Historia z Markiem nauczyła mnie, że należy unikać spotkań z przedstawicielami prawa. Magda była innego zdania i brnęła dalej w naiwne kłamstewko.

— To panie są z... z... — mamrotało babsko. Magda poczuła wiatr w żaglach.

72

ly LU LjIUpiU JCbLCb!

— proszę pani, prowadzimy śledztwo. Proszę nie utrudniać nam zadania.

— Przepraszam — cichutko jęknęła kobiecina i dokonała szybkiego odwrotu.

Wbiegła przez uchyloną furtkę na swoje podwórko. Magda postanowiła nie przepuścić tak wspaniałej okazji. Wcisnęła się za babą na jej posesję i kiwała ręką, żebym do niej dołączyła. Przez chwilę się wahałam i pewnie nie weszłabym za nią, ale akurat w domu szefa podniosły się drzwi od garażu. Nie namyślając się, wskoczyłam na cudzy teren. Magda właśnie wymachiwała przed nosem baby służbową legitymacją (też taką miałam) i dowodem osobistym, chcąc uwiarygodnić swoją osobę. O dziwo, udało się. Kobieta nie przyglądała się dokumentom, widocznie sama sugestia jej wystarczyła. Zaprosiła nas na drewnianą, ogrodową huśtawkę.

— Mąż jej jeszcze nie schował — usprawiedliwiała się. — Proszę, panie sobie spoczna. Może coś do picia? — pytała uprzejmie.

— Szklaneczkę wody — z przymilnym uśmiezkiem zgodziła się Magda. — Czystej wody! — dodała.

Kobieta weszła do domu. Zostałyśmy same. Rozglądałam się po podwórku. Było zadbane i przygotowane do nadchodzącej zimy. Wszystkie krzaki owinięte starannie w szary papier lub przykryte gałęziami świerku. Trawka krótko przystrzyżona. Baba musiała się tu sporo napracować. Dom wyglądał okazale. Nie był widoczny z chodnika, ponieważ żywopłot chronił go przed ludzkim wzrokiem. Miło było posiedzieć w tak ładnym otoczeniu.

Usłyszałyśmy warkot silnika samochodu.

— Szef chyba wyjeżdża — poinformowałam.

— Sam? — spytała Magda.

— Nie mam pojęcia. Zobacz.

Schyliła się i w takiej pozycji przeszła przez trawnik. Rozsunęła leciutko rosnące przy płocie krzewy i spojrzała prosto na podwórko

73

Krystyna btnigieisKa

Tadzia. Nasza gospodyni stanęła właśnie w drzwiach domu, niosąc na tacy dwie szklanki wody. Widząc moją przyjaciółkę przywierającą do jej żywopłotu, otworzyła szeroko oczy ze

zdumienia. Samochód odjechał. Magda wyprostowała się, poprawiła przekrzywiony kapelusik i jakby nigdy nic rozglądała po obejściu.

— Proszę do nasi Jest woda — zachęcała uprzejmie wstrętna baba.

Wyglądała teraz inaczej. Przez tę krótką chwilkę zdążyła uczesać włosy i nałożyć wyjściową kurtkę. Nie była wcale taka stara. Miała około czterdziestu lat. Twarz wredną (widocznie taką miała naturę), małe, świńskie oczka, zaciśnięte wargi (teraz pociągnięte różową szminką). Blond włosy zdradzały już pierwsze objawy siwizny. Była chuda. Jej wygląd nie wywarł na nas dobrego wrażenia. Po chodnikowym występie czułyśmy do niej antypatię, co nie przeszkodziło nam wcale w wyciąganiu z niej wiadomości. Skarbnica wiedzy — tak bym ją nazwała. Żeby przełamać lody, zaczęła swoją opowieść od własnej rodziny.

— Kupiliśmy z mężem ten dom dziesięć lat temu. Dawniej mieszkaliśmy w bloku. Mąż jest taksówkarzem, ale teraz to prawie nic nie zarabia, takie czasy. Ja byłam fryzjerką. Nogi jednak odmówiły mi posłuszeństwa. Już trzy lata jestem na rencie. Synowie się wyprowadzili. Jeden pracuje w Anglii, a drugi wyjechał aż do Słupska. Znalazł tam sobie taką jedną latawicę. Musiał się żenić, rozumieją panie? — mówiła.

W ten sposób poznałyśmy dogłębnie dzieje rodziny, w której (o zgrozo) jedynym porządnym człowiekiem okazała się nasza rozmówczyni. Po jakiejś godzinie łagodnie, prawie niezauważalnie, zesza z najbliższych i przeniosła się na mieszkańców osiedla. Trochę już zmarzłyśmy. Słońce znów schowało się za chmurami, a wiatr sprawił, że z rozkoszą owinełam głowę chustką. Magda podniosła kołnierz płaszcza i co chwilę pociągała nosem, nie chciała jednak

74

ty to głupia jesteś!

zniechęcać naszego „cichego współpracownika”. Nie przerywała jej zWierzeń. Poczułam głód i postanowiłam zadziałać. Przecież ona nie skończy do rana!

— Ma pani rację — uciełam niekończącą się opowieść. — Dzieje majora są wyjątkowo ciekawe. Nam też żal jego biednej żony. Widzi pani, najbardziej zależałoby nam na wiadomościach o państwie Witkowskich. Tych, co mieszkają za płotem — uściśliłam na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że na Śliwkowej roi się od rodzin o tym samym nazwisku.

Trafiłam w dziesiątkę! Kobietę zatkało. Rozejrzała się niepewnie po swoim własnym podwórku, wciągnęła głowę w ramiona i konspiracyjnym szeptem oznajmiła:

— Nie tutaj, proszę! Nie tutaj! — a znacznie głośniejszym głosem dodała: — Zimno już! Zapraszam panie do domu, napijemy się gorącej herbatki. Miło, że mnie panie odwiedziły.

Wytarłyśmy porządnie nogi w dużą, leżącą przed drzwiami wycieraczkę i wparowałyśmy do przedpokoju w butach. Nasza nowa znajoma zdjęła obuwie już na ganku i wymownie na nas spojrziała.

— Mamy zdjąć buty? — z niesmakiem spytała Magda.

— Kultura tak nakazuje — wytłumaczyła nam nieprzyjemna kobieta.

W ten sposób dowiedziałyśmy się, że jesteśmy źle wychowane i zostałyśmy za to odpowiednio ukarane.

— Mam tu stare kapcie męża — mówiło babsko, grzebiąc w szafce z obuwem. — Będzie paniom ciepło i wygodnie.

Wymieniłyśmy z Magdą zjadliwe spojrzenia i wsunęłyśmy zmarznięte już nogi w mocno wysłużone męskie klapki. Kobieta poprowadziła nas do kuchni. Dziwnie pojmowała gościnność, ale to nie stanowiło dla nas większego problemu. Uciekniemy stąd, gdy tylko nam powie, jak Lalka chce się pozbyć Tadzia. Czujemy przez skórę, że nadawcę anonimu już znamy. Podziwiałymy jej oszczędność. Z jed-

75

муыуии лпипуіеіьки

nej torebki herbaty ekspresowej zrobiła trzy szklanki jasnożółtego 1 napoju. Piłyśmy to ciepłe świństwo i w napięciu oczekiwałyśmy na 1 mrożące krew w żyłach opowiadanie. O dziwo, nasza rozmówczyni] nie bardzo chciała zacząć. Tak jakby się krępowała, wstydziła, oba- i wiała. Najwyraźniej sprawę Lalki Witkowskiej uważała za drażliwą. Kręciła się niepewnie po kuchni, przestawiała słoiczki z przypraw- I wami, w końcu chwyciła ścierkę i zamaszystymi ruchami wycierała ! lśniący blat szafek. Magda nie wytrzymała. Wyjęła z torebki spory ! kalendarzyk, długopis i przystąpiła do działania.

— Pani imię i nazwisko? Adres? Data urodzenia? — mówiła, na- ; dając służbowy ton swojemu głosowi.

Kobiecina zamarła, zbladła i trzęsącymi się rękami postawiła na stole talerzyk z trzema kawałkami ciasta.

— Będę wzywana na świadka? — spytała wystraszona.

— Imię i nazwisko? — powtórzyła Magda, kategorycznie domagając się odpowiedzi.

Musiałam zmobilizować całą siłę woli, żeby nie ryknąć śmiechem. Moja przyjaciółka wczuła się w rolę! Budziła respekt! Gdyby szef mógł ją teraz zobaczyć! Poczułam, że przyszła kolej na mnie. Ener- gicznie wstałam z krzesła i rozglądałam się po kuchni. Podeszłam do wiszącej obok okna szafki i nie zwracając uwagi na wystraszony wzrok naszej gospodyni, spytałam:

— Co pani tu trzyma?

Udało się! Wygrałyśmy! Babsztyl zwałił się na wolne krzesło przy stole.

— Zenobia Wiercińska — wyjęczała. — Bardzo panie proszę! Nie chcę być świadkiem! Mąż mnie zabije, jak się dowie, że znów podglądałam sąsiadów.

— To pani pisała anonimy? — nie odpuszczała Magda.

— Ja — przyznała się pani Zenobia. — Ale tu naprawdę działy się dziwne rzeczy.

76

Ty to głupia jesteś!

— Działy? — zdziwiłam się. — To już się nie dzieją? Z miny przesłuchiwanej wyczytałyśmy, że świadomie użyła czasu przeszłego.

— Zaraz, zaraz — Magda nie dała się zbić z pantałyku. — Anonimy były? Były! — odpowiedziała za Zenobię. — W takim razie musi nam pani opowiedzieć wszystko, od początku do końca. Co pani widziała, słyszała, czego się domyśliła? Bez kręactw i przekłamań. Za fałszywe zeznania może pani być pociągnięta do odpowiedzialności.

— Kiedy, widzicie panie, tu chyba jednak nie było żadnego przestępstwa. Wszystko wyglądało...

— My ocenimy, czy prawo zostało złamane — weszłam jej w słowo. — Pani, jako świadek, ma nam opowiedzieć o okolicznościach sprawy. Decyzję proszę zostawić nam! — mówiłam w ucho Zenobii, stojąc za jej krzesłem.

W kuchni państwa Wiercińskich znajdowały się tylko dwa miejsca do siedzenia, oba były aktualnie zajęte. Rozbolały mnie nogi od ciągłego stania. Nasza gospodyni najwyraźniej zapomniała o dobrym wychowaniu, którym jeszcze przed chwilą tak się chlubiła, dlatego musiałam sama znaleźć sobie dodatkowe krzeselko. Wyruszyłam bez skrupowania na poszukiwania do znajdującego się za kuchnią pokoju.

— Czy to rewizja? — zapytała pani Zenobia.

— Nie. To wizja lokalna — odpowiedziała bez zająknięcia Magda, która pisząc coś w notesie, kątem oka śledziła moje poczynania.

— Pani komendant, ja już wszystko powiem, jak na spowiedzi. Tu nie ma czego szukać! — kobieta prawie płakała.

— Sierżant — rzeczowo poprawiła ją Magda. — Wracaj tu, siadaj i notuj! — wołała mnie. Uznałam, że najwyższy czas, żebym upomniała się o miejsce do siedzenia. Stałam w drzwiach między kuchnią a pokojem i z niezadowoloną miną zapytałam:

77

Krystyna Śmigielska

— Gdzie mam usiąść?

Zenobia skoczyła jak oparzona, otworzyła mały schowek, wyjęła z niego taboret i pośpiesznie wskazała mi miejsce na krześle.

— Swoją drogą nie zazdrozczę biednej Lalce. Mieć taką sąsiadkę to prawdziwe nieszczęście. Bałabym się we własnym domu głośniejsz odezwać — podsumowałam naszą wizytę u pani Zenobii.

— Słuchaj, a nie zastanowiła cię jej reakcja na twoje „przeszukanie” pokoju? Zmiękła od razu. Sama musi mieć coś na sumieniu — zauważyła Magda.

— Pewnie trzyma w domu pieniądze, dlatego jest taka podejrzliwa i bojąc się o własną skórę, pilnuje, co się dzieje w okolicy.

— Może — przytaknęła. — Ale za to, jaka kulturalna — śmiała się. — Gościinna.

— Czyścioszka — dodałam.

— Tak! Porządna kobieta! Tylko, ta jej synowa... taka latawica — Magda zanosila się śmiechem.

— Napędziłyśmy jej strachu — miałam wyrzuty sumienia.

— No wiesz? — oburzyła się Magda. — Sama sobie winna! To przez nią cała ta afery. Teraz myślę, że szef dobrze zrobił, nie traktując poważnie tego anonimu. Na pewno poznał w nim rękę pani Zenobii. Fajne imię... Zenobia!

— Kiedy tak patrzyłam, jak zapisujesz jej dane w kalendarzu, sama się ciebie bałam. Nigdy nie myślałaś, żeby zostać policjantką? Nadawałabyś się! Byłaś świetna — chwaliłam ją.

— Nasze śledztwo zakończone. Módlmy się teraz, żeby to naprawdę był koniec, bo jak nasz babsztyl wdroży swoje, możemy mieć poważne kłopoty. Bądź co bądź, podszyliśmy się pod przedstawicielki prawa. Nie wiesz, czy jest na to jakiś paragraf?

78

ry to głupia jesteś!

— jest! Na pewno jest! Myślę jednak, że Zenobia będzie się bała przyznać do własnej naiwności i w związku z tym nic nam nie grozi.

— Popatrz, jak to jest — żyjesz sobie spokojnie własnym życiem, a tu najbliższa sąsiadka, można powiedzieć — przyjaciółka, która wpada na kawkę, robi z ciebie morderczynię. Cała ta sprawa przypomina kiepską farsę — dziwiła się Magda.

— Na kanwie tej historii można by nakręcić film sensacyjny „Kochanek wczesną porą” albo „Kochanek dzwoni dwa razy” — puściłam wodze fantazji.

— „Szkolna miłość”, „Miłość do grobowej deski”, „Stara miłość nie rdzewieje” — wymyślała Magda.

— Pomyślałam sobie, że nasz Tadzio należy chyba do tej nielicznej grupy facetów, których stać na tolerancję. Sama powiedz, czy nie mam racji? Były chłopak Lalki zjawia się nagle pod jego domem. Opowiada jej o swoim nieszczęsnym życiu, robi z nią zakupy, zaprasza do knajpy, kopie grób. Twierdzi otwarcie, że Lalka jest miłością jego życia. Inny pogoniłby gacha na cztery wiatry, nawet nie chciałby słuchać żadnych wyjaśnień. Tadzio, nie! Zaprasza gościa, pije z nim i wspólnie omawiają zalety damy ich serc! Kurczę, trafić na takiego! Taki mąż to prawdziwy skarb. Ślepo wierzy żonie, wspiera ją w pomaganiu pokrzywdzonym przez los! Cud, nie mężczyzna! Naprawdę żałuję! Szkoda! Już jest żonaty i po tej sprawie widzę, że twój niecny plan zamiany go na Gwidona nie miał najmniejszych szans powodzenia — mówiłam.

Stałyśmy na pustym przystanku tramwajowym. Jedna mizerna latarnia rzucała słaby krąg światła. Zmrok dawno już zapadł. Zmarnowałyśmy cały dzień, ale byłyśmy bardzo zadowolone. Pomyłka sąsiadki, która wysnuła błędne wnioski z widzianych przez swoje okna strzępków życia toczącego się za płotem, upewniła nas, że prawda, jak kij, ma dwa końce. Bo przecież było prawdą, że w domu naszego

Krystyna Śmigielska

szefa szykowano się do morderstwa. Prawdą, że gach wykopał nawet grób dla przyszłej ofiary. Intencje tej zbrodni były jednak wolne od przemocy i nienawiści. To było morderstwo z miłości, z bezinteresownego przywiązania. Wszystkie zamieszane w nie osoby odczuły jego brzemień. Uśpienie wiernego, kochanego psa, skrócenie jego straszliwych cierpień, wywołanych nieuleczalną chorobą, jest bolesnym doświadczeniem. Splot wydarzeń sprawił, że wścibska Zenobia wymyśliła inny scenariusz niż ten, który napisało życie.

— Jak tam randka? — pytała Magda od drzwi.

Zalewałam kawę. Wiedziałam, że będzie chciała poznać najdrob- I niejsze szczegóły, że nie da mi spokoju, że nie mam szans zatajenia i przed nią prawdy. Chciałam odwlec moment moich zwierzeń. Zna-1 leżć pretekst, aby skierować rozmowę na inny tor, tylko po to, żeby '1 Magda, zainteresowana ciekawszymi sprawami, odstąpiła od pytań I dodatkowych i zaspokoila swoją babską ciekawość moim lakonicz-1 nym sprawozdaniem z wydarzeń sobotniego wieczoru.

— Mów, mów! — poganiała mnie, zdejmując kozaczki i nakłada-1 jąc służbowe czółenka.

— Zakochałaś się? Kim on właściwie jest? I Skąd go znasz?

— Wiesz, ja mam chyba wyjątkowego pecha — próbowałam pod-1 sumować znów nieudaną randkę.

O dziwo! Magda zareagowała błyskawicznie. Miała w zanadru i ciekawszą historię.

— Dziewczyno! Ty masz pecha? Ty?! Nie wiesz chyba, co mówisz! Jak ci opowiem o moim kuzynie, to zaraz zmienisz zdanie! On to dopiero ma pecha!

Biedny, pechowy kuzyn Magdy stał się dla mnie ostatnią deską ra-1 tunku. Uczepiłam się go jak rzep psiego ogona!

30

ly LU yiuyiu ycoioo:

__ Nie wiedziałam, że masz kuzyna — powiedziałam głupio, chcąc potwierdzić moje zainteresowanie jego przygodami.

__ Mam. Nie wiedziałaś? — dziwiła się. — Przecież go znasz! Był u igora na imieninach. Średniego wzrostu. Krótkie, czarne włosy. Miły z niego chłopak. To ten, co robi doktorat na uniwerku — tłumaczyła mi, a ja nawet nie starałam się go sobie przypomnieć.

— Nieważne — stwierdziłam. — Opowiadaj, co mu się przytrafiło. Dostał cegłą w drewnianym kościele? — ironizowałam.

— Wiesz, Irmina, ty jesteś jednak egoistką! Myślisz, że cały świat kręci się koło twoich facetów, a normalni, spokojni ludzie są dla ciebie zwykłymi śmieciami. Dlaczego ja się z tobą przyjaźnię?

Uznałam, że Magda miała prawo w ten sposób odczytać moje zachowanie. Przemilczałam przytyk pod moim adresem i domagałam się kategorycznie wiadomości z pierwszej ręki o niesamowitych wydarzeniach z życia przedstawionego mi kiedyś kuzyna.

— Coś jest nie tak z tym twoim kuzynem? — zagadywałam słodko, żeby uciszyć budzącą się w Magdzie niechęć do mojej osoby.

— Bardzo go lubię. Wyjątkowo mądry i rozważny facet. Kawaler — dodała mimochodem.

— Zdolny. Czasem coś napisze. Ma talent!

— Taki Gwidon? — znów nie wytrzymałam.

Magda zrobiła kwaśną minę i mrużąc pod nosem, udawała zgryźliwy uśmieszek.

— Drwij sobie! Drwij! Rzeczywiście, pisze tak jak Gwidon. Piękne kawałki. Igor namówił go, żeby wysłał swoje opowiadanie na ogólnopolski konkurs literacki — mówiła.

Spowaźniałam. Nie doceniłam wagi sprawy. Wyśmiewam się, a tu drugi Sienkiewicz spaceruje sobie ulicami naszego miasta. Dalej nie wiedziałam, jak wygląda tajemniczy kuzyn.

Na imieninach Igora było sporo ludzi. Drogą dedukcji doszłam do wniosku, że skoro ma takiego pecha, to może jest to ten niezdara, który wylał mi na su-

si

kienkę lampkę szampana? Faktycznie wyglądał na oderwanego od rzeczywistości naukowca lub poetę.

— Wysłał? — udawałam zainteresowanie.

— Wysłał i wygrał! — mówiła dumnie.

— To gdzie się podział ten pech? — dopytywałam. — Skoro wygrał, to miał raczej szczęście.

— Tylko pozornie... — stopniowała napięcie. — Zajęcie pierwszego miejsca w konkursie można potraktować jako sprzyjającą okoliczność. Kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy postanowił podzielić się swoim szczęściem z kolegami w pracy. Pochwalił się, idiota jeden! Zapomniał, że trzy dni wcześniej pił piwo!

— Nie rozumiem? Mów, jak człowiek! Co ma picie piwa do pierwszej nagrody w konkursie literackim?

Opowieść Magdy była strasznie chaotyczna. Wolałam jednak grzecznie słuchać. To, co sama miałam jej do powiedzenia, nie było chyba zabawne. Natomiast literackie sukcesy doktoranta mogły pobudzić mnie do śmiechu. Czekałam na dalszą relację z coraz większym napięciem.

— Okazuje się, że ma. Wyobraź sobie, to piwo stawiał jego kumpel, który właśnie wygrał konkurs telewizyjny. Zadzwoił i odpowiedział na jedno z tych idiotycznych pytań dotyczących jakiegoś serialu. Nie wiem dokładnie na które, ale to nieważne.

— Z kim ostatnio spał główny bohater? — podpowiedziałam. — A. z żoną, B. z kochanką, C. z siostrą, D. z matką, E. z córką?

— O! Coś w tym rodzaju! I wygrał! Dziesięć tysięcy polskich złotych! Ludzie to mają farta! Postawił kolegom piwo. Stać go było!

— I jak ten biedak, twój kuzyn się pochwalił, to wszyscy zażądali od niego piwa? — zaczęłam się domyślać.

— Właśnie! — potwierdziła.

— To rzeczywiście pech — jęknęłam. — Nagroda chyba nie bywała wysoka?

82

iy III yiUpiU jCbICbl

— Nie tak szybko! Do nagrody dojdziemy — śmiała się Magda. — To jeszcze nie jest najgorsze!

— Ależ ja jestem naiwna! Całe życie myślałam, że nie ma nic gorszego od wygrania pierwszej nagrody w konkursie literackim.

— impreza związana z podsumowaniem i rozdaniem nagród miała się rozpocząć o dziesiątej rano. Żeby na nią zdążyć, Mirek musiałby wyjechać o drugiej w nocy. Igor zaproponował, że pożyczy mu samochód. Autem cała podróż zajmie niecałe trzy godziny. Odbierze, co jego i na podwieczorek będzie z powrotem w domu. Kto mógł przewidzieć, że tak to się skończy.

— Matko Boska! — krzyknęłam. — Rozwalił wam fiata? Żyje chociaż? Z czego ty się śmiesz? — nie mogłam pojąć, jak może tak spokojnie o tym opowiadać.

— Nic nie rozwalił. Słuchaj i nie przerywaj! Wyjechał stąd przed szóstą. Dojechał planowo, ale bał się jeździć po obcym mieście cudzym samochodem. Postanowił zostawić auto na pierwszym lepszym parkingu i dalej podjechać autobusem. Zapisał sobie nazwę ulicy. Twierdzi, że kartkę włożył do kieszeni kurtki. Trzy razy się przesiadał, zanim znalazł miejsce, w którym odbywała się cała impreza. Oczywiście spóźnił się, nie mogło być inaczej. Nagrodę wręczał mu prezydent miasta. Były przemówienia zaproszonych gości, telewizja, prasa, występ muzyczny. Miejscowy aktor przeczytał nagrodzone prace. Rozdano książeczki z wydrukowanymi opowiadaniem laureatów. Po części oficjalnej wspólne zdjęcie, szwedzki

stół z lokalnymi wypiekami i kawa. jednym słowem, chwila szczęścia! Bał się jechać po ciemku, więc szybko się zmył. Już w szatni zauważył brak karteczki z nazwą ulicy, na której jest parking. Trudno — pomyślał. — Poradzę sobie! I tu się zaczyna opowieść o pechu — śmiała się.

— A nagroda? — chciałam wiedzieć. — Dużo dostał?

— Nie! Jakiś album z malarstwem nieznanego mi artysty. Pióro i długopis firmy Parker, i dwie książki autorstwa członków jury. Jedna stara, sprzed dziesięciu lat. Druga współczesna.

83
Krystyna Śmigielska

— Nie żartuj! Jurorzy wręczyli swoje książki? Dali chociaż dedykację i autografy? — zdziwiłam się.

— Taka swoista promocja! — kpiła Magda. — Autografów nie było! Ale pióro i długopis się przydały. Mirek, z wdzięczności za pożyczenie samochodu, podarował je Igorowi, a Igor dał dzieciom.

— Twoi chłopcy teraz wiedzą, że warto się dobrze uczyć i ciężko pracować, bo to może dać w życiu namacalne profity — żartowałam.

— Namacalne! Dobrze mówisz! Macali pióro i długopis chyba przez pięć minut! Nie mogli ustalić, który ma co wziąć i w końcu się pobili! Mirek rozstrzygnął spór. Kazał im ciągnąć zapalki. Długa — pióro. Krótka — długopis.

— To twój kuzyn nie nacieszył się długo nagrodą. Dobrze, że album z malarstwem sobie zostawił — stwierdziłam.

— Dyplom mu został! Wracajmy do samochodu — zaproponowała Magda. — Pamiętał numer autobusu, którym przyjechał, więc logicznie pomyślał, że wsiądzie w taki sam, w przeciwnym kierunku. I tu się, biedak, pomylił! Okazało się, że trasa jest inna, a on nie znał miasta i nie miał pojęcia, gdzie powinien wysiąść. Zajechał aż na pętlę. Dwie godziny jeździł po mieście, przesiadał się z autobusu na autobus i nie mógł odnaleźć upragnionego parkingu. Zły jak diabeł, zrezygnował z zbiorowych środków komunikacji miejskiej i postanowił skorzystać z usług taksówkarza. Trafił na cwaniaka, który szybko wyczał, że mu pieniądze same się do rąk cisną. Przewiół Mirka trasą „wycieczko-j wą”, dzięki czemu mój biedny kuzyn miał możliwość obejrzenia z zewnątrz zabytków tego starego miasta. Gdy na liczniku taksometru widniała już spora kwota, taksówkarz okazał litość i wreszcie zawiózł go na parking. Zmrok zapadł. Prószył drobny śnieżek. Droga była śliska, ruch duży. Zmęczony Mirek prawie zasypiał za kierownicą. Nagle fiat zaczął tańczyć po całej jezdni. Wpadł w poślizg. Okazało się, że złapał gumę. Zmieniał koło na ruchliwej drodze, w lesie, po ciemku,

84
Ty to głupia jesteś!

żyjąc 0]<ΓOpΠe męki i klnąc przy okazji na mojego męża. Czara ryczy przelała się dopiero wtedy, gdy samochód odmówił mu posłuszeństwa. Stanął sobie, jak gdyby nigdy nic i ani w tę, ani w tę. Zabrakło mu paliwa, bo sponiewierany Mirek całkowicie stracił głowę i niepomny przestróg Igora, gnał jak wichra w śnieżną noc, nie patrząc na świecąca się lampkę rezerwy. Efekt tego był taki, że musiał zasuwać na nogach trzy kilometry do stacji benzynowej. W domu był po północy. Rano przyjechał oddać nam auto i pożyczyć pieniądze na piwo. Stwierdził, że to chyba najdroższa nagroda w jego życiu i że nikt więcej nie namówi go do brania udziału w jakichkolwiek konkursach — zakończyła Magda.

— No tak! — podsumowałam. — Ja przynajmniej spędziłam wieczór w ciepłym mieszkaniu, najadłam się do syta i nic mnie to nie kosztowało.

— Sama widzisz, że nieszczęścia chodzą parami a czasem nawet całymi stadami.

Do pokoju weszła Wera. Miała na sobie wystrzałową kiecę. Fason wyszedł z mody chyba z ćwierć wieku temu. Sukienka wyglądała imponująco. O ile znam się na tkaninach, uszyta była z żorzety. Typowo letnia, chociaż z długimi, od łokcia rozszerzonymi rękawami. Odcięta w

pasie, z rozkloszowanym dołem. Góra przylegała do ciała, a ozdobny żabot kołysał się na wypukłych piersiach. Kreacja wprawiła nas w osłupienie.

— A ty co? — spytała bez żenady Magda. — Na bal się wybierasz? Prosto z pracy polecisz? Nie jest ci zimno?

— Nie jest! Pilnuj lepiej własnego nosa — odpaliła jej Wera. — Szef znalazł dwa błędy w twoich fakturkach — cieszyła się. — Masz to zaraz przeliczyć i poprawić.

— Widzisz, Irmina, jakiego mamy mądrego szefa? — Magda, jak zawsze, obracała kota ogonem. — Nie podpisze niczego, zanim nie sprawdzi.

85

Krystyna Śmigielska

Wera usiadła na krzeselku przy biurku Magdy i eleganckim ru chem założyła nogę na nogę.

— Pośpiesz się! Mam to zabrać — poganiała.

Magda studiowała faktury. Wera rozglądała się znudzonym wzrokiem. Ja miałam ochotę wyjść do damskiej toalety na papierosa.

— Wybierasz się na andrzejki? — zwróciła się do mnie Wera.

— Wybiera się — odpowiedziała za mnie Magda. — Ja wyprawiam bal.

— Na bale to ty możesz sobie chodzić — stwierdziła Wera. — Ja pytałam Irminę. Ona jest panną! Może sobie w tym roku męża wy-wróży — jątrzyła jadem żmii.

W myślach odpowiadałam na te niewybredne zaczepki. Staralam się zachować spokój i nie napluć jej w twarz. Magda ze schyloną głową liczyła kolumny małych cyferek. Nie straciła jednak rezonu.

— A co? Na weselu chciałabyś potańczyć, póki ta kiecka nie wyjdzie z mody? Najeść się za friko? Po co tak ją pchasz do tego cudownego stanu? Jesteś mężatką, wiesz czym to pachnie — broniła mnie jak lwica.

— Ja jestem bardzo zadowolona. Dobrze trafiłam — syczała Wera.

— Jak kulą w płot! — Magda śmiała się jej w oczy. — Nie dene wuj mnie, bo znów się pomyle.

Wera się obraziła. Siedziała nadęta jak balon i bez słowa czekała na korekty faktur.

— Proszę! Zrobione!

Magda wręczyła jej dokumenty, a kiedy ta już była w drzwiach, zawołała:

— I pozdrów od nas Tadzia!

Widząc minę Wery, nie mogłam wytrzymać i roześmiałam się. Podziwiałam Magdę za opanowanie. Miała tupet i swoistą bezczel-

86

iy 10 gtupia jesies:

ność, żeby tak walić prosto z mostu. Robiła to jednak bez wściekłości, z uśmiechem. — To jesteśmy umówione? — zapytała.

— zaraz, zaraz... — broniłam się. — Nie tak prędko! Ja już jestem zajęta.

— Nie mów mi nawet, że ten goguś zaprosił cię na andrzejki — , prosiła błagalnym głosem. Zrobiłam niewinną minkę i kiwałam potakująco głową.

— Nie zrobisz mi tego!

— Mam pomysł! Jak zaprosisz mnie z osobą towarzyszącą, to chętnie zrezygnuję z imprezy w gronie przyjaciół Wacława i przyprowadzę go do was.

— Nie ma mowy! Zapraszamy tylko miłych nam gości. Impreza ma być kameralna.

Zaczęło mi coś świtać w głowie. Ta opowieść o pechowym kuzynie — kawalerze! Magda coś kombinowała. Niech nie myśli, że jest taka sprytna.

— Mogę poznać listę gości? — zapytałam przymilnie.

— Jak już powiedziałam, ma być kameralnie... — zaczęła.

— Kameralnie? To znaczy..? Nic nie mów! Ja ci powiem! Ty i Igor. Ja i pechowy kuzyn!

I w ten sposób się wymigałam od opowiadania o mojej pierwszej randce z Wacławem. Wiedziałam już, dlaczego mój nowy chłopak nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Chciała mnie wydać za tego niedorajdę, Mirka! Nigdy!

Zajęte liczeniem, nie miałyśmy czasu na prywatne rozmowy. Odwiedziła nas podekscytowana pani Stenia. Oczka płonęły jej jak rozpalone węgielki. Usta miała sine, zaciśnięte. Stała obok mojego

87

Krystyna smigieism

biurka i ciągle zerkając przez drzwi, upewniała się, że nikt niepowołany nie usłyszy naszej rozmowy.

— Słyszaliście? — szeptała. — Co to dalej będzie? Wszyscy wylecimy!

— O czym ty mówisz? Dlaczego mamy wylecieć? Coś się stało? — pytała Magda..

Nie wyczułam w jej głosie niepokoju, raczej łagodną drwinę.

— Siedzicie tu i nic was nie interesuje — syczała wystraszona Stenia. — Naprawdę nie wiecie, co się dzieje?

— Nie wiemy — przyznała Magda z niewinną minką. — Poinformuj nas. Będziemy wtedy oświeceni.

— Chcą wywalić dyrektora! — dumnie mówiła Stenia.

— Za co? — nie mogłam uwierzyć. — Narozrabiał coś?

— Nie narozrabiał! Dobrze sobie radzi. Firma przynosi zyski, ale on przecież nie należy... — pani Stenia przezornie zawiesiła głos. — Wiecie... nie jest na fali. Nie ta opcja.

— Co ma partia do naszej firmy? — pytałam naiwnie jak dziecko.

— Pani Irmino, mówi pani tak, jakby pani nie żyła w Polsce! Słyszałam, że Ociuch ma wrócić — zwróciła się do Magdy.

Widocznie uznała, że szkoda czasu na tłumaczenie mi politycznych zawiłości. Obie z Magdą dobrze znały Ociucha. Nie pały do niego wielką miłością. Kierował firmą przez kilka lat i dał się poznać pracownikom z jak najgorszej strony. Nigdy nie słyszałam o nim pochlebnych opinii. Tadzia wszyscy lubili i twierdzili, że takiego ludzkiego szefa „ze świecą szukać”.

Byłyśmy bezradne. Nawet gdybyśmy chciały mu pomóc, nikt nie będzie nas pytał o zdanie. Ogarnęło mnie zniechęcenie, wiedziałam wprawdzie, że nie powinnam mieć większych problemów ze znalezieniem nowej pracy, ale zrobiło mi się przykro.

— Tylko nie Ociuch! — modliła się Magda. — Jak on wróci, sama się zwolnię, nie trzeba będzie mnie wyrzucać.

88

Ty to głupia jesteś!

— Wam to dobrze, jesteście młode i znajdziecie sobie pracę — smutno mówiła pani Stenia.

— Takiej starej raszpli jak ja nikt nie zatrudni. Ociucha drugi raz nie przeżyję!

— E, może to tylko plotki — uspokajała ją Magda. — Przecież nie mogą tak Tadzia wyrzucić. Nie mają na niego żadnego haka.

— Wyrzucają wszystkich. Haki im niepotrzebne. Stawiają swoich i tyle. Lepiej pójde do siebie. Rozglądajcie się za nową robotą, dobrze wam radzę.

Po wyjściu pani Steni nie miałyśmy ochoty na rozmowy. Magda chwyciła klucz od pokoju i ruchem głowy pokazała mi drzwi. Bez słowa zabrałam swoje papierosy i ruszyłam za nią.

Paliłyśmy w otwartym oknie toalety. Byłyśmy tak podenerwowane, że zapomniłyśmy zabrać ze sobą dezodoranty. Niech śmierdzi. Dzisiaj nikt nie powinien się nas czepiać. W biurze panowała grobowa cisza.

— Słuchaj, a może ten Ociuch wziął kiedyś łapówkę i teraz będzie to można wyciągnąć na światło dzienne? Łapówki są w modzie. No wiesz... Taki mały donosik do prokuratury — sugerowałam.

— Pewnie, że wzię! Niejedną! Teraz to musztarda po obiedzie. Nic mu nie udowodnią. To wstrętny, oślizgły typek. Łapówka, nie! Molestowanie! Na to się go złapie. Lubił kobiety! On jest z tych śliniących się i obłapiających cię przy każdej okazji. Jak mnie dotykał, ciarki mi po plecach chodziły — wspominała z niesmakiem.

— Tadiusz nie obmacuje — jęknęłam z żalem. — Jemu chętnie dałabym się pomolestować.

— Chciałaby dusza do raju! Ociuch jest młodszy od Tadzia, ale nie ma tej klasy. Taki wyniosły prostaczek. Nie panikujmy, może to się jeszcze rozejdzie po kościach. Wiesz co? Napiszemy do Tadzia, żeby się gdzie indziej zapisał i będzie po sprawie.

— Anonim? — spytałam.

— Jaki anonim? Zwariowałaś? Podpiszemy się „Życzliwe pracownice” — oburzyła się Magda.

89

Krystyna Śmigielka

— Masz rację. To nie będzie anonim. Jak przeczyta, zaraz będzie wiedział, że to my — śmiałam się.

Podziwiałam Magdę za to, że nawet w trudnych sytuacjach potrafiła mnie rozbawić.

— A może — kontynuowała swoje bezecne plany — poprosimy go, żeby nas jednak trochę pomolestował?

— Szanowny Panie Dyrektorze — układałam głośno treść anonimu. — Przykro nam, że Pan nas opuszcza. W tej sytuacji jesteśmy zmuszone prosić Pana o dokładne wymacanie jednej, niezamężnej pracownicy naszego biura. Mamy nadzieję, że nie będzie to ponad Pana siły. Może ten dobry uczynek zostanie Panu policzony w niebie i karta odwróci się na Pana korzyść.

Z poważaniem! Życzliwe pracownice.

— Irmina, jesteś dzisiaj wyjątkowo egoistyczna. Dlaczego tylko „niezamężna” ma dostąpić zaszczytu? Ja też chcę! — upominała się Magda.

— Ciebie to niech Igor molestuje! Jesteś okropna — ganiłam ją.

Pan Włodek siedział na krześle i spokojnie czekał. Magda z poważną miną studiowała przyniesioną przez niego petycję. Czytała ją już drugi raz. Najwidoczniej wahała się, czy poprzeć zawartą w niej prośbę własnoręcznym podpisem.

— To jest cyrograf — stwierdziła, podając mi kartkę. — I pan się pod tym podpisał... No, no, no... Panie Włodek, przecież panu brakuje pięciu lat do emerytury. Co będzie, jak pana wyrzucą? Nie boi się pan?

— Mnie jest wszystko jedno — odpowiedział pan Włodek bez najmniejszych emocji. — Brakuje, ale co zrobić. Syn już dwa lata jest w Anglii. Dobrze zarabia i od roku namawia nas, żebyśmy do niego przyjechali. Żona nawet chce jechać. Mnie trochę żal, sam nie wiem czego. Nic mnie tu już nie trzyma. Rodzice dawno nie żyją, a na ich

90

Ty to głupia jesteś!

grób i tak jeżdżę raz do roku, na Wszystkich Świętych. Nie muszę tu siedzieć. Przy dzieciach byłoby lepiej. Wiecie, panie, jak to jest. Wnuki dorastają, a człowiek ich nawet nie widzi.

— Niby to prawda! — przyznała mu Magda. — A gdzie w tym wszystkim patriotyzm?

— Ten podpis, pani Magdo, to mój patriotyzm! — dumnie powiedział pan Włodek. — Mnie polityka nie interesuje. Swoje przeżyłem i niewskazane mi są emocje. Same musicie przyznać, że szef jest dobrym człowiekiem i świetnym fachowcem. Patriotycznie uważam, że jego odejście odbije się na firmie. Może najwyższy czas, żeby przestać się bać? Myślę, że warto go bronić. Zasłużył sobie na to. Panie, zrobicie tak, jak uważacie za stosowne. Nikogo nie namawiam. Wiem, ciężko znaleźć nową pracę. Każdy ma swoje zobowiązania i kłopoty. Kiedyś też nie chciałem się w nic mieszać. Syna musiałem wykształcić. Tego chłopaka szkoda. Dobry z niego szef, nadaje się na takie stanowisko. On sobie poradzi i bez nas. Jak

nie tu, to gdzie indziej będzie kierownikiem, dyrektorem lub prezesem. Tu chodzi też o nas. My z nim mamy dobrze, po co to zmieniać?

— Nawet pani Stenia się podpisała — wtrąciłam. — Może rzeczywiście uda się go uratować. Ja podpiszę! Jakby co, to wrócę na garnuszek rodziców.

— Pani sobie na pewno coś znajdzie. Pracodawcy teraz szukają młodych. Doświadczenie się nie liczy. Prezencja jest ważniejsza i plik dyplomów — pocieszał mnie pan Włodek.

— Dyplomy to pan ma! — podpowiadała mu Magda.

— I sześćdziesiątkę na karku — śmiał się. — Zanim podpisałem, dzwoniłem do żony. Powiedziała, żebym się niczym nie przejmował. Jak Ociuch tu był szefem, musiałem ciągle brać leki uspokajające. Za stary jestem, żeby mną gówniarz poniewierał!

— Ociuch był głupi i niekompetentny, to prawda — Magda potwierdziła jego słowa. — I uwielbiał dzielić załogę na lepszych i gorszych. Pamięta pan tę Zuzię? Donosiła mu i ciągle spiskowali.

91

Krystyna Śmigielska

— Ludzie lubią, jak się innym źle wiedzie. Władza uderza do głowy, a jak ktoś przy tym nie grzeszy rozumem, to już prawdziwa tra- (gedia — mówił zamyślony pan Włodek.

— Irmina, daj tę listę. Igor mnie zabije, ale co mi tam! Trzeba być człowiekiem! — Magda podjęła decyzję.

— Pani Magdo, niech się pani jeszcze zastanowi — prosił ją pan Włodek.

— Powiem wam szczerze! — śmiała się. — Ociuch był nachalny i wiele razy robił mi niedwuznaczne propozycje. Obłeśny typek! Gdyby Tadziu mi raz coś takiego powiedział...

Kto wie? Ale on traktuje mnie z szacunkiem. Jak on ze mną po ludzku, to i ja z nim po ludzku — mówiła, dopisując swoje nazwisko na czarną listę.

Zrobiłam to samo. Nie miałam większych rozterek. Rzeczywiście, świat nie kończył się na tej jednej firmie. Krótko tu pracuję i nie zamierzam spędzić w niej całego zawodowego życia.

Wacław już mi proponował nową pracę. Poradzę sobie.

Pan Włodek poszedł zbierać podpisy w innych działach. Czy był zadowolony z naszej postawy, nie wiem. Atmosfera w biurze nie sprzyjała wydajnej pracy. Najchętniej wyłączyłabym komputer i z własnej, nieprzymuszonej woli, poszłabym do domu. Magda jednak nie wyglądała na przygnębioną. O dziwo, wrócił jej dobry humor. Wyjęła tabliczkę czekolady i odłamała z niej jedną kostkę.

— Dla ciebie tylko tyle — mówiła, podsuwając mi ją pod nos. — Musisz jeszcze dbać o linię. Ciągle nam dziś przeszkadzają, a ja dalej nie wiem, co to był za facet i jak udała się twoja randka? Że masz pecha, to już ustaliłyśmy. Powiedz teraz dlaczego? Okazało się, że; jest żonaty?

Czekolada rozpułyła mi się w ustach. Przyjemny, słodki smak poprawił mi nastrój.

Pomyślałam, że właściwie mogę jej wszystko opowiedzieć. W końcu nie było tak źle.

92

Ty to głupia jesteś!

— Nie jest żonaty — zaprzeczyłam. — To kolega mojego brata. W liceum chodzili do jednej klasy. Nigdy bym go nie poznała. Urósł i zmężniał! Widocznie należy do tych niepozornych, brzydkich kaczątek, które dopiero na studiach przeistaczają się w piękne łabędzie. Twierdzi, że podkochał się we mnie od pierwszej klasy. Oczywiście nie miał żadnych szans, dlatego cierpiał w ukryciu. Teraz to co

- innego. Dobrze zarabia. Jest kierownikiem w jakiejś zachodniej firmie. Ma pod sobą trzydzieści osób. Nabral pewności siebie.

— To co ci się w tym księciu z bajki nie podobało? — zapytała.

— Sama nie wiem — zastanawiałam się. — Chyba się niepotrzebnie czepiam. Mieszkanie ma duże, ładne i porządek w nim wzorowy. Widocznie sprząta w nim bez przerwy. Podłogi błyszcząły niczym u pani Zenobii. Czułam się jak w muzeum.

— Miał zapasowe kapcie?

— Nie. Siedziałam w butach. Starał się, jak mógł. Był miły, nawet szarmancki. Opowiadał dużo o sobie, właściwie głądził cały czas. Czekał, aż wino mnie rozgrzeje i chyba liczył, że wylądujemy w łóżku. Może bym się i zdecydowała, ale jak sobie wyobraziłam jego pościel, nakrochmaloną na sztywno... Jak się zorientował, że z seksu nici, to trochę się zmienił. Puścił film ze swojej wycieczki do Grecji. Widoczki ładne, nie powiem. Wyglądało na to, że miał swojego osobistego operatora. To nie był film o Grecji, ale o nim. Waclaw na każdym ujęciu. Jakaś panienka wisiała mu ciągle u szyi. Obcałowywała go na tle greckich ruin, albo tańczyła tylko dla niego. W pewnym momencie zatrzymał projekcję. „Dalej nie ma nic ciekawego” — stwierdził, ale coś mi się wydaje, że końcówka filmu była dopiero pasjonująca. Scena rozgrywała się w hotelowym pokoju, a jego panienka właśnie zabierała się za erotyczny taniec.

— Pal diabli pościel — mówiła podekscytowana Magda. — Dobrze, że nie poszłaś na całość. Może i ty byłabyś w ukrytej kamerze. Skąd wiesz, że facet nie ma takiego hobby?

93

Krystyna Śmigielka

— Ludzie lubią, jak się innym źle wiedzie. Władza uderza do głowy, a jak ktoś przy tym nie grzeszy rozumem, to już prawdziwa tragedia — mówił zamyślony pan Włodek.

— Irmina, daj tę listę. Igor mnie zabije, ale co mi tam! Trzeba być człowiekiem! — Magda podjęła decyzję.

— Pani Magdo, niech się pani jeszcze zastanowi — prosił ją pan Włodek.

— Powiem wam szczerze! — śmiała się. — Ociuch był nachalny i wiele razy robił mi niedwuznaczne propozycje. Oblesny typek! Gdyby Tadziu mi raz coś takiego powiedział... Kto wie? Ale on traktuje mnie z szacunkiem. Jak on ze mną po ludzku, to i ja z nim po ludzku — mówiła, dopisując swoje nazwisko na czarną listę.

Zrobiłam to samo. Nie miałam większych rozterek. Rzeczywiście, świat nie kończył się na tej jednej firmie. Krótko tu pracuję i nie za-! mierzam spędzić w niej całego zawodowego życia. Waclaw już mi proponował nową pracę. Poradzę sobie.

Pan Włodek poszedł zbierać podpisy w innych działach. Czy był zadowolony z naszej postawy, nie wiem. Atmosfera w biurze nie sprzyjała wydajnej pracy. Najchętniej wyłączyłabym komputer i z własnej, nieprzymuszonej woli, poszłabym do domu. Magda jednak nie wyglądała na przygnębioną. O dziwo, wrócił jej dobry humor. Wyjęła tabliczkę czekolady i odłamała z niej jedną kostkę.

— Dla ciebie tylko tyle — mówiła, podsuwając mi ją pod nos. — Musisz jeszcze dbać o linię. Ciągłe nam dziś przeszkadzają, a ja dalej nie wiem, co to był za facet i jak udała się twoja randka? Że masz pecha, to już ustaliłyśmy. Powiedz teraz dlaczego? Okazało się, że jest żonaty?

Czekolada rozpląnęła mi się w ustach. Przyjemny, słodki smak poprawił mi nastrój.

Pomyślałam, że właściwie mogę jej wszystko opowiedzieć. W końcu nie było tak źle.

92

Ty to głupia jesteś!

— Nie jest żonaty — zaprzeczyłam. — To kolega mojego brata. yj liceum chodzili do jednej klasy. Nigdy bym go nie poznała. Urósł i zmężniał! Widocznie należy do tych niepozornych, brzydkich kaczątek, które dopiero na studiach przeistaczają się w piękne łabędzie. Twierdzi, że podkochał się we mnie od pierwszej klasy. Oczywiście nie miał żadnych szans, dlatego cierpiał w ukryciu. Teraz to co innego. Dobrze zarabia. Jest kierownikiem w jakiejś zachodniej firmie. Ma pod sobą trzydzieści osób. Nabrał pewności siebie.

— To co ci się w tym księciu z bajki nie podobało? — zapytała.
— Sama nie wiem — zastanawiałam się. — Chyba się niepotrzebnie czepiam. Mieszkanie ma duże, ładne i porządek w nim wzorowy. Widocznie sprząta w nim bez przerwy. Podłogi błyszcząły niczym u pani Zenobii. Czułam się jak w muzeum.
— Miał zapasowe kapcie?
— Nie. Siedziałam w butach. Starał się, jak mógł. Był miły, nawet szarmancki. Opowiadał dużo o sobie, właściwie głądził cały czas. Czekał, aż wino mnie rozgrzeje i chyba liczył, że wylądujemy w łóżku. Może bym się i zdecydowała, ale jak sobie wyobraziłam jego pościel, nakrochmaloną na sztywno... Jak się zorientował, że z seksu nici, to trochę się zmienił. Puścił film ze swojej wycieczki do Grecji. Widoczki ładne, nie powiem. Wyglądało na to, że miał swojego osobistego operatora. To nie był film o Grecji, ale o nim. Waclaw na każdym ujęciu. Jakaś panienka wisiała mu ciągle u szyi. Obcałowywała go na tle greckich ruin, albo tańczyła tylko dla niego. W pewnym momencie zatrzymał projekcję. „Dalej nie ma nic ciekawego” — stwierdził, ale coś mi się wydaje, że końcówka filmu była dopiero pasjonująca. Scena rozgrywała się w hotelowym pokoju, a jego panienka właśnie zabierała się za erotyczny taniec.
— Pal diabli pościel — mówiła podekscytowana Magda. — Dobrze, że nie poszłaś na całość. Może i ty byłabyś w ukrytej kamerze. Skąd wiesz, że facet nie ma takiego hobby?

93

Krystyna Śmigielka

— Raczej nie. Na wszelki wypadek dobrze się rozejrzałam Z grzeczności wykazałam zainteresowanie jego osobą i zapytałam o tę panienkę. Zgadnij, co odpowiedział.
— Nie mam pojęcia, ale jestem ciekawa — śmiała się.
— Koleżanka z pracy! Wyobrażasz sobie?! Ten szalik na jego szyi ta wisząca laleczka, tańcząca powabnie! Koleżanka! Dobrze, co?
— Z tego wynika, że w tej jego firmie pracownicy muszą być bardzo zintegrowani — Magda wybuchła śmiechem.
— No właśnie! Zaprosił mnie na andrzejki w gronie przyjaciół. Zgodziłam się, ale teraz nie wiem, czy dobrze zrobiłam — przyznałam się.
— To jak on właściwie ma na imię?
— Mówiłam ci. Waclaw — powiedziałam powoli, wyczuwając jakiś podstęp.
— Czyli Wacek! Igor się ucieszy! — poinformowała mnie.
— A niby dlaczego? — dociekałam.
— Bo ma przyjaciela, Wacusia! Jak chce siusiać, to mówi: „Muszę opróżnić Wacusia!”. Mogłam się po niej tego spodziewać! Sama dałam jej powód do drwin. Będzie się wyzywać do woli. Już ona nie popuści mojemu Wackowi.
— Musisz się pośpieszyć — zaczęła z innej beczki. — Ciężko jest kupić coś sensownego. Może ci pomogę, uwielbiam przymierzać ciu-j chy.
— Nie myślałam o tym. Muszę mieć coś nowego? Przecież ani Waclaw, ani jego koleżanki nie znają mojej garderoby. Coś sobie wybiorę. Czarna sukienka będzie chyba w sam raz na tę okazję.
— Praktyczna Irminka! — ironizowała Magda. — Dobrze, że przeróbek nie chcesz robić. Bądź prawdziwą kobietą! Kup sobie nowy łaszek, ciesz się z niego i czuj się w nim jak księżniczka.
— Nie mam zamiaru kupować balowej sukni. To pewnie będzie jakaś prywatka. Nie przebiorę się, nie ma mowy — broniłam się.

94

ly to głupia jesteś!

— oj, nie musi to być od razu suknia w kolorze słońca. Niech będzie w kolorze trawy. Spokojnie. Zakupy zawsze podnoszą na duchu i poprawiają samopoczucie — tłumaczyła. — Andrzejki za pięć dni, czasu jest mało. Co ty na to, żebyśmy się umówiły dziś wieczorem?
— Uściślijmy! Wieczorem w Galerii?
Wiedziałam, o co jej chodzi. Wolałam jednak usłyszeć to od niej. . Niech nie myśli, że jest taka sprytna, a ja taka niedomyślna.
— W Galerii — potwierdziła. — Ty kupujesz, a ja występuję w charakterze doradcy, wizażysty!
— Jak wysoko cenisz swoje usługi?
Domyślałam się, że Magda chce znów wyłudzić puchar z kremem. Postawię jej, nie zbiednieję. Mrożonej kawy nie dostanie! Mowy nie ma. Niech szuka innego jelenia.
— Robię to z dobroci serca, z przyjaźni — krygowała się.
— Magda — mówiłam poważnie — nie musisz być w domu, z dziećmi? Ty w ogóle widzisz swoich chłopców?
— No widzisz! — oburzyła się.— Nie masz pojęcia, jak wygląda współczesna rodzina. Moi chłopcy są tak zajęci, że nie mają czasu na przesiadywanie ze starą matką. Dziś jest poniedziałek, więc są pod opieką Igora. Mają trening i dodatkowy angielski. Jutro z tobą nie pójdę, bo we wtorki ja zawożę ich na zajęcia teatralne. W środę wszyscy jesteśmy w domu, a w czwartek znów trening i tak w kółko. Czasem jestem zdziwiona, że nie pogubię się w tym napiętym grafiku! Stawiasz pucharek i jestem do twojej dyspozycji — zakończyła. Zazdrościłam jej życia rodzinnego a zwłaszcza Igora, z którym tak dobrze się rozumiała. Podziwiałam ją za to, że potrafiła wygospodarować trochę czasu i spędzić go w moim towarzystwie. Mieszkałam już dziewięć lat w tym mieście, ale właściwie nie miałam znajomych. Koleżanki po studiach rozjechały się, powychodziły za mąż. Magda była jedyną osobą, z którą mogłam się wybrać do kawiarni albo do kina. Dwa razy zaprosiła mnie do teatru. Teraz na horyzoncie po-

95

Krystyna Śmigielska

jawił się Wacław. Na ślubnym kobiercu chyba z nim nie stanę, ale: przynajmniej będę miała z kim wyjść w sobotni wieczór. Kupię te kieckę! Poprawimy sobie humory, jak nie zakupami, to pucharkami orzechowego kremu.

Sprawdziłam wszystkie ławki. Gwidonowych karteczek nie było. Rozczarowana, wjechałam na górę ruchomymi schodami. Zająłam miejsce przy balustradzie. Młody kelner poznał mnie od razu. Błyskawicznie zjawił się przy moim stoliku. Z miłym, wręcz przyjacielskim uśmiechem podał mi kartę. Nie musiałam do niej zaglądać.

— Dwa puchary z kremem orzechowym — zamówiłam. — Proszę je podać, jak zjawi się moja przyjaciółka.

— Oczywiście! jak pani sobie życzy! Może teraz przyniosę pani chociaż wodę? Gazowaną czy nie? — mówił, zgięty wpół.

— Gazowaną — odparłam niedbale.

Chłopak naprawdę się starał. Po minutce postawił przede mną wysoką szklankę z musującą wodą.

Magda przybiegła w rozchełstanej kurtce, z wypiekami na twarzy Opadła ciężko na krzesło i nie pytając mnie o zgodę, chwyciła szklankę i duszkiem wypła całą wodę. Zanim zdążyłam wyrazić] swoje oburzenie, uczynny kelner przyniósł mi następną szklankę. Zawrócił na pięcie i w mgnieniu oka wrócił z pucharami pełnymi orzechowego kremu.

— Dziękuję — powiedziałam, kokieteryjnie przewracając oczkami i delikatnie poprawiając włosy.

— Zaczarowałaś go? — dziwiła się moja przyjaciółka. — Chodzi, jakbyś pociągła za niewidoczne sznurki.

— Niestety, to nie czary — rozwiąłam jej złudzenia. — To pieniądz zmienia ludzi! Nie wiedziałaś?

96

iy w yшpш jtsies:

— W takim razie — podsumowała — chłopak ma dobrą pamięć!

Delektowałyśmy się kremem. Rozgryzałyśmy laskowe orzechy, pilnie obserwując siedzących blisko nas ludzi. Chrupałyśmy trochę za głośno. Nic jednak nie mogłyśmy na to poradzić. Dobrze, że wokół panował niesamowity wprost gwar. Na szczęście nikt nie zwracał na nas uwagi.

, — Spotkałam dziś Pechowca — poinformowałam Magdę. — Wpadł na mnie.

— Kogo spotkałaś? — nie mogła zrozumieć.

— Pechowca, mówię przecież. Tego twojego nieudanego kuzynka. Włazł na mnie na przystanku tramwajowym.

— A! — dotarło do niej. — Mirka?! Co u niego?

— Nie wiem — stwierdziłam zgodnie z prawdą. — Zwiął. Może się bał, że przyniosę mu pecha — śmiałam się.

— Mów normalnie. Niczego nie rozumiem z tej twojej paplaniny — ganiła mnie.

Starannie pogryzłam dwa orzeszki i przełknęłam je z odrobiną kremu.

— Stoję sobie grzecznie na przystanku — zaczęłam opowiadać. — Nagle czuję, że ktoś z wielkim impetem wpada na moje plecy. Odwracam się, żeby go porządnie ochrzanić, a tu stoi przede mną Pechowiec we własnej osobie. Tak mi się wydaje, że to on, chociaż nie mam stuprocentowej pewności. Ma czarną, sztruksową kurtkę?

— Ma! — potwierdziła.

— Wyglądał na bardzo przestraszonego. Zrobił głęboki wdech. Wytrzeszczył oczy i krzyknął mi prosto do ucha: „Dzień dobry!” Odwrócił się i jak w amoku pobiegł przed siebie. Mało brakowało, a wpadłby pod nadjeżdżający tramwaj. Uspokoił się dopiero, jak znalazł się po drugiej stronie ulicy. Zrobił jeszcze kilka kroków, ale chyba zdał sobie sprawę z tego, że idzie w złym kierunku i po chwili

97

тїузіуии лшүїсіьки

zawrócił. Stanął przed przejściem dla pieszych. Miałam wrażenie, że mnie obserwuje.

Wpatrywał się w przystanek. Światło zmieniło się trzy razy, a Pechowiec ani drgnął.

— I co dalej? — dopytywała się Magda.

— Nie wiem. Wsiadłam do tramwaju i pojechałam. Pomachałam mu przez szybkę na pożegnanie, co znów wprawilo go w popłoch — zakończyłam, śmiejąc się.

— Mogłaś już sobie darować. Niepotrzebnie go straszylaś — zganiła mnie Magda.

— Nie wiedziałam, że on taki strachliwy. Wyglądam jak czarownica?

Kelner dostał ode mnie tylko pięć złotych napiwku, co w zupełności wystarczyło mu, aby kłaniać nam się w pas i zapraszać do ponownego odwiedzenia kawiarni.

Sukni nie kupiłam. Przymierzałyśmy kreacje, wybrzydzałyśmy, dobierałyśmy do nich dodatki. Magda starała się wbijać w za ciasne kiecki, narzekając przy tym na Igora i jego dietetyczne upodobania.

— Czym skorupka za młodu nasiąknie... — pomstowała na swoją teściową. — Ja mogłabym jeść same kiecki i też bym wyżyła! Ale, nie! Bez mięsa nie ma posiłku! Schudłby biedaczek! Sił by nie miał! — przedrzeźniała matkę własnego męża.

Ekspedientki przyglądały nam się znudzonym wzrokiem, a my bawiłyśmy się znakomicie. W końcu koło ósmej opuściliśmy Galerię. Pożegnałyśmy się czule, jak przystoi na prawdziwe przyjaciółki. Złożonymi w ciup wargami delikatnie muskałyśmy swoje rozpalone emocjami policzki. Rozstałyśmy się w znakomitych humorach i każda z nas pomaszerowała na inny przystanek autobusowy.

Wieczór był zimny. Otuliłam szyję szalikiem i starałam się oddychać wyłącznie przez nos. Na przystanku czekało kilka osób. Przeszypowali nerwowo z nogi na nogę, spacerowali, wypatrując

98

iy lu yiuyiu jcsics:

upragnionego autobusu. Wsunęłam ręce do kieszeni kurtki, podniosłam ramiona i wolnym krokiem chodziłam tam i z powrotem, przytupując w takt dzwoniącej mi jeszcze w uszach melodii. Bezmyślnie stanęłam przy niedużej tablicy z ogłoszeniami i dla zabicia czasu czytałam fiszki, na których było napisane, czego ludzie chcą się pozbyć. Dowiedziałam się, że komuś nie jest już potrzebna elektryczna kuchnia z piekarnikiem (znakomita do zabudowy), antena satelitarna z dekoderm, telewizor z płaskim ekranem, sanki dziecięce, owczarki niemieckie, rodowodowe (piękne szczenięta), piesek i suczka, doskonale do dalszej hodowli... Masz babo placek! Znalazłam szczeniaki! Bez najmniejszego zastanowienia oderwałam z ogłoszenia małą karteczkę z numerem telefonu. Przeczytałam jeszcze raz całą treść.

Autobus się spóźniał, a ja nerwowo spoglądałam na zegarek. Jak dojadę do domu, będzie po dziewiątej. Zastanawiałam się, czy o tej porze wypada dzwonić do obcych ludzi? Doszłam jednak do wniosku, że skoro wywiesili ogłoszenie w miejscu publicznym, muszą liczyć się z konsekwencjami. Podjęłam męską decyzję! Do dziesiątej mogę wydzwaniać bez skrepowania!

Wpadłam do domu, zsunęłam buty i w kurtce usiadłam na fotelu. Wzięłam głęboki oddech i wstukałam do telefonu numer z karteczki.

— Słucham! — odezwał się miły kobiecy głos.

Bałam się, że będę musiała pertraktować z mężczyzną. Odetchnęłam z ulgą i spokojnie zaczęłam mówić.

— Dobry wieczór! Dzwonię w sprawie ogłoszenia. Chciałam zapytać, czy ta suczka jest jeszcze aktualna?

Nie było to piękne zagajenie rozmowy, ale skuteczne! Nieważne środki, ważny cel — myślałam, słuchając z drżącym sercem odpowiedzi właścicielki szczeniąt. A mój dziadek mawiał: „Najpierw pomyśl, potem zrób!”.

99

лхуау/ш зпийієіьки

Wacław zadzwonił o wpół do dziesiątej.

— Irmina, co się z tobą dzieje? — krzyczał mi prosto w ucho.

— Nic się nie dzieje! Siedzę w domu — odparłam, trochę zdezorientowana, o co właściwie ma do mnie pretensje.

— Siedzisz w domu? To dlaczego nie otwierasz? Byłem u ciebie trzy razy i tylko pocałowałem klamkę — mówił spokojniejszym już głosem.

— Robiłam zakupy! Widocznie się minęliśmy — łagodziłam.

— Komórkę masz rozładowaną — informował mnie Wacław. — Z kim rozmawiałaś przez telefon? Był przed chwilą zajęty — dopytywał się.

Wpadłam w panikę i z obłędem w oczach rozglądałam się po pokoju. Cholera jasna! — myślałam. — Jeszcze tu nie był i już wszystko o mnie wie. Może rzeczywiście jestem w ukrytej kamerze? O, nie, mój panie! Niedoczekanie twoje, żebym cię tu zaprosiła. Uczepił się mnie! Po co to przesłuchanie? Jestem wolna i robię, co chcę! Nie będę się mu tłumaczyła!

— Dzwoniła do mnie mama — kłamałam jak z nut. Wacław przełknął kłamstwo i teraz on zaczął się tłumaczyć.

— Słuchaj! Te andrzejki są wyjazdowe. Cała paczka robi wypad do Szklarskiej Poręby! Jeździsz na nartach? Tylko jest jeden problem. Pokoje są dwuosobowe i musielibyśmy spać razem. Oczywiście na osobnych łóżkach! W pokoju jest telewizor, dostęp do Internetu, łazienka. Piękny pensjonat. Posiłki są wliczone w cenę. Panny i kawalerowie mają

zapewnione lanie wosku i takie tam, no wiesz, wróżby. Wyjazd w piątek, powrót w niedzielę. Masz samochód? Mój ciągle jest w warsztacie. Pociągiem nie ma co się pchać. Jeśli nie, to zabierze nas mój podwładny. To jesteśmy umówieni? — zamilkł.

100

Ty to głupia jesteś!

— Nie — powiedziałam.

— Co, nie? — zapytał Wacław.

— Nie jeżdżę na nartach! Na łyżwach też nie! — dopowiedziałam na wypadek, gdyby chciał zaproponować mi spędzenie całego dnia na lodowisku.

— Szkoda! — zmartwił się. — Ale mówi się trudno i kocha się dalej.-

— Nie! — stwierdziłam.

— O! A tym razem to „nie” do czego się odnosiło?

— Nie mam samochodu — starałam się opanować rosnące we mnie negatywne emocje.

— Jakoś damy radę. Całe towarzystwo dysponuje czterema autami. Zabierzemy się! Może będziemy musieli jechać osobno. Ja pojedę z Jackiem, a ty z dziewczynami. Zuzka ma chyba wolne miejsce, jak jej każę, to cię weźmie.

Wściekłam się. Andrzejki nie zapowiadały się ciekawie. Mam jechać z jakimiś obcymi dziewczuchami! Mój Romeo cały dzień spędzi na nartach, a po laniu wosku właduje mi się do łóżka.

— Nie! — powiedziałam do słuchawki stanowczym głosem.

— Do czego to „nie”? — spytał, już lekko przestraszony.

— Do wszystkiego! Nigdzie nie jadę! Oczywiście nie znaczy to, że ty masz zrezygnować z zabawy. Przepraszam cię, ale ja mam obowiązki. Nie mogę się ruszyć. Muszę być na miejscu

— tłumaczyłam.

— Co ty opowiesz? Jakże możesz mieć obowiązki? Umawialiśmy się! — w jego głosie wyczułam wyraźne rozczarowanie.

— Muszę się zaopiekować dzieckiem! — wypaliłam.

— Masz dziecko...? — szepnął wystraszony.

— Jutro będę miała! — zaśmiałam się.

W słuchawce zapanowała cisza. Rozłączył się. Najwyraźniej nie mógł zaakceptować „panny z dzieckiem”.

101

Krystyna Śmigielska

- Nie mogę! Jutro, proszę bardzo. Umów się na jutro, chętnie z tobą pojedę.

— Już się umówiłam. Nie będę przekładać. Trudno, może coś wymyślę.

— Wiesz, Irmina, najlepiej by było, gdybyśmy tam pojechały w sobotę. Co ty z nim zrobisz, gdy pójdziesz do pracy? Zaleje ci całe mieszkanie! Dobrze się zastanów! — proponowała Magda.

Miała rację, to pewne. Zachowywałam się jak dziecko, które nie może się doczekać prezentu od Świętego Mikołaja. Już chciałam się bawić upragnioną zabawką. A była to bardzo kosztowna zabawka!

— Połowy ci nie dam! Mowy nie ma! Muszę kupić prezenty mężowi i dzieciom. Dostaniesz ode mnie jedną trzecią i to w ratach. Na więcej nie licz. Jak to zrobić, żeby się Igor nie dowiedział? — zastanawiała się. — Słuchaj, a ten twój elegancik, Wacuś, nie ma auta?

— Dokładnie to nie wiem, ale z naszej wczorajszej rozmowy wynikało, że nie należy do szczęśliwych posiadaczy własnego środka lokomocji. Twierdzi, że samochód ma uszkodzony. Jakoś mu nie wierzę...

— A co z andrzejkami? Już wiesz, gdzie się będziecie bawili?

— O, tak! Wiem! Ja na pewno u siebie w domu. Z dzieckiem! — stwierdziłam stanowczo.

— Poczekaj! Zaraz wrócę! Mam pomysł i może będę mogła zapewnić ci transport. Seat mojej teściowej będzie dobry? Duże to bydlę? — dopytywała się.

— Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia. Podobno ma trzy miesiące i uszy jej stają. Jak myślisz, Tazio wyrzuci nas obie? i

— Ryzyko zawsze istnieje. Musisz się z tym liczyć. Może nie będzie tak tragicznie! Póki co, ty pracuj dzielnie i wydajnie, a ja się zmywam. Rozpocznym szeroko zakrojoną akcję pod kryptonimem „Suka”! Mam już konkretny plan — mówiła uradowana Magda.

102

iy IO yiUpiU JCSLCb!

Widocznie przechodził korytarzem. Nie wiem, ile czasu minęło, od kiedy stanął w otwartych drzwiach i zaczął mi się bacznie przyglądać. Poczulałam zażenowanie. Na policzki wystąpiły mi różowe wypieki.

— Przepraszam! Nie zauważyłam pana! Mogę w czymś pomóc? Znow się pomyliłam? — tłumaczyłam się stojącemu w drzwiach szefowi.

— Pani Magdy dziś nie ma? — spytał łagodnie.

— Jest! Wyszła tylko na chwileczkę. Zaraz wróci! Czy to coś pilnego? Może jej poszukam? — zaoferowałam swoje usługi.

— Nie, nie! Ja tylko tak spaceruję po firmie. Zajrzałem do was z ciekawości. Tak tu dziś cicho! Pozwoli pani? — spytał, wskazując ręką krzesło.

— Oczywiście — oprzytomniałam. — Proszę, panie dyrektorze! Usiadł po drugiej stronie mojego biurka. Nie wiedziałam, czy mam go zabawić rozmową, czy udawać zapracowaną urzędniczkę? Pomyślałam, że jeżeli zachowuje się jak gość, a nie jak przełożony w pracy, rozsądnie będzie zaproponować mu coś do picia.

— Chętnie poczęstuję pana kawą! Zaparzyć?

— Bardzo proszę — uśmiechnął się. — Przyjemnie tu u pań. Posiedzę sobie chwilkę. Słyszała pani plotki?

— Widzi pan — starałam się wymigać od odpowiedzi — ja nie lubię plotek.

— Nie podejrzewam pani o plotkowanie. Nie to miałem na myśli. Ale sama pani wie, jak to bywa. Złe wieści rozchodzą się błyskawicznie! W każdej plotce jest niestety ziarenko prawdy. Wygląda na to, że nasza współpraca dobiega końca. Szkoda! Naprawdę wysoko sobie cenię pani umiejętności... — zawiesił głos.

— Rzeczywiście — przyznałam się. — Słyszałam to i owo. Myślę jednak, że nie ma pan się czego obawiać. Firma działa wprost mo-

103

Krystyna bmgieisKa

delowo. To przecież pana zasługa. W Warszawie powinni być z pan| dumni! — starałam się go pocieszyć.

— Miło mi, że pani tak twierdzi, jednak oboje dobrze wiemy, ja[^] jest przy zmianie władzy. Kto nie z nami, ten przeciwko nam! Polecę, pani Irmino! Polecę, jak amen w pacierzu! Nie wyglądał na załamane. Spokojnie popijał kawę. Nie wiem czemu, ale zrobiło mi się strasznie żal szefa, firmy, mnie samej (bo jak on odejdzie, to i ja polecę za nim). Cyrograf podpisałam własnoręcznie.

— Nie wiem, czy dotarła już do pana wiadomość, że załoga stoi za panem murem? — zaczęłam niepewnie.

— Spokojnie, pani Irmino! Nie musi się pani niczego obawiać. Zniszczyłem to nieszczęsne pismo. Doceniam wasze intencje, ale to nie są czasy, w których należy wykazywać się bohaterstwem. Mnie byście nie pomogli, a sobie zaszkośli. Nie ma sensu narażać się bez potrzeby. W panu Włodku obudziła się, skrywana od lat, dusza wojownika. Muszę szczerze

przyznać, że jak patrzyłem na tę listę, podziwiałem swoich współpracowników. Dziękuję, naprawdę dziękuję.

— Widzę, że jest pan pogodzony z losem. Musi pan jednak przyznać, że to jest niesprawiedliwe. Ludzi powinno się oceniać po ich pracy.

— Mówmy o czymś przyjemniejszym — zaproponował. — Jeżeli usuną mnie z tego stanowiska, będę musiał rozejrzeć się za nową posadą. Przyznam się pani, od dawna szukałem i możliwe, że ta zmiana wyjdzie mi na dobre. Mam na oku bardzo ciekawe zajęcie, dobrze płatne. Firma jest prywatna, ale to może nawet lepiej. Przynajmniej nie polecę po kolejnej zmianie władzy. Będę tam miał możliwość doboru personelu. I właśnie dlatego przyszedłem do pani. Praca byłaby ciekawsza, dająca możliwości szybkiego awansu. Jeśli się zdecyduję, chętnie widziałbym panią w moim zespole.

104

I y to gtupia jesteś!

No, ładnie — myślałam. — To my nadstawiamy za ciebie głowy, a ty tymczasem proponujesz mi lepsze zarobki, awanse i świetlaną przyszłość. Widocznie nie warto się przejmować cudzymi sprawami. Najlepiej pilnować własnego nosa. Chyba muszę się jeszcze dużo nauczyć. Życie jest brutalne.

Musiałam mieć bardzo zdziwioną minę, bo Tadzio tłumaczył mi ściszym, coraz łagodniejszym głosem:

— To nie moja wina, pani Irmino! Takie jest życie! Każdy na moim miejscu rozglądałby się za nowym zajęciem. Mam na utrzymaniu żonę. Sama pani rozumie. Nigdy nie pracowała i chyba się do tego nie nadaje. Rozpuściłem ją jak dziadowski bicz. Miłość jest ślepa!

Obserwuję panią. Prowadzi pani bardzo ryzykowną grę. Ukrywa pani swoją prawdziwą twarz. Myślę, że koleżanka też panią rozszyfrowała. Proszę się nie bać siebie samej! Ma pani wiele atutów. Pani Irmino! Proszę się na mnie nie gniewać! Dzisiaj taki nieprzyjemny dzień. Chciałem zapomnieć na chwilę o tych wszystkich sprawach. Przepraszam za zwierzenia, ale to pani wina. Pani potrafi słuchać, a to jest prawdziwa rzadkość. Proszę porozmawiać z koleżanką. Mimo jej gadulstwa, stanowicie dobrany duet i chętnie bym z wami dalej współpracował. Nie musi mi pani teraz odpowiadać. Zobaczymy, jak się wszystko potoczy. Jeszcze raz dziękuję za kawę, była pyszna!

Wstał z krzesła i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi.

— Panie dyrektorze! — zawołałam odrobinę za głośno. Przystanął, odwrócił się w moją stronę. Po twarzy błąkał mu się smutny uśmiech.

— Słucham panią?

— A suczka? — zapytałam.

— Niestety, nie żyje... Można by powiedzieć, że ona odeszła, a na jej miejsce pojawiły się kłopoty.

105

Krystyna Śmigielska

— Ja pytam o nową, o szczeniaka — sprecyzowałam swoje myśli.

— Nie, nie mamy jeszcze nowego psa.

— To dobrze — palnęłam i odetchnęłam z ulgą.

Dyrektor przyglądał mi się podejrzliwie. Nie chciałam zdradzić swojej tajemnicy. Sytuacja była niezręczna. Staliśmy naprzeciw siebie i w milczeniu czekaliśmy, aż ktoś wybawi nas z tej matni niedomówień. Dzwonek telefonu przywrócił nas do rzeczywistości. Podniosłam słuchawkę.

— Irmina! To ty? — wrzeszczała mocno zdenerwowana Wera.

— Tak! — potwierdziłam, wciąż patrząc na Tadzia.

— Szef jest u ciebie? — pytała.

— Tak.

— To powiedz mu, żeby szybko wracał do siebie. Jadą do niego z Warszawy. Przed chwilą dostałam cynk! Kurczę, wyleją go! — jęczała.

Odłożyłam słuchawkę.

— Już jadą. Wera prosi, żeby pan wrócił do gabinetu.

Tadzio rozłożył ręce i wykrzywił twarz, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że co ma być, to będzie. Nie mówiąc już ani słowa, wyszedł z naszego pokoju.

Po krótkiej chwili zjawiała się Magda. Bez skrupowania usiadła na moim biurku. Położyła przede mną plik banknotów.

— Warszawa jedzie! Tyle uzbierałam. Jutro jeszcze trochę dostaniesz. Pan Włodek dał całą stówkę. Podobno Tadzio podarł czarną listę. Stenia nie dała kasy! Kłępa jedna. Pomysł jej się nie podobał. „A dlaczego, a skąd wiecie, a może nie wypada?” — przedrzeźniała ją Magda.

— Złaż z mojego biurka! — warknęłam.

— A tobie co? Dziwnie wyglądasz. Płakać będziesz? — zainteresowała się.

106

Ty to głupia jesteś!

Nie miałam szampańskiego humoru, to fakt. Po rozmowie z szefem czułam się fatalnie.

— Zbierałaś pieniądze? — oprzytomniałam.— Nie prosiłam cię o to. Sama mogę sfinansować ten zakup. Postawiłaś mnie w głupiej sytuacji, co ludzie sobie o mnie pomyślą? Magda, dlaczego tego ze mną nie uzgodniłaś? Jak mogłaś? — złościłam się. — Zabieraj ten tyłek i idź oddać forsz!

— Nic nie będę oddawała — burczała nadąsana.

Zsunęła się z biurka i obrażona przeniosła się na swoje miejsce. Po chwili kłopotliwego milczenia, nie wytrzymała.

— Co tu się stało? Nie mogę cię zostawić nawet na dziesięć minut! Kto cię tak wkurzył?

— Chodź, pójdziemy zapalić — zaproponowałam. — Potem Warszawa będzie się tu kręciła i nie będziemy mogły się ruszyć. Wszystko opowiem w palarni. Weź dezodorant!

Starannie wygładziłam przyniesione przez Magdę banknoty. Nie zwróciłyśmy pieniędzy.

Magda twierdziła, że wszyscy ofiarowali je dobrowolnie. Ona tylko szukała dla mnie transportu. Wygadała się przez przypadek i wtedy pan Włodek wyjął całe sto złotych i stwierdził, że on też chce partycypować w tym interesie. Pomysł bardzo mu się spodobał. „Do szóstego grudnia będziemy już wiedzieli, co z nim i z nami będzie. Oby to była miła niespodzianka, a nie prezent pożegnalny”. Magda upierała się, że tak właśnie powiedział. Ustaliliśmy, że jeżeli coś nie wypali i zostaną z tym fantem w rękach, zwrócimy ludziom wszystko, co do grosza. Nie byłam zadowolona z kierowcy, który miał mnie zawieźć za miasto po odbiór prezentu dla Tadzia. Nie mogłam jednak wybrzydząć! W grę wchodził tylko taki wariant. Co prawda, mogłam jeszcze zamówić taksówkę! Jednak za taką wy-

107

Krystyna Śmigielska

prawe zapłaciłabym majątek. Trudno, pojedę z Pechowcem. Zawsze przecież można mieć nadzieję, że właśnie dzisiaj pech go opuści. Nadzieja malała we mnie z każdą chwilą.

Pechowiec miał być u mnie pół godziny temu. Siedziałam w pokoju, na fotelu, w kurtce, kozaczkach, z torebką pełną pieniędzy na kolanach. Byłam zła sama na siebie. Dałam się wmanewrować w tego Pechowca. Z własnej głupoty pomalowałam się i teraz czułam, jak makijaż spływa mi z twarzy. Nareszcie usłyszałam upragniony dzwonek do drzwi.

Otworzyłam z impetem i już miałam wyładować frustrację całego dnia na biednym

doktorancie... Zamarałam! Doktoranta nie było! Przed moimi drzwiami stał olbrzymi kosz

kwiatów. Rozglądałam się po pustym korytarzu. Ktoś to przecież musiał przytaszczyć!

Nikogo nie było. Kosz był tak wielki, że z trudem mogłam go podnieść. Postawiłam go na środku pokoju i wzdychając z zachwytem, rozpoczęłam poszukiwanie bileciku, z którego

mogłabym się dowiedzieć, kto jest fundatorem tego cuda. Nic nie znalazłam. Pomyślałam o Waławie i uśmiechnęłam się w myślach do niego. Chyba za pochopnie chciałam go skreślić z listy. Przyszyczymy się do siebie, dotrzemy. Kto wie, może to właśnie ten mój jedyny? Rozsądniejsza część mojej osoby buntowała się, że tak łatwo zmieniam zdanie. Kilka kwiatków nie może być wystarczającym powodem, żebym powiedziała „tak” przed ołtarzem. Tak czy siak, wypadało zadzwonić i podziękować za miły prezent. Nie zdążyłam jednak wybrać numeru Waławy. Dzwonek do drzwi odezwał się ponownie. Otworzyłam z uśmiechem na twarzy. Tym razem stał przede mną Pechowiec w całej swojej krasie. Ubrany był jak na bal sylwestrowy. W białą koszulkę, granatowy gar-niturek, śmieszny krawacik. W rękach ugniatał czapkę. „Co on sobie wyobraża? Co mu ta mała, Magda, nagadała? Ma mnie zawieźć po odbiór psa! Co on tu robi w takim stroju?”

— Dobry wieczór, pani Irmino! — zdobył się w końcu na odwagę. — Widzę, że jest pani gotowa. Możemy jechać? Przepraszam za spóźnienie. Miałem małe kłopoty z zaparkowaniem auta — przyznał się.

108

Ty to głupia jesteś!

O Boże! — jęknęłam w duchu. — Pewnie zaparkował na drugim końcu miasta! Będę miała dużo szczęścia, jeżeli uda nam się trafić tam przed północą. Magda! Ja cię za to zabiję! Zamykając drzwi, nie byłam pewna, czy wybieram się na „cud--randkę”, czy na umówione spotkanie z hodowcą owczarków niemieckich. Bałam się zapytać. Głupio będzie pozbawić złudzeń tego wystrojonego naiwniaka.

Auto teściowej stało prawie na schodach. Lewym błotnikiem dotykało pierwszego stopnia wiodącego do mojej klatki schodowej, jakim cudem podjechał tak blisko, nie mam pojęcia. Szarmancko otworzył przede mną drzwiczki. Chciałam wsiąść, lecz Pechowiec powstrzymał mnie, delikatnie dotykając mojego ramienia.

— Bardzo przepraszam! Nie zauważyłem! Już to sprzątam! — i z siedzenia obok kierowcy zaczął wygarniać liście i płatki kwiatów.

Doznałam olśnienia! To nie Waław! To Pechowiec przyniósł kwiaty! Teraz naprawdę się bałam! Magda! Już nie żyjesz! — krzyczałam w myślach.

Biorąc pod uwagę stan emocjonalny mojego nowego adoratora, zdziwił mnie jego styl prowadzenia pojazdu. Za kierownicą nabrał pewności siebie. Wyciągnął się jak struna. Na nos nałożył okulary. Może to padające na niego światła ulicznych latarni sprawiły, że wyglądał bardzo interesująco. Jechaliśmy w milczeniu. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że nie ustaliliśmy celu naszej podróży.

— Panie Mirku, dokąd właściwie jedziemy? — spytałam.

Na skrzyżowaniu powinniśmy skręcić w lewo, byłam tego pewna. Mój szofer jednak włączył prawy kierunkowskaz.

— Mamy jeszcze trochę czasu. Sprawdziłem. Na miejsce zajedziemy w dwadzieścia minut. Chciałem zaprosić panią do miłej kawiarenki. Na kawę jest już pewnie za późno, ale może herbaty się razem napijemy? Proszę się zgodzić! To nie potrwa długo — mówił, o dziwo, spokojnym głosem.

109

Krystyna Śmigielska

Wyelegantował się do tej kawiarni, przytasczył pod moje drzwi kosz kwiatów! Nie miałam sumienia odmówić mu tej małej przyjemności i łaskawie wyraziłam zgodę na wypicie z nim filiżanki herbaty. Rzeczywiście, kawiarnia znajdowała się niedaleko. Był to malutki lokal, w którym z trudem mieściło się kilka stolików. Panował w nim ciepły nastrój. Mieszkam w tej okolicy i nie wiedziałam, że tuż pod moim nosem znajduje się takie przyjemne miejsce. Pechowiec zachowywał się nienagannie. Otworzył drzwiczki samochodu, żebym mogła wsiąść, podał mi swoje ramię, żebym się mogła na nim wesprzeć, otworzył szklane drzwi i

wślizgnął się pierwszy, żeby sprawdzić, czy nie czekają na mnie w środku niemiłe niespodzianki, odebrał moją kurtkę i powiesił ją na stojącym przy ścianie wieszaku, i w końcu rzucił się na krzesło, żeby je przede mną odsunąć, i w chwili, kiedy na nim siadałam, leciutko popchnął je do stolika.

Pomyślałam, że chce się zaprezentować z jak najlepszej strony. W dzisiejszych czasach rzadko można spotkać młodego człowieka, który ma tak nienaganne maniery, zwłaszcza na dłuższą metę. Ciekawe, ile wytrzyma? W końcu będzie musiał spuścić z tonu i pokazać swoją prawdziwą twarz. Póki co, dobrze się bawiłam. Poddawałam się jego adoracji, z rozmysłem prowokując go do kolejnych szarmanckich zachowań. Przejrzałam kartę i ostentacyjnie odłożyłam ją na bok.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, co raczyła pani wybrać? — dopytywał się, patrząc na mnie spoza zsuniętych na środek nosa okularów.

— Poproszę zieloną herbatę — powiedziałam wyniośle.

Kiedy do naszego stolika podeszła młoda kelnerka, Pechowiec złożył zamówienie. Teraz nastał czas prawdziwej próby. Oczekiwanie na zieloną herbatę należało wypełnić miłą pogawędką. Postanowiłam sprawdzić, czy jest dobrze przygotowany na tę ewentualność

110
Ty to głupia jesteś!

• w milczeniu dyskretnie rozglądałam się po niedużym lokalu. Z satysfakcją stwierdziłam, że był przygotowany.

— Właściwie nie chodzę po kawiarniach — zaczął. — Mam dużo zajęć. Praca — tłumaczył się. — Ale w tak miłym towarzystwie człowiek powinien przebywać tylko w wyjątkowych miejscach. Tu jest taka domowa atmosfera. Piękny wystrój i nie ma tłoku. Lubię spokój,

a pani?

Nie odpowiedziałam, ponieważ w tej właśnie chwili usłyszałam cichy dźwięk melodii płynącej z mojej komórki.

— Bardzo przepraszam. Pozwoli pan, że odbiorę. Może to coś ważnego...

— Ależ oczywiście. Proszę! Bardzo proszę... — poprawił się. W aparacie usłyszałam głos Wacława.

— Słuchaj, w takim razie może andrzejki spędzimy u ciebie? Pobawimy się z dzieckiem, a jak pójdzie spać, będziemy mieli czas dla siebie. To chłopczyk czy dziewczynka?

— Dziewczynka — odpowiedziałam, przesyłając Pechowcowi figlarny uśmiezek.

Czuł się skrępowany! Odwracał głowę i udawał, że właśnie ma atak nagłej głuchoty i ślepoty. Wpatrywał się w leżącą na stole serwetkę. Siedział bez ruchu.

— Mam dla niej kupić zabawkę czy może słodycze? — dopytywał się Wacław.

— Gumowego, piszczącego misia — doradziłam.

— Dobrze. W takim razie będę u ciebie około dziewiętnastej. Przyniosę też klucz, przez który będziemy mogli łąć wosk! Odezwę się jutro! Pa, kochanie — powiedział i rozłączył się. „Kochanie”? Panie Wacławie, czy aby nie za szybko? Nie mogłam się teraz nad tym długo zastanawiać. Przed sobą miałam filiżankę parującej herbaty, a za jej oparami, Pechowca.

Moja krótka rozmowa przez telefon wybiła go z rytmu i teraz nie wiedział, jak po raz drugi

III
Krystyna Śmigielska

zagaić rozmowę. Zrobiło mi się go żal. W końcu to moja wina, że tak ładnie rozpoczęta konwersacja została brutalnie przerwana.

— Podobno wygrał pan konkurs literacki — próbowałam znaleźć nowy temat do rozmowy. Wybór okazał się nie najszcześniejszy. W Pechowca wstąpiła furia. Zaczął nerwowo rozglądać się po kawiarni, jakby się bał, że ze wszystkich kątów wyskoczą nagle wielbiciele

jego twórczości i rzuca się na niego z prośbą o autograf. Duszkiem wypił wrzącą herbatę i odstawiając filiżankę na talerzyk, poganiał mnie:

— Przepraszam, ale musimy się śpieszyć. Jeszcze dzisiaj mam odstawić auto.

— Nie chciałam pana zdenerwować — starałam się jakoś wybrnąć z tej sytuacji. — Magda mówiła...

— Mówiła! — powtórzył. — Prosiłem, żeby o tym nie opowiadała! Kobietom nie można zaufać — z bólem westchnął Pechowiec.

— Powiedziała mi wyłącznie dlatego, że uwielbiam literaturę, pod każdą postacią — plotłam bez sensu. — Do tego stopnia — nie uwierzy pan — że zbieram rozrzucone kartki!

Pechowiec nie był zainteresowany moim hobby. Zachowywał się tak, jakby mnie w ogóle nie było. Rozglądał się za kelnerką i przeliczał drobne w portfelu. Teraz ja się rozżołościłam. Postanowiłam drażnić temat.

— Pan, zapewne, nie zrozumiał? Mówiąc o „rozrzuconych kartkach” miałam na myśli lokalnego twórcę o pseudonimie Gwidon. Bardzo ładnie pisze, no, oczywiście z małymi wyjątkami. Jestem wielbicielką jego talentu...

— Dostyc! — stanowczym głosem warknął na mnie. — Jedźmy już!

Położył dwadzieścia złotych na stoliku i nie czekając aż się podniosę, pognął do wieszaka.

Dobre maniery diabli wzięli! Ubrał się pierwszy i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że stoję obok niego i czekam, aż poda mi moją kurtkę.

112

ly lu yiupiu jcsics:

Na dworze siąpił drobny deszczyk. Porywisty wiatr uderzał w nasze twarze, chłostając je drobinkami wody. Musiałam sobie sama otworzyć drzwiczki samochodu, bo mój szarmancki adorator przeszedł przeobrażenie i zmienił się diametralnie. Zdecydowanie bardziej podobało mi się jego pierwsze wcielenie!

Ruszyliśmy. Pechowiec w napięciu wpatrywał się w zalaną deszczem szybę. Wycieraczki rytmicznie szurały po mokrym szkle.

— Chętnie przeczytałabym pana opowiadanie — drażniłam biednego chłopaka.

— Po co? Pani ma już swojego idola! — odrzekł z wyraźnym wyrzutem.

A to plotkara! — śmiałam się w duchu. — Wygadała mu wszystko! Kawiarnia to na pewno jej pomysł! Dlaczego on tak się wścieka o tego nieszczęsnego Gwidona? Zazdrosny?

Ciekawe, co by powiedział o Wacławie? Może tylko w poetach widzi prawdziwych rywali? Magda nieźle zamałała mu w głowie. Z tej mąki chleba nie będzie! Już widzę, jak idziemy do ołtarza, a Pechowiec potyka się i wykłada jak długi tuż przed kłęcznikiem przygotowanym dla młodej pary. Obrączek pewnie też zapomni. Słowa przysięgi małżeńskiej pomyli, a na koniec, na weselu, rzuci mój ślubny bukiet, zamiast swojej muszki. O, co to, to nie! Ślubu z pechem brać nie będę! Już lepszy ten zarozumialec — Wacław! Zresztą zobaczymy.

— Prawdę mówiąc, raczej miałam. Ostatni jego wierszyk jakoś nie przypadł mi do gustu — przyznałam się.

Zjechaliśmy w boczną drogę, na której panował znacznie mniejszy ruch.

— Może pani włączyć radio — zagadywał.

— Dziękuję. To już chyba niedaleko. Zapisałam sobie adres — mówiąc, grzebałam w torebce.

— Wiem, gdzie to jest. Może pani być spokojna.

— Zna pan tych ludzi? — zdziwiłam się.

113

Krystyna Smigk

- Tak — odpowiedział lakonicznie.

Samochód zwolnił i skierował się w wąską uliczkę. Po chwili zatrzymaliśmy się przed niedużym domkiem z ogródkiem.

— Jesteśmy na miejscu — poinformował mnie Pechowiec i wykrzywiając rękę w stronę światła latarni, spojrzął na zegarek. — Punktualnie! Tak jak była pani umówiona.

— Czy to porządna rodzina? — zastanawiałam się.

Miałam wejść do obcego domu. W torebce schowałam tysiąc złotych. Pieniądze nie należały tylko do mnie. Czułam się trochę niepewnie. Mój kierowca nie wyskoczył, żeby otworzyć drzwiczki auta i wypuścić mnie w tę ciemną noc. Siedzieliśmy więc w samochodzie i nie mówiąc do siebie ani słowa, czekaliśmy, sami nie wiedząc, na co. Nareszcie Pechowiec oprzytomniał.

— Mam iść z panią? — domyślił się.

— Byłabym bardzo wdzięczna. Nie znam tych ludzi. Rozumie pan — noc, pieniądze. Zresztą, nie znam się na psach. Pomoże mi pan podjąć decyzję — ucieszyłam się.

— Nie ma się nad czym zastanawiać. To piękna suczka! Będzie pani z niej zadowolona. Pójdę pierwszy i poproszę o zamknięcie Bety. Jak ktoś jej nie zna, naprawdę może się wystraszyć.

— Jest pan zaprzyjaźniony z tym domem? — ucieszyłam się.

— W czasie studiów mieszkałem tutaj na stacji. Teraz wynająłem kawalerkę w mieście, ale to tylko ze względu na dojazdy. Często odwiedzam państwa Krajeńskich. To bardzo mili i porządni ludzie. Pomagałem im przy psach. Sam kiedyś założę hodowlę. Moje psy będą szczęśliwe, jak te tutaj — opowiadał z niekłamana pasją.

— Nie jak suka z wiersza Gwidona... — powiedziałam sama do siebie.

Imię — Gwidon podziałało na Pechowca jak czerwona płachta na byka. Wyskoczył z samochodu i szybko znalazł się przy moich drzwiach. Otworzył je, ale nie czekał, aż wysiądę.

114

i y to gtupia jesteś i

— Proszę poczekać! Zaraz wrócę — powiedział i zniknął za drewnianą furtką.

po chwili furtka otworzyła się. Stała za nią starsza kobieta w narzuconej na ramiona kurtce. Proste, zupełnie siwe włosy spadały jej na oczy i zasłaniały miłą twarz.

— Helena Krajeńska — przedstawiła się, wyciągając do mnie prawą dłoń. — Zapraszam! Ale pogoda! Paskudnie się zrobiło, a jeszcze parę dni temu było tak przyjemnie, ciepło.

— Idzie zima — powiedziałam, żeby podtrzymać rozmowę i przełamać pierwsze lody.

— Może wejdziemy najpierw zobaczyć pieski? — zapytała pani Helena.

— Oczywiście — chętnie wyraziłam zgodę. — Interesuje mnie tylko suczka. Mam nadzieję, że jeszcze jest?

— Jest! Jest! — uspokajała mnie pani Helena. — A wie pani, pieska pewnie też sprzedamy. Dobrze, że Mirek powiesił ogłoszenie. Mąż chciał zamieścić w Internecie, ale ja wolałam, żeby psy zostały w naszej okolicy. Łatwiej jest potem śledzić ich losy. Cynia będzie wystawiana? — upewniała się.

— Prawdę mówiąc, nie wiem — postanowiłam od razu wyjaśnić sytuację. — Kupuję ją „na prezent”. Nie mam pojęcia, co zrobi z nią przyszły właściciel.

Pani Krajeńska zawahała się. Stałyśmy przed zamkniętymi drzwiami. Rękę trzymała na klamce, ale najwyraźniej nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

— „Na prezent” mówi pani? No, nie wiem... Tego nam Mirek nie powiedział. Pies nie jest dobrym prezentem. Psa powinniśmy wybierać osobiście. Musi do nas pasować, jak dobre buty, ciepły płaszcz. To bardzo ważna, można powiedzieć, życiowa decyzja. Nie wiem! Może przyjdzie pani z przyszłym właścicielem?

115

Krystyna bmgieisKa

- Wolałabym zabrać ją dzisiaj. Zależy mi na tym. To jest prezent' składkowy, dla naszego szefa. Miał wspaniałą suczkę, medalistkę ale niestety musiał ją uśpić. Po tej stracie jest zrozpaczony — tłumaczyłam.

— A co będzie z Cynią, jeśli nie spodoba się pani przełożonemu? — pani Helena kręciła głową, pełna dezaprobaty.

— Ja się nią zaopiekuję!

— A jakie ma pani warunki? Przepraszam, ale my nie handlujemy psami. My je sprzedajemy w dobre ręce. To rasowe szczenięta i muszą być odpowiednio traktowane. Nie chodzi nawet o dalszą hodowlę, ale to żywe stworzenia, bardzo mądre i przywiązujące się do właściciela.

Zapraszam panią na herbatę. Musimy omówić szczegóły naszej transakcji.

To była najgorsza noc w moim życiu. Brygada antyterrorystyczna niech się przy tym schowa.

O trzeciej nad ranem naprawdę zaczynałam żałować, że udało mi się przekonać panią Helenę Krajeńską i po długich pertraktacjach wyszłam z jej domu z Cynią na rękach. O czwartej nad ranem już nawet nie śmiałam się na wspomnienie goniącego po ciemnej uliczce Pechowca. O szóstej rano byłam umyta, ubrana, po śniadaniu, po trzech spacerach wokół okolicznych skwerków. Zmęczona siedziałam na fotelu, popijałam zimną kawę i przysypiając, czekałam, aż Pechowiec zadzwoni do moich drzwi. Cynia natomiast była w znakomitej kondycji.

Właśnie kończyła rozprawę z moim koszem kwiatów. Przez moment zastanawiałam się, czy Pechowiec dobierał je wedle gustu jej podniebienia. Bardzo smakowały jej róże, zwłaszcza czerwone. Herbacianych prawie nie tknęła. Nig pogardziła też goździkami. Małe kulki złocistych chryzantem zjadała z łądygami. Biorąc pod uwagę zawartość jej kupek, które tak dzielnie stawiała, jedną po drugiej, na osiedlowym skwerku, kwiaty nie

116

Tyto

nowinny jej zaszkodzić. Przelatywały przez nią i jedyną oznaką, że znajdowały się ostatnio w innym miejscu niż wazon, były mocno pogniecione płatki. Nie ulegało wątpliwości, że kupiłam psa zdrowego; pełnego sił i wyjątkowo sprytnego. Co potrafi, pokazała nam na początku. Wsiadałam do samochodu, starając się przytrzymać ją na rękach. Cynia wyskoczyła z moich objęć jak z procy. Zanim się zorientowałam, przeskoczyła przez siedzenie i już była na miejscu kierowcy, pechowiec, żegnając się z panią Heleną, otworzył drzwiczki... i pierwszy raz w życiu widziałam na własne oczy, jak tysiąc złotych ucieka ulicą! Cynii wystarczył moment nieuwagi z naszej strony i już czuła się wolna. Wyglądała jak puchata kulka gnana wiatrem przed siebie. Korzystając ze swobody, przystawała, rozglądała się ciekawie i ruszała w dalszą pogoń za nowymi zapachami, wirującymi, wilgotnymi liśćmi. Wystraszony Pechowiec puścił się za nią biegiem. Udało mu się złapać ją za ogon, ale sprytna suczka raptownie skierowała pysk w stronę przytrzymującej ją dłoni i ostrymi jak igły ząbkami posmakowała po raz pierwszy ludzkiej krwi. Ugryziony Pechowiec zluzował rękę, a uwolniona Cynia pobiegła ciemną, wąską ścieżką wzdłuż ogródków działkowych. Pechowiec zdążył tylko krzyknąć:

— Irmiona, zostań!

I potwierdzić swoje polecenie odpowiednim gestem. Pani Helena była wniebowzięta.

— Z Mirka będzie dobry treser! Ma podejście do psów! I stanowczo wydaje komendy, to też jest bardzo ważne.

— I potrafi podkreślać je ruchem ręki — dodałam, nie czując do niego urazy.

Deszczyk siąpił coraz mocniej, a my stałyśmy przed samochodem i obstawiałyśmy wynik gonitwy.

— Stawiam pięć złotych, że za chwilę wrócą — mówiła pani Helena i przymrużonymi oczami starała się zobaczyć cokolwiek na ciemnej ścieżce.

117

Krystyna Śmigieliska

— Moim zdaniem, nie ma szans. Stawiam piątkę, że wróci be? suczki — byłam bardziej sceptyczna.

No i dołożyłam jeszcze pięć złotych do tego interesu. Trochę to trwało, ale w końcu zobaczyliśmy idącego ulicą Pechowca. Na rękach niósł mocno zziąjaną Cynię. Wyglądał okropnie. Widocznie musiał się wywrócić, może nawet nie jeden raz! Buty miał tak oblepione błotem, że z trudnością się poruszał. Spodnie brudne i mokre. Na białej koszuli widniały ślady psich łap. Twarz miał rozpromienioną, szczęśliwą. Cynia też wyglądała na zadowoloną. Przywitałyśmy ich śmiechem. Bardzo żałowałam, że nie miałam ze sobą aparatu fotograficznego.

Mimo strat poczynionych w moim maleńkim mieszkanku, ciągle spoglądałam na cynię z czułością. Powoli zapominałam o nieprzespanej nocy, zniszczonym koszu, zjedzonych kwiatach, brudnej pościeli, zasikany dywan, włosach na fotelu i moich kapciach, po których zostało tylko wspomnienie.

Dzięki Bogu, Pechowiec miał dzisiaj wolne i zadeklarował się, że spędzi przedpołudnie w towarzystwie Cynii. Weźmie ją do siebie, a wieczorem odwiezie już grzeczniejszą, tak przynajmniej mi obiecywał.

Wczoraj, w trakcie drogi powrotnej, Mirek przeproszał mnie za swoje zachowanie, za ten rozkaz: „Irmina zostań!”.

- Ta Irmina tak mi się wymknęła! Bardzo panią przepraszam!

— O Irminę nie mam żalu — przyznałam. — To „zostań” trochę mnie zabolalo.

— Wiem! Wyszło, jak wyszło! Nie będę się nawet tłumaczył. Moja wina! Proszę się nie gniewać! To się już nie powtórzy, obiecuję — kajał się Pechowiec

— Wszystko w 2yciu ma swoje dobre strony. Dzięki temu dowiedziałam się, że jesteś znakomitym treserem — próbowałam upie

118

IY LU yiUpiU jCSICb'.

swoją pieczeń przy jego ogniu. — Chętnie puszcze w niepamięć ten przykry incydent, ale musisz się wykupić.

pechowiec był bardzo zadowolony. Szybko zorientował się, że nasza znajomość przybrała bardziej zażyłą formę. Nie protestował. Słuchał mnie uważnie.

— Zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz — mówił. I w ten oto sposób przeszedł z Pechowcem na „ty”.

— W takim razie chciałabym, żebyś zajął się trochę wychowaniem Cynii. Nie będzie ze mną na stałe, ale dwa tygodnie muszę z nią jakoś wytrzymać. Już widzę, że jeśli chodzi o kondycję fizyczną, to na pewno ją sobie przy niej poprawię.

Z półsnu wyrwało mnie stukanie do drzwi. Nie był to jednak Pechowiec. Cynia właśnie rozprawiała się z moimi kozakami. Tarmosiła je zębami i mocno trzepała przy tym głową. Ponieważ leżała przy drzwiach, obijała obcasami ich dolne partie. W ten sposób dokonała podwójnego zniszczenia. Wyrwałam jej z pyska swoje buty. Byłam wściekła. Oglądałam je ze wszystkich stron. Obie cholewki nadszarpał psi ząb. Obcasy przypominały obgryzioną kość. Zaraz jednak spojrzałam w oczy Cynii i... zmiękłam. Patrzyła na mnie tak niewinnie, tak rozbijająco, że usiadłam przy niej na wycieraczkę i głaszcząc ją za uchem, przemawiałam czule:

— Niedobra psina! Niedobra! Zjadła pańci buty! W czym teraz pańcia pójdzie do pracy?

Między Cynią a Waławem toczyła się permanentna wojna. Nie przypadli sobie do gustu. Cynia uwielbiała sznurówki z jego butów, nie gardziła też podgryzaniem skarpetek i nogawek spodni.

— Że też akurat ty musisz ją u siebie trzymać — marudził Waław. — Mogłaś oddać ją swojej koleżance, ona chyba ma już kupę

119

кiуbиии оiшyісіьки

dzieci! Byłyby wniebowzięte, mając taką zabawkę. To psisko jest niemożliwe! Ciągłe coś gryzie! Zobacz, co zrobiła z misiem ode mnie? Naprawdę, nie powinnaś się na to zgodzić. Kto ci zapłaci za te wszystkie szkody?

Przenosiłam wzrok z Waclawa na Cynię, z Cynii na Waclawa, im dłużej mówił, tym bardziej byłam pewna, kogo z nich bardziej lubię. Cynia przyłożyła pyszczek do podłogi i śmiesznie odskakując do tyłu, piskliwie ujadła. Po każdym takim wstecznym wyskoku, wracała do pozycji leżącej. Obszczekiwała jego nogi, zupełnie tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że zajmuje jej ulubione miejsce. Waclaw rozsiadł się wygodnie w fotelu i co jakiś czas odpychał nogą nachalną psinkę. Kilka razy popchnął ją mocniej, aż biedna potoczyła się po śliskiej podłodze i wylądowała koło drzwi balkonowych.

Waclaw starał się jak mógł, żeby zaskarbić sobie moje względy. Zrezygnował z szampańskiej zabawy w górach na rzecz spędzenia andrzejkowego wieczoru w naszym towarzystwie, czyli ze mną i z Cynią. Zainwestował w tę imprezę sporo kasy. Zakupił wielki bukiet róż (kosza Pechowca nie przebił), szampana, torcik śmietankowy. Siedzieliśmy przy zastawionym stole i rozmawialiśmy o kłopotach związanych z czasowym pobytem Cynii w moim domu. Waclaw najwyraźniej był niezadowolony, a ja nie mogłam odpędzić od siebie myśli, że gdybym pogrzebała w jego kieszeniach, na pewno znalazłabym tam prezerwatywy. Na seks z nim ciągle nie mogłam się zdecydować. Mieliśmy za sobą kilka namiętnych pocałunków, które jednak nie doprowadziły mnie do utraty tchu. Brnęłam w ten związek, chociaż nie obiecywałam sobie jego szczęśliwego zakończenia. Po prostu nie miałam odwagi, żeby stanowczo powiedzieć Waclawowi, by dał sobie ze mną spokój. Z całą pewnością nie byliśmy dwiema połówkami tego samego jabłka. Sytuacja była tym trudniejsza, że co jakiś czas Waclaw spotykał u mnie Pechowca.

120

iy LU ytUpiU jebLCS!

r- A ten, co się tu zawsze kręci, ten, no jak mu tam... Mirek? Nie mógł dziś zabrać tego brytana? — pytał z nutką kpiny w głosie.

— Nie mógł — stwierdziłam. — Wróżymy, czy nie? Bardzo jestem ciekawa, co też mi los przyniesie. Może w następnym roku wyjdę za mąż?

— ■ Kobietom tylko jedno w głowie! Usidlić chłopca! Nieważne, jaki ta chłop, byleby można było mówić: „Jestem mężatką” — podsumował moją chęć poznania przyszłości.

Nie ze mną te numery! Ripostowałam z wielką przyjemnością.

— Tak, masz rację! Mężczyznom nie to w głowie. Im o ślub nie chodzi. Im chodzi tylko o seks! Codzienne życie, wychowywanie dzieci, to nie dla nich! Ich interesuje tylko współżycie!

— Irmina! Nie bądź wulgarna — zganił mnie Waclaw.

I ze złością kopnął Cynię, która znów uczepiła się zębami jego nogawki. Poleciała pod szafkę, na której stał telewizor i rąbnęła głową w jej kant. Była tak zdziwiona i oszołomiona, że usiadła na zadzie i popiskiwała żałośnie. Wzięłam ją na ręce i posadziłam sobie na kolanach. Rozcierałam bolący łeppek, szepcząc do uszka:

— Widzisz, jaki to Wacek? Zły, niedobry Wacek! Nie dostanie buzi, nie dostanie! Nie będziemy całowały Wacka!

— Wróżyliście w końcu czy nie? — niecierpliwiła się Magda. — Nie można się z tobą dogadać. Od kilku dni jedynym słowem, jakie słyszę od ciebie jest Cynia. Cynia to, Cynia tamto! Zaczynam się o ciebie poważnie martwić. Co będzie, jak ją oddasz? O Wacku mi opowiadaj! To mnie ciekawi.

— Wacek jak Wacek! Nie ma właściwie o czym mówić. Powoli się do siebie przyzwyczajamy i staramy się dostosować do wymagań

121

Krystyna Bmigielska

drugiej strony. On nie lubi Cynii — tłumaczyłam jej, dlaczego nie rozplątam się nad jego zaletami.

— Z Cynią ślubu nie weźmiesz. Całkowicie ci odbiło! A co tam u naszego Gwidona? — upierała się przy temacie związanym z moimi sercowymi kłopotami.

— O Gwidonie prawie zapomniałam. Nie widuję nigdzie jego twórczości, a na czat nie zaglądam, mam przecież dziecko, rozumiesz...

— To łaś ten wosk czy nie? — Magda żądała ode mnie konkretnej odpowiedzi.

— Łałam — odburknęłam.

— I co? Jak odczytaliście tę wróżbę?

— Chcesz zobaczyć? Mam w torebce. Nie wiem, jak to skomentować...

— O kurczę! Zabieraj dezodorant! Sprawdźmy twoją przyszłość w toalecie. Tutaj nie ma odpowiedniego światła.

Rzeczywiście, miałyśmy tam lepsze warunki do zabawy andrzejkową wróżbą. Zasłoniłyśmy małe okienko żaluzją. Magda poświęciła się i weszła na postawiony do góry nogami kosz na śmieci. W ten sposób znalazła się blisko lampki wiszącej nad sporym lustrem. Wyłączyłam górne światło, w pomieszczeniu zapanował półmrok.

— Stań przy drzwiach i pilnuj, żeby nikt nie wszedł. Jeszcze stąd zlecę! Dawaj szybko ten wosk! — prosiła Magda.

— Jak nas ktoś nakryje, będzie draka — uprzedzałam ją lojalnie. Magda, ciekawa, co też czeka mnie w przyszłym roku, gotowa

była narazić się na drobne nieprzyjemności. Atmosfera w pracy i tak przypominała już gradową chmurę. Załoga podzieliła się na zwolenników obecnego (wciąż) dyrektora i jeszcze nieznaną, nowej władzy. Niektórzy posunęli się nawet do wymyślonych zarzutów wobec Tadzia. Po wizycie przedstawicieli warszawskiej dyirekcji I słyhać było różne spekulacje. Niepewność przeradzała się w agresję. Nawet szef, dawniej skory do krótkiej rozmowy, warczał na podwładnych i starał się unikać kontaktów z nami. Wera twierdziła, że

122
Ty to głupia jesteś!

od kilku dni ma już spakowane rzeczy i siedzi „na walizkach”, gotowy w każdej chwili opuścić firmę. Pani Stenia chodziła po działach i rozpuszczała plotki, jakoby Tadzkiem zajęła się prokuratura. Podobno pan Kazio, kierowca, odwoził go tam służbowym samochodem. Czekałyśmy w napięciu na wyjaśnienie całej sprawy. Obie już podjęłyśmy decyzję, że jeżeli wyrzucą szefa, my też odchodzimy. Wacław znalazł dla mnie pracę w swoim zespole. Mogłabym przejść do niego od jutra. Nie miał jednak wolnego miejsca dla Magdy, a ja wolałam dalej współpracować z nią i szefem. Propozycja Tadzkiem wydawała mi się atrakcyjniejsza. Poza tym, spędzanie całych dni w towarzystwie Wacława napawało mnie irracjonalnym lękiem.

— Irmina! Kochana! — krzyczała stojąca na koszu Magda. Wyjdiesz za mąż! Ale bomba! Sama zobacz! To przecież jest ślubny bukiet i kawałek welonu!

Podniosłam głowę i spojrzałam na sufit, gdzie wyraźnie widać było rzut mojej wróżby.

— Też myślałam, że to są kwiaty. Co prawda, wygląda to jak kosz Pechowca, ten, który Cynia zżarła. Dlatego nie mogłam sobie wytłumaczyć, o co tu właściwie chodzi. Pomyślałam nawet, że może Pechowiec jest moim przeznaczeniem — śmiałam się.

Magda spojrzała na mnie. Stojąc niepewnie na koszu, zachwiała się. Chciała z niego zejść, ale ją powstrzymałam.

— Czekaj! Jeszcze Wacław! Co ty o tym powiesz? — mówiłam, podając jej drugi kawałek kruchego wosku. — Uważaj, to bardzo delikatna wróżba — przestrzegałam ją.

Wpatrywałyśmy się w sufit. Magda obracała grudką wosku, próbując znaleźć pozycję, która w świetle lampki stworzy jakiś sensowny rysunek.

— Nie widać nic ciekawego. Jakieś to bepcłciowe... — komentowała.

123

- Spróbuj w drugą stronę — podpowiadałam. — Było widać! Nawet się o to prawie pokłóciliśmy. Każde z nas widziało co innego i odmiennie to odczytywaliśmy.

— Zaraz, zaraz — mówiła Magda. — Coś jakby tu jednak było. Słuchaj, to mi przypomina dziecięcy wózek! O kurczę! Wacús rodzicem zostanie!

— No właśnie! Ja też tak mówiłam. On jednak upierał się przy swoim.

— Każdy widzi, co chce zobaczyć! Cóż on tam widział? — dopytywała się Magda, nadal obracając w palcach wosk.

— Samochód! Kabriolet! Spełnienie swoich marzeń, tak przynajmniej twierdził. Do dziecięcego wózka nie dał się przekonać. Na mój bukiet zareagował wybuchem śmiechu. Nazwał go „koszykiem na zakupy”. No, złaż już! Starczy tej zabawy.

— A co niby miałyby znaczyć ten kosz na zakupy? — spytała Magda, stając pewnie na podłodze.

— Z obu naszych wróżb wyciągnął wniosek, że jego firma ma przed sobą niezwykle pomyślny rok, a my w niej zarobimy kupę pieniędzy, tyle, że sami nie będziemy wiedzieli, co z nimi zrobić! — śmiałam się, odsłaniając żaluzje.

— Wróżył dla firmy? — Magda nie mogła uwierzyć.

— Jak ci się to podoba? Maniak firmowy! — potwierdziłam.

— Ciężki przypadek! Trudny do wyleczenia! Ty to masz rzeczywiście szczęście do mężczyzn! Irmina, puść go wolno! Co ci z takiego męża? On niech się lepiej z firmą ożeni!

— radziła mi rozbawiona.

— Sama nie wiem. Z jednej strony mam go już dosyć, ale z drugiej... Dobrze mieć jakąś przyjazną duszę. Kogoś, kto jest na twoje każde zawołanie. Dopóki nachalnie nie domaga się seksu, niech będzie blisko mnie.

— A co zrobisz, jeśli zaczniesz się domagać? — chciała wiedzieć.

124

Ty to głupia jesteś!

— Wykorzystam metodę naszych prababek.

— To znaczy?

— To znaczy: „Po ślubie, kochanie, po ślubie”.

— Ty mała spryrciulo! — śmiała się Magda.

Przymierzałam kozaczki, jednocześnie obserwując przez dużą szybę spacerującego z Cynią Pechowca. Zastanawiało mnie, do której z nas bardziej się przywiązał, do mnie czy do Cynii? Odkąd przeszliśmy na „ty”, zauważyłam w nim pozytywne przemiany. Po pierwszej, nieudanej randce, potrafiliśmy znaleźć wspólny język. Dlaczego wszystkie moje pierwsze randki są nieudane? Powinnam się nad tym poważnie zastanowić. Nie miałam jednak czasu na rozmyślanie. Umówiłam się z Wacławem. Zaprosił mnie do kina. Uczynny Pechowiec zaoferował swoją pomoc. Przypilnuje Cynii. Wacław go nie cierpi. Nazywa go zbzikowanym naukowcem. Wacław lubi tylko samego siebie. Myślałam, że chociaż święta spędzimy osobno. Niestety! Wszystko już zaplanował. Jedziemy do domu, to znaczy każde z nas do swoich rodziców. W tym roku będę miała „podwójne święta”. Po wigilii muszę lecieć do Wacława. Jego mama ugotuje dla mnie zupę grzybową z łazankami. Specjalnie dla mnie! Nie wiem, po co, bo przecież taką samą zjem już w domu. Dwie wigilie! Jak mój żołądek to zniesie? Dobrze, że sylwester będzie pojedynczy! Tym razem nie wykręcę się już od kupienia nowej kreacji. Same wydatki przez tego Wacława. Dobrze, że Cynia już drugi dzień z rzędu nie podgryza mu skarpetek. Musiałam odkupić trzy pary, a pan Wacław nóżki ma delikatne, w byle skarpetce nie chodzi! Przyjął je bez mrugnięcia okiem. Szkoda, miałabym ładny prezent dla braciszka pod choinkę. Właśnie, następny problem! Co kupić Wacławowi? Pechowcowi podaruję książkę, przynajmniej będę miała pewność, że się ucieszy.

Krystyna Śmigielska

Widziałam w księgarni „Dwanaście krzesel” w cenie dziewięciu złotych. Książka tania, lekka i przyjemna! No i trochę historyczna., troszeczkę! Posiada więc wszystkie cechy dobrego prezentu. Taki niezobowiązujący drobiazg! Kurczę, ja chcę mu dać niezobowiązujący drobiazg, a przecież on mnie już zobowiązał kosztem kwiatów. To, że nie przetrwały nawet do rana, nie jest jego winą. Skąd mógł wiedzieć, że kwiaty zginą w psiej mordzie?

— I co? Pasują? — spytała stojąca nade mną ekspedientka.

— Drogie...—jęknełam.

Trudno. Muszę je kupić. Cynia nie zdąży ich pogryźć. Już jutro będzie mogła rozkoszować się butami Lalki szefa.

- Jak ci się udało ją tu wprowadzić? — pytała zdziwiona Magda.

— Pokazałam wstążeczkę na jej szyi i pocałowałam w policzek tego grubego strażnika.

Nawet nie protestował.

— Będziemy miały z nią urwanie głowy! Pan Włodek już się zapo wiedział. Chce zobaczyć ten żywy prezent.

— Boję się tylko, żeby Wera nie wycięła nam jakiegoś numeru. Nie wierzę jej. Widziałam wczoraj, jak szeptała ze Stenią.

— Ta to teraz musi trząść dupą! Dobrze jej tak. Po jaką cholere wygadywała takie bzdury? Prokurator! Też mi coś. Skąd ona to wzięła?

— Wymyśliła — odpowiedziałam, przywiązując smycz do swojego krzesła. — Możesz przymknąć drzwi? Ja nie wstanę, póki Cynii nie oddamy.

— Dobrze! Siedz i nie ruszaj się — mówiła Magda. — Myślałam, że jest mniejsza. Kawał z niej psa! Musiała nieźle rozrabiać — śmiała się.

— Trochę rozrabiała — potwierdziłam. — Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Kupiłam wczoraj nowe kozaczki. Nieplano-

Ty to głupia jesteś!

wany wydatek, ale jestem zadowolona. Pechowiec był ze mną — opowiadałam. — O Boże! Pechowiec! — przypomniałam sobie.

— Co się stało? — przestraszyła się Magda.

— Dwa dni temu pożyczył ode mnie papiery Cynii. Miał coś kserować dla pani Heleny. Chyba metrykę. Mogłam się tego spodziewać! Wczoraj powinien je oddać i jak zawsze, zapomniał! Skaranie z tym chłopakiem! Co my teraz zrobimy? Przecież nie będziemy się tłumaczyły, że Święty Mikołaj nie dostał metryki! Magda, trzeba do niego zadzwonić! No i czemu ty się znowu śmiejesz? — złościłam się.

— Uspokój się! Papiery będą na czas! Mirek na pewno nie zawiedzie.

— Nie jestem pewna, czy można na nim polegać. Zawisza Czarny to on nie jest.

Cynia nie przejmowała się brakiem swojej metryki. Leżała na starym dywanie i najspokojniej w świecie obgryzała nogę mojego krzesła. Usłyszałyśmy leciutkie pukanie do drzwi. Magda podskoczyła jak oparzona i rzuciła się, aby szerzej je otworzyć. Stał za nimi gruby strażnik. Ciekawie wkładał głowę do pokoju.

— Święty Mikołaj do pani Irminy! — szeptał. — Chciałem zobaczyć tego pieska. Ładny szczeniak! To owczarek? Rodowodowy?

— Owczarek! Chwilowo bez papierów — warczałam. Strażnik ze znanstwem oglądał Cynię.

— Suka — stwierdził bez najmniejszych wątpliwości. — Silna. Grube łapy! Bystre oczy! Ładne zęby! Ciekawe, czy będzie agresywna?

— Po co ma być agresywna? — spytała go Magda. — Czy nie wystarcza panu, że ludzie są agresywni?

— Takie teraz mamy życie! Wszystko musimy dla siebie wywalczyć! Prawo buszu — filozofował strażnik.

— Od kogo ta paczka? — spytałam, patrząc na sporą, kolorową torebkę.

127

Krystyna Śmigielska

- Nie mam pojęcia. Przyniosły ją jakieś dwie siksy, chyba studentki, przynajmniej tak wyglądały. Kazały powiedzieć, że od Świętego Mikołaja. Piesek na pewno się spodoba. Dyrektor lubi zwierzęta. To dobry człowiek, ja tam bardzo się cieszę, że z nami zostaje. On zawsze człowieka przywita, poda rękę jak równemu. A ten Ociuch to nawet na „dzień dobry” nie odpowiadał. Takie to było panisko! Kiedyś kazał mi jechać z panem Kaziem na targ, kupić mu trzy worki ziemniaków i do piwnicy załadować. Nawet „dziękuję” nie powiedział! Cham jeden! Tacy są ludzie. Jak złapią kawałek stanowiska, to im się we łbach przewraca.

— Chyba nie wszystkim. Sam pan mówił, że dyrektor jest w porządku — przypomniała mu Magda.

— Oczywiście! Witkowski jest swój chłop. Idę, bo się zagadałem! Jak przyjedzie, a nie będzie mnie na portierni, to dostanę za swoje. Miłego dnia paniom życzę! Rączki całuję!

— Mówią, że kobiety dużo gadają, ale nie ma chyba nic gorszego jak paplający chłop — westchnęła Magda. — Dobrze, że mój Igorek jest milczkiem. Nie zniósłabym w domu takiego wiecznego terkotania!

— Daj mi tę paczkę, do jasnej cholery! — krzyczałam. — Wiesz, że nie mogę sama po nią przyjść i wyżywasz się na mnie. Ciekawe od kogo. Jaki to Święty Mikołaj o mnie pamiętał? Magda wstała i ruszyła w moją stronę. Nie doszła. Drogę zagroziła jej Wera. Wpadła jak burza. Stała na środku pokoju i wołała:

— Dziewczyny! Dziewczyny! Ale numer! Mówię wam!

— Drzwi! — upomniała ją Magda. — Zamknij, bo pies nam zwieje. Wera posłusznie wykonała polecenie. Usiadła na krześle przed moim biurkiem i z podnieceniem w głosie opowiadała.

— Słuchajcie! Wczoraj przyszła do mnie Stenia i pyta, czy szef będzie dziś rano. Mówię jej, że chyba koło dziewiątej, bo ma jeszcze jechać do banku. Jak się ucieszyła! No i umówiła się ze mną, że

128

lyioigtupiujcsLts:

rano coś przyniesie, taki drobiazg od Świętego Mikołaja, bo ona tak się cieszy, że szef z nami zostaje.

— To żmija jedna! Na psa nie dała! Ploty roznosiła, a teraz się cieszy — syczała Magda.

— Też tak pomyślałam, ale co mi tam. Chce się osobiście podlizać, niech się podlizuje. Przed chwilką przyszła do mnie sprawdzić, czy jeszcze go nie ma i zaraz potem przyniosła duże pudło! Kazała mi rozłożyć na biurku folię i ustawiła je na samiuteńkim śródeczku. Pudło zajęło pół biurka. Szef, jak to zobaczy, to padnie — śmiała się.

— Ciężkie to pudło? — pytała rozbawiona Magda.

— Nie! Leciutkie jak piórko! Miauczy! — Wera pokładała się ze śmiechu.

— Co robi? — spytałam z niedowierzaniem.

— Piszczy, miauczy i skrobie — recytowała Wera. — Ale numer! Co wy na to?

Totalnie zbaraniałyśmy.

— Odbiło jej na stare lata czy co? — denerwowała się Magda. — Menopauza na mózg jej padła? Idiotka! Wera, może się pomyliłaś? Widziałaś tego kota?

— Nie. W pudełku są małe dziurki, kot chyba też jest mały. Próbowałam coś zobaczyć, ale się nie da. Co teraz będzie? Dostanie psa i kota? — pytała Wera.

— Skąd ona wzięła tego kota? Chciała nas pognać? O co jej właściwie chodziło? Istny cyrk! — podsumowałam.

— Muszę wracać do siebie — mówiła Wera. — Nie martwcie się! O ile się orientuję, to pieski zjadają koty. Nigdy odwrotnie. Śliczna sunia! — pogłaskała Cynię i prawie wybiegła na korytarz.

— A to mała! Świnia jedna! Plotkara stara. Fałszywa jak ten jej kot! — cicho wyrzekła Magda.

129

Krystyna bmgieisKa

— Jednym słowem, podłożyła nam kota i to nie zdechłego! żywego! To się Tadzio ucieszy! Jakby tak ktoś jeszcze chciał go dziś obdarować, to może i porządną świnię by dostał. Taka to na świąteczny stół, jak znalazł! Paczka! — przypominałam sobie. — Magda, daj ją w końcu! To pewnie od Waława.

— Dzisiaj dzień niespodzianek — kręciła przecząco głową. — Zdaje mi się, że twój piękny Wacek nie ma z nią nic wspólnego.

— A ty skąd to możesz wiedzieć? — upierałam się przy swojej wersji.

— Widzę tu papiery Cynii — śmiała się Magda, ostentacyjnie zaglądając do torebki.

— Pechowiec! Jasne! Mogłam się tego spodziewać! To wcale nie jest śmieszne.

A już przez chwilę poczułam się komuś potrzebna, bliska do tego stopnia, że godna niespodziewanego mikołajkowego prezentu. Co prawda jedyną osobą, która mogłaby sprawić mi tę radość był Waława, a z nim jakoś nie dążyłam do zbliżenia, prezent jednak mógł być miłym przyczynkiem do dalszej znajomości. A tu takie rozczarowanie! Po diabła ten Pechowiec pakuje dokumenty w ozdobną torebkę i podrzuca w tak wyrafinowany sposób! Poczekaj, przebiegły Mirku! Już ja się na tobie zemszczę! Masz to jak w banku! Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu. Już wiem! Eureka! Wykorzystam patent pani Steni. Żywy, mały kotek na pewno ci się spodoba!

— Magda, kopnij się i przyprowadź tu panią Stenię, mam do niej niecierpiący zwłoki interesik! — mówiłam z uśmiechem bazyliuszka na twarzy.

— Co ty znowu knujesz? Zaraz pójde, ale najpierw obejrzyj prezent. Nie podejrzewałam Pechowca o taki gust. Tak dobrać kolory! Ma wycucie smaku! W końcu to mój kuzyn! — cmokała z zachwytem.

130

i y ю дтрш yesies;

— Zgłupiałaś? Metryka tak ci się podoba? Jaka w tym jego zasługa? Kolorek — mdły różowy, o ile dobrze pamiętam. Nic nadzwyczajnego. Moim zdaniem mógłby być ładniejszy. Magda siedziała na swoim biurku. W końcu westchnęła z nieznanym mi przyczyn, wyjęła owinięte w folię papiery Cynii i bez słowa komentarza zaczęła wyciągać pozostałą zawartość torebki. Zdębiałam, zbaraniałam, osłupiałam! Magda rozwijała przede mną piękny, kaszmirowy szal w ciepłych kolorach beżu, brązu i kawy z mlekiem.

— To ci przyniósł Mikołaj. Papiery były tylko załącznikiem. I co? Zatkano kakao? — tryumfowała.

— Nie wiem, czy akurat kakao, ale zatkano, to pewne. Piękny jest! Nieźle się musiał wykosztować! To ci Pechowiec! A ja już obmyślałam słodką zemstę. Daj pomacać! Musi być cholernie miły w dotyku — prosiłam, bo ciągle nie mogłam podnieść się z krzesła.

Magda owinięła się moim szalem i naśladowując modelkę na wybiegu, paradowała po pokoju. Kiedy doszła do drzwi, te raptownie się otworzyły, uderzając ją z całej siły i moja biedna przyjaciółka na moment straciła równowagę. Nieskładnie ruszała rękami, wirując przy tym jak listek na wietrze, aż z impetem wpadła na moje biurko. Ucieszyłam się z takiego obrotu rzeczy i jednym ruchem pozbawiłam ją mojej własności, czyli pięknego, beżowo-brązowego, kaszmirowego szala. W drzwiach stała wystraszona Wera.

— Magda, przepraszam! Nie wiedziałam! Coś ci się stało? — dopytywała, obmacując jej członki.

— Stało się! — syczała Magda. — Ta jędra zabrała mi szal!

— Bądź grzeczna, to może i tobie Święty Mikołaj przyniesie prezent — upominała ją, narzucając zdobycz na ramiona.

Wera szybko zorientowała się, że to wyglupy i przypomniała sobie, po co do nas wpadła.

131

Krystyna śmigielska

— Już jest! Pytał o was. Zauważył, że drzwi są zamknięte, a żadna kartka na nich nie wisi. Lecę po pana Włodka i resztę, a wy się przygotujcie.

— Kota już dostał? — spytała Magda.

— Nie dostał — z chytrym uśmieszkiem informowała nas Wera. — Pomyślałam sobie, że to będzie nie fair w stosunku do pani Steni. Przecież my dajemy psa oficjalnie, będzie wiedział, kto się złożył. Powinien też wiedzieć, kto mu tego kota podłożył. Kazałam jej zabierać pudło i przynieść osobiście, jak szef już będzie.

— Dobra z ciebie intrygantka — chwaliła ją Magda. - Leć po resztę. Ta moja biedna Irmina na papierosa wyjść nie może. Tak jest dziewczyna do tego psa przywiązana — żartowała. Zrobiło mi się smutno. Chwila rozstania z Cynią była naprawdę bolesna. Przyzwyczaiałam się do niej. Urosła u mnie, trochę zmężniała. Uszy stanęły jej na baczność. Żał mi się zrobiło spacerów, w których zazwyczaj towarzyszył mi Pechowiec. Niestety, Cynia była prezentem składkowym i nie posiadałam do niej pełnych praw. Postanowiłam w duchu, że kupię sobie pieska, no, może jednak trochę mniejszego, bo przecież ona wyrośnie na spore bydlę. Nie było innej rady. Musiałam podnieść się z krzesła i odwiązać moje ukochane dziecko. Powoli robiło się tłoczno. Okazało się, że chętnych do wręczenia prezentu jest więcej niż na początku naszej akcji. Na moim biurku łądowały kolejne banknoty. Pan Kaziu, kierowca, rzucił pięć dych. Gruby strażnik miał przy sobie tylko trzydzieści złotych, ale dobre i to. Fakturzystki zwróciły mi całą stówkę. Miałam poważne obawy, czy za chwilę nie okaże się, że nieźle zarobiłam na tym całym interesie. Magda skrupulatnie wpisywała nowych darczyńców na listę i powtarzała do znudzenia, że każdy może sprawdzić, ile było pieniędzy i ile wydałyśmy na utrzymanie Cynii.

132

Ty to głupia jesteś!

Chciałam podziękować Pechowcowi za pamięć i piękny prezent. Umówiliśmy się w Galerii. Stwierdziłam, że jego pech chyba przeszedł na mnie, bo chociaż to była już nasza druga randka, do udanych na pewno nie można jej zaliczyć. Nie pomogły świąteczne melodie płynące z głośników, uśmiechnięty kelner (znów dałam mu spory napiwek), ani nawet lampka wina.

Kiedy zjawiłam się w Galerii, Pechowiec już na mnie czekał. Widząc, że tym razem nie ubrał się w garnitur, odetchnęłam z ulgą. Wjechaliśmy ruchomymi schodami na górę. Oczywiście nie było wolnych stolików, ale mój kelner zaproponował nam, żebyśmy poczekali, a on już znajdzie dla nas miejsce. Staliśmy więc w przejściu, a Pechowiec rozglądał się po całej kawiarni. W końcu zobaczył zbierającą się do wyjścia parę i pędem ruszył zająć nam upragniony stół. Skutek tego był taki, że wpadł na kelnerkę dźwigającą tacę z, dzięki Bogu, pustymi już pucharami. W efekcie tego zderzenia Pechowiec musiał pokryć koszty. Zapłacił za sześć rozbitych naczyń. Dzielnie udawał, że nic się nie stało. Starał się, biedak, jak mógł, ale straciliśmy dobre humory i w milczeniu wciskaliśmy w siebie krem orzechowy. Nastrojów nie poprawiła nam nawet lampka wina. Moja komórka dzwoniła w regularnych odstępach czasu. Wacław chyba wyczuł, że jestem na randce. Co pięć minut musiał się ze mną kontaktować w pilnych sprawach i pytał: „O której będziesz w domu? Czy jutro idziesz do pracy?” itp. W kawiarni panował wyjątkowy tłok. Pani siedząca przy sąsiednim stoliku

poprosiła Pechowca, żeby spróbował przestawić swoje krzeselko, aby jej synek mógł swobodnie biegać po całym lokalu. Mirek podniósł się tak raptownie, że potrącił nasz stolik. Kieliszki zachwiały się i runęły na blat, a na mojej białej bluzce pojawiły się piękne wzorki z czerwonego wina.

133

Krystyna Śmigielka

Mój partner zamienił się w słup soli. Strach go sparalizował m-czekając, aż oprzytomnieje, wyjęłam portmonetkę i zapłaciłam z nieudaną konsumpcją. Szybko opuściliśmy miejsce naszej hańby Pechowiec odprowadził mnie na przystanek autobusowy, powiedział: „Cześć” i rozpląnął się w tłumie.

Ostatni tydzień przed świętami Bożego Narodzenia spędziłam samotnie w domu. Wacław pojechał na dłuższą delegację, a ja niefortunnie poślizgnęłam się na zamrożonych psich odchodach tak że skręciłam nogę i nie mogłam chodzić do pracy. Magda robiła mi zakupy i wpadała do mnie, przynosząc „resztki ze stołu teściowej”. Dobrze, że na czwarty dzień opuchlizna zaczęła schodzić i mogłam już wcisnąć na nogi kozaczki. Resztki ze stołu teściowej utuczyłyby mnie i na święta nie zmieściłabym się w żadną spódnicę. Teściowa Magdy świetnie gotuje, dlatego też ze smakiem zjadałam pierogi, pieczone kaczki, klopsy, zraziki.

— Mówię ci — żaliła się Magda. — To byłaby wspaniała kobieta, gdyby była niemową. Czasem mam wrażenie, że ona bardzo dobrze bawi się moim kosztem. Specjalnie opowiada takie głupoty, że głowa boli, sprawdza, jak ja na nie zareaguję. Igor się z tego śmieje, ale tak właśnie jest. Przecież to nie jest możliwe, żeby taka głupia i wredna baba miała takiego dobrego i wspaniałego synka jak mój Igor.

— Jest jedno wytłumaczenie — próbowałam ją pocieszyć. — Na pewno zamienili noworodki w szpitalu i jej wstrętny, tak jak ona, bachor, trafił do porządnych ludzi, a twój Igor musiał męczyć się przez całe życie z pomyloną matką.

— Ładna historia — Magda pochwaliła moją inwencję twórczą. — Niestety, nieprawdziwa. Wiesz, że ta zołza urodziła go w domu i przez dwie godziny czekała, aż teść przyjedzie z delegacji? Nie zawiadomiła

134

iy io yupw jcsia:

nikogo i sama opiekowała się dzieckiem. Nie mogła więc zabrać ze szpitala innego niemowlaka. Zaraz by poznała, że to pomyłka.

— W takim razie, może Igor wdał się w dziadków albo w jakiegoś miłego sąsiada, listonosza, kominiarza.

— Dobrze, że skręciłaś nogę — Magda zmieniła temat. — Teraz koło bloku panuje wzorowy porządek. Na własne oczy dzisiaj widziałam, jak twoja sąsiadka sprzątała kupki po swoich dalmatyńczykach. Miała łopatkę do piasku, rękawiczki i woreczki foliowe.

— Co ty powiesz? — dziwiłam się. — Ta paniusia z dołu? Nareszcie kultura trafiła do mas — śmiałam się.

Magda zaczęła zbierać się do wyjścia. Właśnie chowała papierosy do torebki, kiedy wystrzeliłam z grubego działa.

— Gwidon się odezwał! — poinformowałam.

— Tak? — zapytała bez najmniejszego zainteresowania.

— Jesteśmy umówieni — chwaliłam się.

Magda zamarła. Wytrzeszczyła na mnie oczy i siedziała jak skamieniała. Po chwili wyjęła papierosy i zapaliła jednego.

— Jesteś tego pewna? — spytała w końcu zdziwiona.

— Niby czego? Że się ze mną umówił? Jestem pewna.

— Nie o to pytałam. Jesteś pewna, że to Gwidon? — ukonkretniła.

— To jest czat. Tam człowiek w stu procentach niczego nie może być pewny. Ale tak, jestem pewna. Mam nawet jego zdjęcie — nie wytrzymałam i sama wygadałam swoją tajemnicę.

— Masz zdjęcie Gwidona? To niemożliwe — upierała się Magda. — Jakim sposobem? Przesłał je pocztą?

— No tak. Pocztą internetową. Normalna sprawa w dwudziestym pierwszym wieku. Co cię tak dziwi? Podałam mu swój adres i mam fotkę. Chcesz zobaczyć? Na zboczeńca nie wygląda. Miły facet, ale chyba trochę ode mnie młodszy. Nie chce powiedzieć, ile ma lat. Wiem tylko, że jest kawalerem i szuka poważnej, mądrej żony — opowiadałam.

135

Krystyna UmigieisKu

Magda trawiła moje wyznania, a po chwili skoczyła w stronę komputera.

— To niemożliwe — powtórzyła. — Dawaj drania. Niech go zobaczę!

— Nie wiem, o co ci właściwie chodzi. Przecież sama wpychałaś mnie w jego ramiona! Teraz nagle Gwidon przestał ci się podobać?

— Nie gadaj! Otwieraj skrzynkę — komenderowała. Siedziałyśmy przy biurku i wpatrywałyśmy się w podobiznę Gwidona. Magda kręciła przecząco głową.

— To jakieś oszustwo. To nie on. Ten w ogóle nie jest do niego podobny! Kto to jest? — zastanawiała się.

— Co znaczy „niepodobny”? Znasz go? Magda, o co chodzi? Skąd możesz wiedzieć, jak wygląda czatowy Gwidon?

— Jak to skąd? Przecież go widziałam, wtedy w Galerii, mówiłam ci, nie pamiętasz? Ty też go widziałas, z góry! Tamten miał krótkie, czarne włosy! Ten tu jest szatynem! To jakiś młodziak. Ktoś sobie z ciebie żarty stroi, a ty dajesz się podejść jak dziecko. Dobrze ci radzę, uważaj, ja na twoim miejscu nie poszłabym z tym typem na żadną randkę. To oszust jeden! Jak by go można sprawdzić? — kombinowała.

— Żaden oszust, tylko Gwidon. Zdjęcie chyba nie jest aktualne. Włosy mógł obciąć! A kolor? Też różnie wychodzi. Ja tam mu wierzę, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Idę na tę randkę i już!

— Kiedy? — spytała rzeczowo.

— Po świętach. Dwudziestego dziewiątego, o piątej — recytowałam.

— O piątej rano? — nie wierzyła.

— Nie! Jestem zaproszona na obiad.

— Chyba do baru Miś — śmiała się Magda. — Na forsiastego twój Gwidon nie wygląda.

— Dlaczego chcesz mi go obrzydzić? — nie mogłam zrozumieć jej cynicznego podejścia.

136

lyiogmpiajesies!

— A co ci będę mówiła. Sama się przekonasz. Umawiać się z facetem z czatu? Też pomysł! Czy ty wiesz, jakie to może być niebezpieczne? Myślałam, że jesteś mądrzejsza, rozważniejsza. Rób, jak chcesz. Mnie tam nic do tego. Zobaczysz, wpędzisz się znów w kłopoty. Żeby tylko bez brygady antyterrorystycznej się obyło! Dwóch adoratorów już ci nie wystarczy?

-B- Dwóch? — przedrzeźniałam ją. — Kogo masz na myśli? Może Pechowca? Po potłuczeniu kielichów i wylaniu wina na moją bluzkę, rozplątał się we mgle. I dobrze. Ładny adorator, nie ma co! Nie chcę nawet o nim słyszeć!

— Przynajmniej wierszyków o sukach nie pisze i nagrody zbiera — odgryzła się Magda. Zebrała swoje rzeczy i prawie trzaskając drzwiami, opuściła moje mieszkanie.

Bez Cynii i Pechowca czułam się bardzo samotna. Z nieobecności Wacława byłam jednak zadowolona. Nadal drażniła mnie jego pewność siebie, wychwalanie pod niebiosa własnych zalet i mieszanie z błotem każdego, kto miał odmienne zdanie niż on. Do tego dochodziły coraz częstsze próby zmuszenia mnie do kontaktów fizycznych. Nie mogłam się jednak

przełamać. Między nami istniała niewidoczna bariera, której za nic w świecie nie mogłam zlekceważyć. Opierałam się skutecznie, ale czułam, że z dnia na dzień Waclaw staje się nachalniejszy, bardziej bezczelny. Nie byłam tym zachwycona i właściwie czekałam tylko na odpowiednią chwilę, żeby z nim definitywnie zerwać.

Gwidon okazał się miłą odskocznią. Odezwał się do mnie pierwszy i od razu przeprosił za wysłanie tego przygnębiającego wiersza o suce. Przeprosiny przyjąłam i opowiedziałam o swojej nodze i psich

137

Krystyna Śmigielska

kupach, na których przejechałam się w dosłownym znaczeniu tego słowa. Gwidona rozbawiła moja historia, ale oczywiście bardzo rrrri współczuł. zaproponował nawet, że napisze dla mnie kolejny kawałek, tym razem z „odchodami”. Kiedy zapytałam go o karteczki odpowiedział lakonicznie: „znudziło mnie to”. Cieszyłam się na nasze spotkanie. Odkąd jestem kontuzjowana, prawie całymi dniami rozmawiamy ze sobą. Podoba mi się jego podejście do życia, poczucie humoru i dystans do wielu spraw. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego Magda tak się wściekła i tak bardzo chciała zniechęcić mnie do tej znajomości? Wyglądało na to, że tylko udaje, a tak naprawdę to nie chce, żebym znalazła odpowiedniego faceta i żebym wyszła za męża. wiadomo, wolna przyjaciółka ma zawsze czas, można ją odwiedzić bez najmniejszego skrępowania, wybrać się z nią do kawiarni czy do kina. Nie trzeba wysłuchiwać, że mąż ją lekceważy, że jest zapracowana, że dzieci płaczą w domu. Może o to jej chodzi? Chce mnie mieć tylko dla siebie? Chce, żebym żyła jej sprawami, zawsze była pod ręką i pomagała w pokonywaniu przeciwności, jakie dla niej wymyśliło życie. To nawet miłe! Tylko gdzie tu moje potrzeby? Nie mówię już o miłości, ale przecież trochę udanego seksu też by mi się przydało. Nie mogę żyć jej życiem! Muszę spróbować na własnej skórze, jak smakują codzienne kłopoty i codzienne pieszczoty. Wybacz Magda! idę na randkę z Gwidonem i może chociaż raz uda mi się spędzić upojny dzień z mężczyzną! A moich obecnych adoratorów odeślę do lamusa.

Byłam już spakowana i czekałam na Waclawa. Nasz pociąg odjeżdżał za dwie godziny. Magda wpadła do mnie tylko na chwilę. Jak zwykle kurtkę miała rozpiętą, wypieki na twarzy, a w rękach ogromne, wyładowane torby.

”?

138

Ty to głupia jesteś!

— Nie wybaczyłabym sobie, gdybyśmy nie podzieliły się opłat-^iem — mówiła, wchodząc do mojego mieszkania. — Mam dla ciebie mały, gwiazdkowy prezencik. Ale proszę cię, nie otwieraj go teraz. Dopiero po wigilii.

— Po której wigilii? U mnie czy u Waclawa? — jęknęłam na samą myśl o tym, co mnie jutro czeka.

* — To już od ciebie zależy — śmiała się.

Ustawiła torby w przedpokoju i nie czekając na zaproszenie, wpa-rowsza do pokoju. Na moim cud-stoliczku położyła małe, starannie opakowane pudełko.

— Ja o tobie też pamiętałam. W takim razie dokonajmy wymiany. Boję się tylko, czy nasze prezenty nie są identyczne. Pudełka mamy tej samej wielkości — zastanawiałam się.

— To nawet byłoby zabawne i świadczyłoby o naszym „zbliżeniu duchowym”. Ja w każdym razie byłabym zadowolona — oświadczyła Magda.

— Dobra! To zaglądam do swojej paczki — wręczyłam jej małą torebeczkę. — Nie obwarowuję jej zakazami. Chętnie już teraz się dowiem, czy będziesz zadowolona.

Magda bez sprzeciwów wyjęła pudełko z torebeczki. Zamknęła oczy. Uniosła wieczko pudełeczka. Opuszkami palców sprawdzała jego zawartość. Kiedy zorientowała się, co właściwie trzyma w rękach, szybko spojrzała na otrzymany prezent.

— Ty to głupia jesteś! Wiesz?! — krzyczała szczęśliwa, wyjmując wisior. — Przecież to kosztowało majątek! Wariatka! Istna wariatka! Kocham cię! Jesteś wspaniała! — cieszyła się jak dziecko.

— Wiem, jak bardzo lubisz bursztyn. Nie był aż taki drogi. Miło mi, że jesteś zadowolona.

— Jest piękny, wspaniały! Nigdy się z nim nie rozstanę! Irmina, ty wiesz, jak mi sprawić przyjemność!

139

Krystyna

- To może mi tego Gwidona odpuścisz? — pytałam niepewnie.

— Opuścę, opuszczę — mówiła, całując mnie. — Po prostu pójdę z tobą na tę randkę. Usiądę obok i będę pilnowała, żeby żadna krzywda ci się nie stała. Taki Anioł Stróż będzie ze mnie! Kocham cię! Wisior jest super!

— Nie jestem dzieckiem... nie musisz mnie pilnować... — zaczęłam, ale szybko zrezygnowałam.

Dobrze wiedziałam, że jak Magda sobie coś ubzdura, nie da się przekonać. Może ma rację. Niech idzie ze mną. Będę się czuła pewniejsza i będziemy miały o czym plotkować.

— Z przykrością muszę stwierdzić, że mój prezent nie jest tak wspaniały. W obliczu twojej hojności jestem zmuszona ponowić prośbę, żebyś otworzyła go dopiero po kolacji. Ja z całego serca dziękuję! Odgadłaś moje skryte marzenia! A teraz zmiana tematu. Masz pozdrowienia od Cynii i całej naszej firmy.

— Właśnie! Co tam słyszeć u mojej kochanej psinki? — dopytywałam się.

— O, wszystko u niej w jak najlepszym porządku! Lalka ma nowe kozaczki, białe, na szpileczce! Szef ma nowe kapcie i trzy nowe krawaty! Cynia siedzi w domu i tylko patrzy, co by tu jeszcze zjeść. Chciała nawet spożyć kota od pani Steni, ale jej uciekł. Znalazł sobie azyl. Zgadnij, gdzie się zawekował? — śmiała się Magda.

— Czyżby trafił do naszej miłej pani Zenobii? — zapytałam.

— W rzeczy samej! Przelazł przez płot! — relacjonowała Magda.

— Popatrz, popatrz, taki mały, a taki sprytny! — podziwiałam.

— Pani Zenobia przyjęła go z otwartymi ramionami i stwierdziła, że kociaka psu na pożarcie nie odda. Tadzio bardzo się ucieszył, bo kot robił więcej spustoszenia niż dwie Cynie razem wzięte. I w ten oto sposób wilk syty i owca cała. Stenia szczęśliwa, bo obdarowała szefa indywidualnym prezentem, szef szczęśliwy, bo wie, kto jest

140

Ty to głupia jesteś!

fałszywy jak kot, Zenobia w siódmym niebie, bo uchroniła od śmierci niewinne stworzonko i ma zapisany dobry uczynek, a tych, jak możemy się domyślić, wielu nie ma.

— Reasumując, nareszcie Cynia ma cały dom wyłącznie dla siebie!

— Tak! Tadzio mówił, że merda do ciebie ogonkiem. Bardzo jest z niej zadowolony, bo to mądra suczka i pięknie się rozwija.

— Nie wiem, jak tam jest z tymi dobrymi uczynkami, ale chyba i my mamy już coś na swoim koncie — cieszyłam się.

— Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent — niepewnie zaczęła Magda.

— Nie rób mi tego! Bardzo cię proszę! Wymyśl, co chcesz, ja tego nie przyjmę. Nie chcę, żeby Pechowiec robił sobie jakieś nadzieje. Magda, lubię go i bardzo mi pomógł, ale to jeszcze za mało. Nie można tak, bez miłości, wiązać się z drugim człowiekiem. On wszystko traktuje poważnie. Za poważnie. No, powiedz sama! To, że tamta randka była taka nieudana, to też jego wina. Przecież to wszystko mogliśmy obrócić w żart i miło spędzić wieczór.

Uciekł jak dziecko. Jak tak można? Nie chcę go widzieć! Dostyc! To miły facet, ale nie dla mnie! Przepraszam go ode mnie! Nie wezmę już żadnego prezentu! Nie gniewaj się — tłumaczyłam.

— Rób, jak uważasz. Jesteś dorosła i sama wiesz, co jest najważniejsze. Szkoda, myślałam, że coś z tego będzie. Nie dogadaliście się. Trudno. Może jednak wezmiesz — prosiła. — Będzie mu przykro.

— Nie! Koniec! Z Waławem też zerwę. Głupio mi tylko, bo już zapłacił za sylwestra, a to spora kasa. Do Trzech Króli ten związek nie wytrzyma. Mam ich dość! Sprawdzę jeszcze Gwidona i starczy. Chyba nie jestem romantyczna, bo jakoś te podchody miłosne wcale mnie nie bawią. Może już za długo jestem sama? Może za dużo wymagam od swoich partnerów? W każdym razie, coś musi być ze mną nie tak, jak trzeba.

141

Krystyna Śmigieliska

- To z nimi jest coś nie w porządku! Świetna z ciebie babka! Jak nie potrafią tego docenić, ich problem! Jeszcze pożałują! — Magda podtrzymywała mnie na duchu.

To był prawdziwy horror, z Waławem w roli głównej! Oprócz wigilii w moim rodzinnym domu nie miałam chwili spokoju. Gdzie nie spojrzalam, tam Wacek! Pokłócił się z moim bratem, doprowadził do łez bratową, tacie wytykał brak zaradności życiowej, a mamę uczył gotować. Mało brakowało, a wyrzuciłabym go z domu. Mama uspokajała mnie, twierdząc, że święta są niewłaściwym momentem na życiowe decyzje, dyskretnie dając mi do zrozumienia, jak powinnam postąpić.

— Ślubna suknia może przynieść nam wiele radości. Pamiętaj jednak, że w końcu i tak wyląduje w szafie i z czasem pożółknie — mówiła.

— O ile pamiętam, nigdy nie lubiłaś Waława — przypominałam jej.

— Masz piękny szal — chwaliła. — Miękki i miły. To nie od niego? — nie dawała się zbić z tropu.

— Mamo! — prosiłam. — Daj spokój! To od Pechowca. Nie ma o czym mówić.

— Sam wybierał? — dopytywała się.

— Nie mam pojęcia — przyznałam. — Pewnie pomagała mu kuzynka, moja przyjaciółka.

— Ja na twoim miejscu bym się dowiedziała. Jeżeli mężczyzna daje kobiecie coś tak miłego, ciepłego, to niewątpliwie pragnie jej powiedzieć, że potrzebuje dużo czułości.

— Jesteś niesamowita! Jak się dłużej zastanowię, muszę stwierdzić, że masz rację.

Pechowiec potrzebuje dużo ciepła, ale jemu trzeba matkować, a ja tego nie chcę. Ja szukam mężczyzny, który się mną zaopiekuje.

142

Ty to głupia jesteś!

r— Czyżby? — mama się uśmiechnęła. — Dlatego wplątałaś się w tę historię z Wackiem? Od niego nie spodziewaj się opieki.

— Muszę z tym skończyć! Sama wiesz, że mam wyjątkową predyspozycję do pchania się w niewłaściwe związki. Nigdy nie spotkałam idealnego faceta.

— Zdradzę ci tajemnicę! Idealnych mężczyzn nie ma. Pamiętaj, wybieraj tylko takich, których wady możesz znieść bez mrugnienia okiem.

— Łatwo ci mówić — westchnęłam.

— Tak. Teraz już łatwo. Nauczyłam się kochać bez względu na nastroje. Czasem nawet rozczulają mnie drobne złośliwości.

— Ty masz dobrze. Stanowicie z tatą jedność, monolit. Podziwiam, jak wspaniale się rozumiecie, potraficie się wzajemnie wspierać — mówiłam.

Mama uśmiechała się cynicznie.

— To prawda. Pamiętaj jednak, że przeżyliśmy ze sobą trzydzieści pięć lat. Nie mieliśmy poważniejszych kryzysów, ale małżeństwo to nie bajka. Różnie bywało! Królewicz przemienia się w żabę i odwrotnie. Patrząc z perspektywy lat, najważniejszy jest wybór. Odczytanie takich znaków, jak na przykład ten szal.

— Mamo! On zwał! Rozumiesz? Zostawił mnie na środku przystanku autobusowego i wyparował, rozpułnął się! — żaliłam się.— Fajtlapa jeden, nieudacznik! Miałam go gonić?
— Widocznie miał powody! Pechowiec, nieudacznik, fajtlapa, co jeszcze? — pytała poważnie.

— Nie wiem, co jeszcze... — spuściłam z tonu. — Miły, uczynny, spokojny. Amantem filmowym to on nie jest, ale niebrzydki...

— Z urodą ostrożnie! — przestrzegała mnie. — Popatrz na mnie! Mija! Oczywiście, nie może być tak, żebyś patrzyła na partnera z obrzydzeniem. To jest nie do zniesienia. Kiedyś miałam chwilę słabości. Uwierz mi, to było okropne — tłumaczyła łagodnie.

143

Krystyna Śmigielska

— Miałaś chłopaka, na którego nie mogłaś spojrzeć? — zainteresowałam się. Lubiłam odkrywać szczegóły z jej życia. Czułam wtedy naszą bliskość, coś w rodzaju kontynuacji, przedłużenia życia. Drobinke jej istnienia przyklejały się do mnie i nie przepadały bezpowrotnie.

— Nie! — zaprzeczyła. — To był jedyny dzień w moim życiu, kiedy nie mogłam patrzeć na twojego ojca. To było takie irracjonalne, dziwne, prawie mistyczne.

— Ojciec zrobił coś irracjonalnego? — zdziwiłam się bardzo, bo nigdy nie podejrzewałam go o jakiegokolwiek ekscesy.

— W tym problem, że nie. Zrobił jednak coś bardzo realnego, rzeczywistego. Obiecuj, że nikomu tego nie powiesz. To taka moja mała, słodka tajemnica.

— Obiecuję! Opowiadaj! — nie mogłam się doczekać.

— Wyobraź sobie! Byłam w pierwszych tygodniach ciąży z twoim bratem. Nie powiem ci teraz, czy już o tym wiedzieliśmy, czy dopiero domyślaliśmy się, co nam życie szykuje. Ale to nieważne. Słuchaj, od rana do wieczora, przez całutki dzień nie mogłam patrzeć na tatę. Co na niego spozrzałam, od razu brało mnie na wymioty. Nie wiem dlaczego. Nie miałam do niego pretensji o tę ciążę. Na myśl o dziecku właściwie się cieszyliśmy. Tato był tego dnia bardzo miły, ciepły, opiekuńczy. Nic, tylko szaleć ze szczęścia, że ma się obok siebie tak wspaniałego faceta. A ja tymczasem nie mogłam na niego patrzeć. Chciał mnie czule pocałować, a mi wszystko podchodziło do gardła... — śmiała się do swoich wspomnień. — Głupia sytuacja. Wieczorem ojciec zwrócił mi uwagę, że cały czas okazywał mi czułość, a ja nawet nie raczyłam spojrzeć w jego stronę. Ale nie mogłam! Bóg mi świadkiem, nie mogłam!
— To rzeczywiście ciekawa historia. Mimo to zostałaś z nim — żartowałam.

144

IV LU UIUUIU /L.JI,J,

— No wiesz, sprawy zaszły już za daleko... Dlatego uważaj, wybierz takiego, na którego możesz swobodnie spojrzeć — podsumowała.

— Na pewno nie wyjdę za Wacława — jęknęłam.

— Za Wacka nie! Ale świat się na nim nie kończy. W każdym razie ja już zbieram posag dla ciebie.

— Słuchaj, a może poprosimy Pechowca? — zastanawiała się Magda. — On chętnie pójdzie i zawsze to mężczyzna. Jakby cię Gwidon molestował...

— Magda! Ani się waż! Chyba bym cię udusiła! A obrońca z niego, jak z koziej dupy trąbka. Pierwszy by zwał!

— Irmina, ty to jesteś zawzięta baba! Czepiasz się biednego chłopaka! On po prostu jest nieśmiały — broniła go.

— Właściwie, bardzo dobrze się składa. Jestem już duża i nie potrzebuję ani niańki, ani przyzwoitki. Dam sobie radę.

— To może Igor? — Magda nie chciała odpuścić i dalej szukała, kto mógłby towarzyszyć mi w randce z Gwidonem.

— A jak Igor nie będzie mógł, to jego mamusia? — zapytałam zgryźliwie.
— Mamusia stanowczo odpada! Jest zajęta! Szykuje się na sylwestrową zabawę. O właśnie, jeszcze ci nie mówiłam! — przypomniała sobie. — Wiesz, że ona przygruchała faceta? Nawet całkiem, całkiem ten jej pan Stanisław. Starszy, ale jeszcze sprawny. Był u nas z wizytą w drugi dzień świąt. Teściowa promieniała! Mieliśmy niezły ubaw. Zaprosił ją na prywatkę w „gronie przyjaciół”. Teraz biedna teściowa od świtu do nocy gania po sklepach, chcąc kupić sobie cud-kreację.
— A wy jak zamierzacie spędzić Sylwestra? — spytałam.

145

муѳуни опиуїськи

- Czeką nas upojna noc we dwoje. Chłopcy będą jeszcze u moich rodziców, więc mamy wolną chatę — zacierała ręce z radości
— Żebyś ja tak mogła...- westchnęłam rozmarzona.
— Co, żebyś mogła? — podchwyciła Magda.
— Nie z Igorem! Broń Boże! — zarzekałam się. — Chodziło o upojną noc, ale z jakimś innym, moim osobistym...
— O co ci właściwie chodzi? Idziesz na bal do wykwintnej restauracji, z przystojnym chłopakiem. No, imię ma może niezbyt udane, ale w końcu to nie jego wina. Jednym słowem czeka cię wspaniała zabawa. Szampan, mężczyźni i śpiew! Trochę ci nawet zazdroszczę. Już trzeci rok z rzędu obiecujemy sobie, że w Sylwestra wyrwiemy się z domu i ciągle brakuje nam kasy.
— Ja bym wolała siedzieć w domu. Nie znam tych ludzi. Będę musiała rozmawiać i uśmiechać się do nich. A może jeszcze tańczyć z jakimiś obcymi facetami? Nienawidzę podpitych mężczyzn, którzy obmacują mnie w tańcu!
— Po cholere! źle się nastawiasz! Może właśnie w Sylwestra spotkasz tego jedyne go, wyśnionego. Kto wie?! W końcu wylałaś sobie ten ślubny bukiet i jak wróżba się spełni, to za rok też będziesz mogła spędzić upojną noc w ramionach ukochanego — prorokowała.

— Mam do ciebie małe pytanie. Kto wybierał szal?

Magda skrzywiła się, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie miała nic wspólnego z moim mikołajkowym prezentem.

— Nie mam pojęcia. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja nic o tym nie wiedziałam. Mnie samą zaskoczył tak dobrym gustem. W każdym razie nie konsultowałam tego ze mną — zarzekała się.

— A dlaczego pytasz?

— Moja mama twierdzi, że powinnam bliżej zainteresować się mężczyzną, który potrafi kupić tak piękny prezent. W swoich rozważaniach posunęła się do tego stopnia, że uznała, iż Pechowcowi potrzeba ciepła i bliskości — tłumaczyłam.

146

'J l^yi"J"«,*~'''

— To prawda! Ale ty przecież nie chcesz go widzieć — potwierdziła Magda.

— Jutro idę na randkę z Gwidonem! Mam w nosie wszystkich Wacków i Pechowców! Gwidon jest ostatnią deską ratunku. Jeśli i tym razem okaże się, że to pomyłka, kończę z facetami i zostaję zagorzałą starą panną.

— Zagorzała czy zgorzkniała? — upewniała się Magda.

Oczy paliły mnie żywym ogniem! Twarz miałam opuchniętą, nos zatkaany. Łzy spływały po policzkach jak górski potok. Stałam przed lustrem i zadawałam sobie w kółko jedno pytanie:

— Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi wybuchalam nowymi, coraz silniejszymi spazmami. Kilka razy próbowałam zadzwonić do Magdy i błagać ją, żeby natychmiast do mnie przyjechała. Nim zdążyłam wybrać jej numer, zrezygnowałam. Wstydziałam się przyznać do swojej kolejnej, tym

razem ostatecznej porażki. A było tak pięknie! Tak miło! Pierwszy raz w życiu miałam naprawdę udaną randkę! Udaną pod każdym względem. Od początku do końca! Wszystko było jak należy. Jak w kinie! I co z tego? Nawet nie mogę się pochwalić, opowiedzieć jedynej przyjaciółce! Kurczę, ona i tak mnie zapyta. Będzie chciała znać szczegóły, bezlitośnie grzebać w moich ranach. Ja tego nie przeżyję! Jak on mógł mi to zrobić? Dobrze, że Magda nie poszła ze mną. W sumie mogę nagadać jej, co mi ślina na język przyniesie. Tylko, co mi to da? Kłamstwo ma krótkie nogi i prawda wyjdzie na jaw w najmniej spodziewanym momencie. Wstyd mnie nie ominie! Pieprzony Gwidon! Urządził mnie na cacy! Boże, jak łatwo jest oszukać starą pannę! Taka da się po-

147
чі^ул^илл .-JiiiyiLslOl^U

nieść najmniejszym emocjom. Kilka pięknych słówek do jej uszka a ona już jest pewna, że stoi u bram raju.

Trudno! Nie mam innego wyjścia. Powiem Magdzie prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. W biurze byłam przed Magdą. Zmieniłam buty i szłam po wodę, aby zaparzyć kawę. Na schodach spotkałam Werę.

— Dzień dobry! — przywitałam ją.

— Witaj Irminko! Co ty dziś tak wcześniej? Jak ja lubię ostatni dzień w pracy!

— Ja bym wolała jeszcze trochę popracować. Nie chcę, żeby to był mój ostatni dzień — powiedziałam smutno.

Wera patrzyła na mnie podejrzliwie.

— Coś się stało? Taka jesteś przygaszona! — wypytywała.

— Nic się nie stało...

— Ja tylko mówię, że lubię Sylwestra w pracy. Pewnie dziś napijemy się szampana.

— Sylwester jest dopiero jutro — uściśliłam. — Picie w pracy chyba już od dawna jest zabronione.

— No wiesz! — obruszyła się. — Raz w roku? Lampka szampana na fajrant jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Prawda, nie było cię w zeszłym roku, to nie wiesz, jak to u nas wygląda.

— Byłam na zasłużonym urlopie — wtrąciłam.

— Szef bardzo uroczyście składa nam życzenia i częstuje własnym szampanem. To piękny zwyczaj i załogę bardzo jednoczy.

— Wspólne picie zawsze jednoczy — odparowałam.

— Szkoda, że masz taki wisielczy humor. Ja wierzę w to, że jak dobrze zaczniemy rok, to szczęście nam dopisze — filozofowała Wera.

148

Ty to głupia jesteś!

— Mnie tam szczęście niczego nie dopisało. Rachunek z tego roku wyszedł mi na minusie. Pieprzyć to!

Poszłam na całość. Wera uznała, że za chwilę mogę miotać najgorszymi przekleństwami i przezornie wycofała się na z góry upatrzoną pozycję, czyli zaczęła szybko wspinać się po schodach. Stałam z czajnikiem w rękach i patrzyłam za nią.

— Pośpiesz się! Nie mogę się doczekać twojej relacji z wczorajszej randki — usłyszałam za sobą wesoły głos Magdy.

— Na twoim miejscu mocno bym się zastanowiła, czy warto tracić czas. Lepiej zachowaj dobry humor na stawianego przez szefa szampana. Idę po wodę i zapalić. Istnieje prawdopodobieństwo, że jeszcze dziś wrócę, ale jeśli nie, to znaczy, że powiesiłam się w ubikacji.

— Mamy wisielczy humorek? Nie jest dobrze! — Magda w mig oceniła sytuację. — Wracaj szybko! Pomogę ci w pomstowaniu na Gwidona. Mówiłam, że to jakiś oszust?!

Machnęłam tylko wolną ręką i poczłapałam do toalety. Kiedy wróciłam, w naszym pokoju siedziała już pani Stenia. Opowiadała, jaką sylwestrową sukienkę uszyła dla swojej siostrzenicy. Magda z grzeczności przytakiwała jej słowom i twierdziła, że z całą pewnością siostrzenica Steni ma poważne szanse zostać królową balu.

— Irmina, a ty wybierasz się na tańce? — pani Stenia nie mogła odpuścić sobie tego pytania.

— Steniu, nie męcz jej — prosiła ją Magda. — Ma dzisiaj jeden z tych dni, no, wiesz... Żle się czuje. Przepraszam cię, ale mamy urwanie głowy. Koniec roku! — delikatnie dała jej do zrozumienia, że chcemy zostać same.

Było mi wszystko jedno. Życie straciło dla mnie jakikolwiek sens. Czułam się fatalnie. Siedziałam bezmyślnie za biurkiem i nawet nie włączyłam komputera. Stenia zrozumiała, że coś nie gra i wycofała się chyłkiem, prosto na plotki do Wery.

149

Krystyna Śmigielka

— Zrobiłaś im noworoczny prezent — cieszyła się Magda. — Teraz dopiero puszczą wodze fantazji! Po takim popisie mogą wyobrażać sobie dosłownie wszystko, łącznie z morderstwem. A właśnie! Zamordowałaś kogoś? — spytała, niby żartem.

— Niestety, nie mam jego adresu — ponuro odpowiedziałam.

— To nawet dobrze się składa. Unikniemy dalszych komplikacji. Jakoś nieszczególnie śpieszy mi się do odwiedzania cię za kratkami. Przeczucie mi mówi, że Gwidon okazał się zwykłym draniem.

— Zwykłym? O, nie! — zaprzeczyłam. — To król drani, łajdaków i szubrawców!

— Molestował cię? — Magda prowadziła swoje przesłuchanie.

— Niestety, nie! Kilku dobrowolnych pocałunków nie możemy podciągnąć pod molestowanie — stwierdziłam z żalem w głosie.

— Szkoda — westchnęła Magda.

— Wielka szkoda — wtórowałam jej.

— Czyli: seksu nie było? — upewniała się.

— Z przykrością muszę stwierdzić, że nie — przyznałam zrezygnowana.

— Dobra, dość tej zabawy! Opowiadaj od początku, co ten bydlak ci zrobił. Obiecuję ci, że go znajdziemy i powiesimy za jaja!

Pomyślałam, że naprawdę musi być ze mną tragicznie, skoro Magda używa takiego słownictwa. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam opowiadać historię swojej najpiękniejszej w życiu randki.

— Cholernie się bałam. Nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać po mężczyźnie, którego znałam jedynie z kilku rozmów na czacie. Dwa dni szykowałam się na to spotkanie!

Przymierzyłam wszystkie swoje rzeczy i w końcu stwierdziłam, że najładniej wyglądam w beżowej bluzce, w brązowej, sztruksowej spódnicy i w szalu od Pechowca.

150

Ty to głupia jesteś!

Makijaż robiłam bardzo starannie. Nie za ostry, ale jednak widoczny. W odruchu desperacji zdecydowałam się na użycie szminki, którą dostałam od rodziców Wacława w prezencie gwiazdkowym. Nie lubię takiego koloru, ale wydał mi się odpowiedni na tę okazję. Pełna obaw i nadziei wyruszyłam na spotkanie z przeznaczeniem.

Gwidon czekał na mnie w holu restauracji. Trudno mi było uwierzyć, że to naprawdę on. No dobrze, nigdy nie myślałam o usidleniu księcia z bajki, ale co miałam zrobić, kiedy ten oto książę całował mnie w rękę na powitanie? Trzeba być naprawdę głupią, żeby nie skorzystać z takiej okazji. Wyglądał prześlicznie, jak z najgorszego romansu! Wysoki, muskularny szatyn o niebieskich, przenikliwych oczach. Istny Apollo! A jak ubrany! Model na wybiegu niech się schowa! Granatowy garniturek o sportowym kroju, do tego niebieski golf i granatowe buty! Całość prezentowała się bajecznie. Obdarował mnie bukietem kwiatów. Kwiaty też były

bajeczne! Do kosza Pechowca było im daleko, ale kwiaciarka musiała włożyć dużo serca w zrobienie tak pięknej wiązanki. Mój Apollo maniery miał nienaganne. Zaproponował mi wsparcie się na jego muskularnym ramieniu, co też uczyniłam z dużą przyjemnością. Jedzenie było wyśmienite. Nie jestem pewna, czy tak bardzo przypadły mi do gustu potrawy, czy może miłe towarzystwo sprawiło, że wszystko, czego spróbowałam, wydawało mi się bardzo smaczne.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że znamy się całe wieki. Rozmawialiśmy swobodnie, poruszaliśmy różne tematy. Gwidon bardzo chętnie opowiadał o sobie i o kobietach, które napotkał na drodze swojego życia. Dziwiłam się, z jaką lekkością podchodzi do problemów damsko-męskich. Jak pięknie opisuje swoje byłe dziewczyny. W pewnej chwili zaczęłam się nawet zastanawiać, czy ja przypadkiem nie śnię. To wszystko było tak nierealne, że delikatnie uszczypnęłam się kilka razy w rękę, aby sprawdzić, czy zjawa w postaci Gwidona nie zniknie. Nie rozplątał się, nie przemienił w wilkołaka.

151

Krystyna Śmigielska

Siedział obok mnie i popijał szampana. Śmialiśmy się, patrzyliśmy sobie w oczy, Gwidon całował moje ręce. Świeczka na naszym stoliku dopalała się, strzelając małymi iskierkami i wydając ostatnie tchnienie. Upita szczęściem i szampanem poczułam wielką chęć zapalenia papierosa. Gwidon zaproponował zmianę lokalu. Chciał ze mną tańczyć! Zgodziłam się. Wyszliśmy w białą noc. Płatki śniegu spadały mi na twarz i rozmazywały makijaż. Gwidon scałowywał je, żeby nie dokonywały dalszego zniszczenia. Paliłam papierosa, a on objął mnie ramieniem i szliśmy pustymi uliczkami, rozkoszując się śniegiem, dymem z papierosa i sobą. Zaprowadził mnie do małego klubu, w którym tańczyliśmy przytuleni do siebie. Gwidon szeptał komplementy prosto w moje ucho. Nogi ugięły się pode mną. Całkowicie straciłam kontrolę nad sobą. Ten piękny, młodszy ode mnie o dwa lata szatyn zawładnął moją duszą i ciałem. Mama mówiła mi, że nie ma idealnych mężczyzn. Myliła się. Gwidon był idealny! Moje szczęście trwało pięć godzin! Pięć wspaniałych godzin, dla których warto było żyć, na które warto było czekać, które będę wspominała przez resztę swojego smutnego, nieciekawego życia. Miałam swoje pięć godzin!

Pocałunki, którymi obdarzył mnie przed drzwiami mojego wynajętego mieszkania, były namiętne i gorące. Nie mogliśmy się rozstać, ale Gwidon kategorycznie odmówił wejścia do mnie i wypicia ciepłej herbaty. Twierdził, że nie może nadużywać mojej wyrozumiałości i że nie powinniśmy mimo wszystko zrobić tego po pierwszej randce. Całkowicie się z nim zgadzałam. Umówiliśmy się, że Gwidon, zaraz po powrocie do domu, napisze do mnie e-maila, a ja przeczytam go jeszcze przed północą.

Cudowna randka zakończyła się cudownymi pocałunkami!

Byłam szczęśliwa! Naiwna! Głupia! Szczęśliwa! Ukradłam pięć godzin z życia Gwidona.

152

Ty to głupia jesteś!

Nie wytrzymałam! Rozplakałam się jak mała dziewczynka, której niegrzeczny chłopiec rozdeptał piaskową babkę.

Magda bez słowa podała mi chusteczkę i zaparzyła nam kolejną kawę. Przyglądała mi się pełna współczucia.

— Napisał? — spytała z nieukrywaną obawą.

— Owszem! Nie jest to jego najpiękniejszy kawałek — starałam się żartować, ale łzy płynące po moich policzkach dekonspirowały próby okłamywania samej siebie. — Chcesz przeczytać?

Podaliśmy jej pomietą kartkę papieru, na której wydrukowałam tego ohydneho e-maila. Magda czytała ściszym głosem.

Irmino! Najchętniej napisałbym: Kochana! Niestety, nie mogę. Dzisiejszy wieczór był cudownym przeniesieniem się do prawdziwego raju! Nie spotkałem jeszcze nigdy tak wspaniałej dziewczyny. Nie będę jednak opisywał Twoich zalet. Brutalne życie splatało mi figła. Uwierz, nie miałem złych zamiarów. Wszystko ułożyło się inaczej, niż zaplanowałem. Miałem dobre intencje. To moja wina, bo nie przewidziałem, że jesteś taka mądra, piękna, kochana. Nigdy Cię nie zapomnę i naszego tańca, i Twoich ciepłych policzków, i pocałunków, po których choćby śmierć!

Nie jesteś moja! Może sama jeszcze o tym nie wiesz, ale tak jest! Bardzo mi przykro! Spotkaliśmy się za późno! Widocznie tak musiało być. Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć Ci szczęścia, szczęścia i jeszcze raz szczęścia!

Jutro wyjeżdżam z kraju i jestem pewien, że jak wrócę, Ty będziesz już formalnie należała do innego!

Wybacz, muszę Ci to jednak powiedzieć!

Kocham Cię! Dzisiaj Cię kocham!

Kto wie, może się jeszcze kiedyś spotkamy.

Gwidon.

153

Krystyna bmigielska

Magda przyglądała się wymiętej kartce, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

— Co to jest? Co to ma znaczyć? Kim, do diabła, jest ten palant? To jakieś brednie! Nic nie rozumiem! — złościła się.

— Widzisz? — chlipałam. — Ja też nie rozumiem. O co mu właściwie chodziło? Czego się spodziewał i jaki miał plan? Dupek! Zwykły dupek! Wymuskany goguś! Nadaje się tylko do mydlanej opery! Jaka ja jestem głupia!

— Nie możesz siebie tak surowo oceniać — persadowała Magda. — To nie twoja wina! Omotał cię, zauroczył. Już oni to potrafią!

— Guzik potrafią! Jakby tak było, to powiedz mi, dlaczego Pechowiec mnie nie zauroczył? No, proszę? Dlaczego? A Wacuś? Toż to istny amant filmowy! I co? I nic. Gwidon powalił mnie na kolana. Nie wzrostem, nie piękną fryzurką, nie niebieskimi oczkami, nie muskularni i super ciuchami! Powalił mnie ciepłem, wyrozumiałością, miłą konwersacją... Magda, czy ja się zakochałam?

— E tam, zaraz zakochałam! Uległaś jego czarowi i tyle. To zwykłe zauroczenie, minie po trzech dniach. Mogę się z tobą założyć, że na drugiej randce wydałby ci się nudny jak flaki z olejem.

— Nudny jak Pechowiec — podpowiedziałam. W Magdę nagle wstąpiły nowe siły.

— Odwal się od niego! Czego chcesz? Przywarłaś do biedaka jak pijawka, strzyga jakaś! Co on ci takiego zrobił? Potłukł kilka kielichów i poplamił bluzkę! Wielkie rzeczy! Słuchaj, a może ty chcesz, żeby on odkupił ci tę bluzkę? O to ci chodzi? — dopytywała się.

— Czeka, czeka! — powstrzymałam ją. — Masz rację, tu coś nie gra. Dlaczego wszystkich mężczyzn porównuję do Pechowca? Nic nie mów! Muszę się poważnie zastanowić. Idę zapalić! Dlaczego? Mama sugerowała... coś w tym jest, ale co?

154

Ty to głupia jesteś!

Moja przyjaciółka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Chodziłam po pokoju i zastanawiałam się głośno, dlaczego Pechowiec występuje w każdej mojej myśli.

— O Boże! — jęknęła przerażona Magda. — On to wiedział!

— Co wiedział? Kto wiedział?

— Gwidon! Gwidon wiedział o Pechowcu — wyjaśniła.

— Zwariowałaś? Skąd mógł wiedzieć?

— Przestań bucieć i siadaj tu przy mnie — rozkazywała podekscytowana Magda. — Dawaj ten nieszczęsny list. Trzeba czytać ze zrozumieniem, na trzeźwo, bez emocji. Zaraz zobaczysz, tam jest wszystko, czarno na białym. Słuchaj!

Zaczęła czytać.

— Irmino! Najchętniej napisałbym: Kochana! Niestety, nie mogę. Nie może? Dlaczego? Coś wie, o czym nie chce powiedzieć wprost — domyślała się Magda.

— Bzdura! — jęczałam.

— Nie przeszkadzaj — upominała mnie. — Dalej ble, ble... O, jest! Brutalne życie spletało mi figła. I co ty na to?

— Nic! Figła to mi spletało i to niezłego, nie po raz pierwszy.

— Uwierz, nie miałem złych zamiarów — czytała dalej. — Z tego wynika, że on coś planował, działał w określonym celu. Wszystko ułożyło się inaczej, niż planowałem. Miał dobre intencje, ale wyszło inaczej. Spodobałaś mu się i cała jego przemyślna intryga przysła jak mydlana bańka. Na końcu jest dopiero prawdziwa bomba! Nie jesteś moja! Może sama jeszcze o tym nie wiesz... Spotkaliśmy się za późno... Ty będziesz już formalnie należała do innego.

— Formalista się znalazł, biurokrata — pomstowałam.

— On przepowiada ci szybkie zamążpójście — uradowała się Magda.

- Taka dalsza część andrzejkowej wróżby? — szydziłam.

155

Krystyna Śmigielska

- Czym on się właściwie zajmuje? — zainteresowała się.

— Skąd mogę wiedzieć? Może to jakiś bandyta, gangster. Twierdził, że właśnie niedawno obronił pracę magisterską z psychologii, ale mógł mówić, że jest szejkiem naftowym i też bym nie protestowała.

— Psycholog? To by się nawet układało! Chciał ci coś powiedzieć, zwrócić twoją uwagę na czekającą cię przyszłość. Nie wziął tylko pod uwagę, że aż tak mu się spodobaś i plany diabli wezmą. Jedno mnie zastanawia, skąd wiedział o Pechowcu?

Oprzytomniałam. Wyrwałam Magdzie z rąk pogniecioną kartkę i wcisnęłam ją do torebki.

Włączyłam komputer i zajęłam się papierami na własnym biurku. Nie rozmawialiśmy już ani o Pechowcu, ani o Gwidonie.

Przed końcem pracy dyrektor chodził po wszystkich działach i osobiście zapraszał pracowników na lampkę noworocznego szampana. Chciałam się wykręcić, powiedzieć, że mam pilne sprawy do załatwienia. Dobrze wiedziałam, jakich życzeń mogę się spodziewać. Nie miałam ochoty na robienie dobrej miny do złej gry. Magda, nie zwracając uwagi na moje znaki i zniechęconą minę, szybko potwierdziła udział w imprezie. Kiedy Tadzio opuścił nasz pokój, syknęła na mnie:

— Mam dosyć na dziś twoich fochów! Nawet nie próbuj mi tłumaczyć, że trudno jest znieść pięćdziesiąt razy powtórzone życzenia szybkiego zamążpójścia. Idziemy i już — zdecydowała.

Cała załoga zebrała się w magazynie. Było to największe pomieszczenie naszej firmy.

Przyjęcie rzeczywiście zapowiadało się imponująco. Na dwóch dużych stołach stały śledzie, jajka w majonezie, ryba po grecku, trzy rodzaje sałatek, ciasta oraz termosy z kawą i herbatą.

156

iy lu yiupiu jcsicb:

Dyrektor wygłosił krótkie przemówienie, wyrażając swoje pragnienie, żebyśmy w następnym roku mogli się znów spotkać i wspólnie wypić szampana.

Magda polecała wycelowywać pana Włodka, pana Kazia, a na końcu samego szefa. Pełna nadziei, że nikt mnie nie dostrzeże i uniknę krępujących, płynących z zatroskanych serc życzeń, stanęłam za regałem i obserwowałam rozbawiony tłumek. Moja kryjówka została

bardzo szybko zdekonspirowana i jak hieny rzuciły się na mnie Wera, Stenia i fakturzystki. Powtarzałam jak w amoku: „Szczęścia, szczęścia i spełnienia marzeń”, zupełnie tak, jakby mnie cokolwiek obchodziło to, czego pragną i o czym marzą firmowe plotkary. Na pobłażliwe uśmieški odpowiadałam skwaszoną miną i wypowiedzianymi cynicznie słowami: „Być może, być może...”.

Szef też mnie odnalazł, ale jego życzenia sprawiły mi niekłamaną przyjemność.

— Pani Irmino — zaczął. — Życzę pani tyle radości, ile potrafi pani dać innym, ze mną na czele! Cynia wprowadziła w moje życie wiele zamieszania, ale to wspaniałe uczucie, że człowiek ma się kim opiekować i o kogo dbać. Jeszcze raz serdecznie dziękuję!

— Miło mi, że pan tak mówi. Pomysł z Cynią nie wyszedł ode mnie. Ja się tylko nią zajęłam do czasu wręczania prezentu. To wspaniała psinka! Proszę ją ode mnie podrapać za uszkiem. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku.

W całym tym nieszczęściu miałam dużo szczęścia. Udało mi się złapać taksówkę. Zdołałam odejść może kilometr od restauracji, kiedy natknęłam się na postój, a tam spokojnie czekał upragniony środek lokomocji. Wsiadłam do auta i nie witając się z kierowcą, wyrecytowałam adres Magdy. Samochód ruszył, a ja bez skrępowania

157

l\iydLyiU OlliyiCISKU

zaniósłam się spazmatycznym płaczem. Taksówkarz nie wykazywał najmniejszego zainteresowania moimi łzami i wolno przemierzał prawie puste ulice. Przed domem Magdy przypomniałam sobie, że nie mam pieniędzy. Na bal zabrałam wieczorową torebkę, do której nie mieścił mi się portfel.

— Proszę chwilkę poczekać — chlapałam. — Widzi pan, co się dzieje?

— Poczekać! Żeby tak nie pozwolić kobiecie spokojnie przywitać Nowego Roku?! Niech pani nie płacze! On nie jest tego wart!

— Ma pan rację. On nie jest! Problem w tym, że nie mogę znaleźć tego, który będzie wart moich łez. Zaraz przyniosą pieniądze... Szczęśliwego Nowego Roku!

— Niech się pani nie martwi. Szczęście już czeka na panią za drzwiami! Szczęśliwego! Kto łzami kończy, śmiechem rozpoczyna!

Wytarłam zasmarkany nos. Nacisnęłam klawisz domofonu i kiedy usłyszałam głos Magdy, poinformowałam ją bez zbędnych wstępów:

— Wyłaż z łóżka! Idę na górę. Taksówka czeka! Nie mam pieniędzy! Wyślij Igora, żeby zapłacił.

— Wchodź, ty moje nieszczęście — śmiała się Magda i wpuściła mnie na klatkę schodową. Wciąż zalewając się łzami, wspinałam się na trzecie piętro. Kiedy stanęłam przed drzwiami, przypomniałam sobie o taksówkarzu. Energicznie nacisnęłam dzwonek. Drzwi otworzyły się natychmiast. Za nimi stał Pechowiec. Spojrzał na mnie i cicho jęknął.

— O, Matko Boska!

— Idź, zapłać za tę taryfę — mruknęłam i mijając go, władowałam się do mieszkania.

W pokoju przy zastawionym stole siedział Igor.

— Irmina, co ty wyprawiasz? Po co ci to wszystko? — mówił, podchodząc do mnie.

158

iy LU yiu/iiiu)слїсл:

Padłam mu w ramiona i wyłam jak najgorszy potępieniec. Magda właśnie wróciła z kuchni, niosąc dla mnie talerzyk i szklankę.

— Pieprzony Wacek! Mówiłam ci, że samo imię nie wróży nic dobrego. Wacek! Siadaj i opowiadaj, co on ci takiego zrobił?

Zdjęłam kurtkę i rzuciłam na fotel. Igor bez słowa wyniósł ją do przedpokoju. Poczułam, że jest mi bardzo zimno. Musiałam wyziębnić się tym nocnym biegiem. Wtulałam się w ciepły

szal od Pechowca, gładziłam go bezwiednie rękami i czekałam cierpliwie, aż Magda naleje mi kieliszek wódki.

— W taki mróz, w takim stroju... — kręciła głową. — Wypij, to cię rozgrzeje.

Wypiłam duszkiem.

— Grzeczna dziewczynka! — pochwaliła mnie.

Wódka rozgrzała mi przełyk i dzięki temu zaczęłam odzyskiwać świadomość. Rozglądałam się po pokoju, jakbym nie bardzo wiedziała, skąd się tu wzięłam. Magda, widząc, że wracam do siebie, nalała mi następny kieliszek. Wypiłam bez protestów. W drzwiach zobaczyłam Pechowca. Trzymał w rękach kurtkę i szalik. Wódka dotarła już do mojego mózgu i miałam poważne kłopoty z ustaleniem, czy Pechowiec się rozbiera, czy ubiera. Kiedy postawiłam na drugą ewentualność, podniosłam się. Doszłam do wniosku, że może mnie odprowadzić do domu.

— Siadaj — rozkazała mi Magda. — A ty dokąd? — spytała Pechowca.

— Dać mu w zęby! — stwierdził butnie. — Przyłożyć draniowi, żeby się nie pozbierał!

Należy mu się! Tak skrzywdzić dziewczynę!

— Znasz ją? — spytałam bardzo zdziwiona.

Cisza. Wszyscy patrzyli na mnie i czekali, co jeszcze powiem. Ja tymczasem nie mogłam zebrać myśli. W końcu postanowiłam spytać Pechowca.

— To ty o wszystkim wiedziałeś? Znasz tę panienkę? Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

Wyszłam na wariatkę, uwodzicielkę, starą pan-

159

IXiy3iyiii JIIIiyiCISAU

nę polującą na męża! Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi! Jak mogłeś to przemilczeć? Po moim występie zapanowała całkowita konsternacja.

— Magda! Co ty jej dałaś? — denerwował się Pechowiec. — Przecież ona gada od rzeczy! Rozumiecie coś?

— Znasz ją czy nie? — napastliwie nacierałam na niego. — Teraz już się nie wymigasz!

Mów, bo jak nie, to zobaczysz, do czego może być zdolna stara panna na wydaniu!

— Irmina, kochanie, usiądź koło mnie i opowiedz nam wszystko od początku — prosił Igor. Delikatnym ruchem ręki, ale zdecydowanie, pchnął mnie z powrotem na fotel.

Zdezorientowany Pechowiec przysiadł na skraju wersalki, położył kurtkę na kolanach i czekał, gotowy w każdej chwili iść i zniszczyć Wackowe uzębienie. Nagle dotarło do mnie, że zęby chce mu wybić z mojego powodu. Jemu nie chodziło o tę flądrę (nie wiem, dlaczego się jej czepiam, biedna dziewczyna), ale o mnie! Spojrzałam na niego. Mój obrońca! Mój rycerz! Mój Zawisza Czarny! Bojowa postawa Pechowca tak mnie rozczuliła, że nowy potok łez wypłynął z moich oczu.

— No i masz! Znów ryczy — Igor bezradnie rozłożył ręce. — Magda, ucisz ją wreszcie i niech nam powie, co jej ten Wacek zrobił!

Magda, posłuszna żona, podeszła i przytuliła moją głowę do swojej piersi. Wypity alkohol pozbawił mnie zahamowań. Odrąciłam je pomocną dłoń.

— Nie ty! — wyłam, zalewając się łzami. — Mój rycerz! Mój obrońca! Mój Zawisza Czarny! — prosiłam, wyciągając ręce w stronę Pechowca.

Każdy inny, zdrowy na ciele i umyśle chłop, rzuciłby się ratować nieszczęśliwą niewiastę i sprytnie wykorzystałby nadarzącą się sytuację. Ale nie Pechowiec! Siedział na skraju wersalki i patrzył na mnie wytrzeszczonymi gałami. Nie wiedziałam, które z nas jest bardziej pijane. Ja czułam się fatalnie!

160

lyiofupiajtsLem

W końcu Igor, chłop zdrowy, nie wytrzymał mojego płaczu. Wstał, chwycił Magdę za rękę i ostentacyjnie powiedział:

— Chodź, zrobimy kawę. Oni niech się tu sami dogadają, bo ja już nie mam na to siły. Mirek, do jasnej cholery, zajmij się tym wyjcem! Zaraz będzie Nowy Rok! Ucisz ją tak, jak przystoi mężczyźnie. To twoja ostatnia szansa! Idziemy, Magda!

Magda, żona dobra i słuchająca męża, pomaszerowała za swoim panem do kuchni. Zostaliśmy tylko my. Ja i Pechowiec. Chwilę przyglądał mi się z przebiegłym uśmiechem na twarzy, a potem ni z tego, ni z owego, rzucił się na mnie. Jednym susem dopadł fotela, postawił mnie na nogi i zanim zdążyłam zaprotestować, zaczął całować... Pięknie, namiętnie, czule! Nogi ugięły się pode mną i z całą pewnością runęłabym jak długa na dywan, gdyby nie fakt, że Pechowiec ciągle podtrzymywał mnie własnym, o dziwo, silnym ramieniem. Nie przerywając pocałunków, doprowadził mnie do wersalki. Usiadł na niej, a mnie posadził sobie na kolanach. Właściwie byłam całkowicie bezwolna. Mógł ze mną robić, co tylko chciał. Teraz zajął się obcałowywaniem mojej twarzy, ramion i szyi.

— Jedyna... kochana... moja... — szeptał w szale uniesienia.

Cel osiągnął. Przestałam płakać i sama nie wiem kiedy i dlaczego, zaczęłam odwzajemniać jego pocałunki. Ja z kolei szeptałam mu do ucha:

— Rycerzu... obrońco... Zawiszko Czarny...

Trudno mi powiedzieć, jak daleko Pechowiec by się posunął, bo kiedy już dochodziliśmy do porozumienia, nasze sam na sam zostało brutalnie przerwane przez nadejście Nowego Roku. Magda z Igorem wparowali do pokoju i zaczęli przygotowania do kulminacyjnego punktu wieczoru, czyli do otworzenia i wypicia szampana.

Byłam szczęśliwa! Pechowiec obejmował mnie ramieniem, co chwilę delikatnie całując moje włosy, policzek lub szyję. Bijące od

161

уууупи зіщуїськи

niego ciepło ogarniało mnie i powodowało, że uczucie błogości docierało do każdej komórki mojego ciała.

Nowy Rok przywitałam w szampańskim humorze. Na moment przestraszyły mnie życzenia. Magda przytuliła mnie i uradowana krzyczała do mojego ucha:

— Nareszcie! Zobaczysz, będziecie szczęśliwi! To najcudowniejszy Sylwester w moim życiu!

— Zawsze chciałem mieć taką kuzynkę. Bardzo się cieszę! To dobry chłopak, trochę nieśmiały, ale w porządku facet! — winał mi Igor.

Pechowiec podał mi lampkę szampana i łamiącym się ze wzruszenia głosem stwierdził po prostu:

— Żebyśmy byli szczęśliwi, szczęśliwi aż do śmierci! Wytrzeźwiałam od razu! Uśmiechałam się do nich głupkowato.

Klamka zapadła! Nagle zdałam sobie sprawę, że starczyła chwila mojej nieuwagi i już zostałam złapana w rozstawione misternie sidła. Wpadłam jak śliwka w kompot! Bez odwrotu! Z kretelem! Będę panią Pechowcową!

Z drugiej zaś strony sprawa nie wyglądała najgorzej. Powoli zaczynałam kojarzyć fakty i wyszło mi na to, że od dawna, czyli od miesiąca, jestem po uszy zakochana w fajtłapie, w nieudaczniku, w niezgule, w Pechowcu!

Emocje związane z rozpoczęciem roku powoli opadały. Na dworze słyhać było już tylko pojedyncze fajerwerki. Magda domagała się tańców, ale Igor po wypiciu szampana nie czuł się na siłach, aby sprostać jej wymaganiom. Postanowił poczekać.

— Chwilę, niech mi bąbelki wywietrzeją — tłumaczył się. Znalazł sprytnie rozwiązanie.

— Dobra, dziewczyny! Zaraz będą balety! Musimy jednak wyjaśnić do końca sprawę Wacka! Irmina, mów jak na spowiedzi, co on ci zrobił?

162

iy ю gmpia jtbiēs:

— Powiem, ale pod dwoma warunkami! Chcę tańczyć i Mirek odprowadzi mnie do domu!
— przekomarzałam się.
— Warunki zostały przyjęte — zgodził się świeżo upieczony kandydat na męża. —
Opowiadaj! To musi być niezwykła historia!
— Rzeczywiście — śmiałam się. — Trudno w nią uwierzyć! Początek przypominał kiepską bajkę. Książę przyjechał służbowym samochodem. Jak przystało na prawdziwego dżentelmena, wręczył mi bukiet kwiatków. Uprzejmie obdarzył mnie komplementami. Czując się już królową balu, wyruszyłam na spotkanie ze swoim przeznaczeniem. Zabawa odbywała się w niedużej, ale sympatycznie urządzonej knajpce. Wszyscy pracownicy firmy Waclawa wspólnie witali Nowy Rok. Nie znałam tam nikogo oprócz swojego partnera. Wyobraźcie sobie, jaka byłam zaskoczona, kiedy Waclaw przedstawiał mnie kolejnym osobom, mówiąc bez najmniejszej żenady:
— Moja narzeczona!

Zdziwiłam się. O rety! Przegapiłam tak ważny moment w moim życiu? Narzeczona?! Też coś! Kiedy on mi się oświadczył? Spałam? Byłam zalana w trupa? Nie mogłam sobie przypomnieć, abym tak lekkomyślnie oddała własną rękę temu typkowi. Nie miałam też pierścionka, który mógłby świadczyć o tym, że Waclaw niecznie wykorzystał moje chwilowe zaćmienie umysłu. Postanowiłam nie robić scen, a całą sytuację wyjaśnić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Z głupekowatym uśmiechem przyjmowałam gratulacje od obcych i całkowicie obojętnych mi ludzi. Już po pięciu minutach rozszyfrowałam intencje Waclawa. Cel został osiągnięty. Misternie zbudowana intryga powoli zaczęła przynosić korzyści. Szef firmy był tak wzruszony, że zaprosił nas do swojego stolika. Ani się obejrzałam, a już przeszliśmy na ty z nim i z towarzyszącą mu młodą dziewczyną. Zabawa szybko

163

кiуbьипи snуicibKU

się rozkręcała. Panowie, komplementując się nawzajem, przepijali do siebie i nie przerywając pasjonującej dyskusji na temat przyszłorocznego budżetu firmy, bębnilo palcami o stół w takt muzyki. Siedziałam jak na tureckim kazaniu. Guzik interesowały mnie osiągnięte dochody i otwierające się perspektywy dalszego rozwoju. Panienska szefa tańcowała z jakimś grubasem, który obmacywał ją oblesnie. Całe to towarzystwo nie przypadło mi do gustu. W dodatku na sali obowiązywał całkowity zakaz palenia, a ja skręcałam się z braku nikotyny. Próbowałam oszukać swój organizm i zaspokoić głód nadmiernym jedzeniem, ale skutki były wręcz odwrotne. Dopiero chciało mi się palić! Przeprosiłam niezwracających na mnie najmniejszej uwagi panów i ruszyłam do toalety. Pomieszczenie okazało się przestronne, czyste i wyposażone w wentylator. Odetchnęłam z ulgą. Zaciągałam się z rozkoszą i kombinowałam, jak wyrwać się z tej smętnej imprezy, kiedy drzwi otworzyły się raptownie i do toalety wpadła dziewczyna. Spojrzała na mnie przerażonym wzrokiem, wybuchła płaczem i szybko schowała się w kabinie. Odruchowo spojrzałam w wiszące nad umywalką lustro. Nie zauważyłam niczego szczególnego w swojej twarzy. Reakcja panienski zdziwiła mnie, ale też mocno zaintrygowała. Postanowiłam poczekać, aż będzie wychodziła i sprawdzić, czy znów tak fatalnie na nią podziałam. Z odgłosów dobiegających z kabiny domyśliłam się, że sprawa musi być bardzo poważna. Biedactwo, starała się zahamować potok łez, ale stłumiony szloch co chwilę wybuchał ze zdwojoną siłą. Poprawiłam makijaż, uczesałam włosy, zrobiłam porządek w torebce... Dalej wyła za zamkniętymi drzwiami. Wypaliłam drugiego papierosa. Bez zmian. Ktoś otworzył drzwi, zajrzał do środka i widząc mnie stojącą przy umywalce z petem w ustach, zrezygnował z wejścia. Drzwi zamknęły się. O dziwo, ucichły też szlochy. Z uczuciem ulgi wsłuchiwałam się w normalne w tym miejscu odgłosy. Po chwili odezwała się spłuczka. Wyprostowałam się, wygładziłam sukienkę i z wyzywającą miną czekałam na

164

Ty to głupia jesteś!

wyjście zapłakanego biedactwa. Nie pytajcie, dlaczego to zrobiłam! Dlaczego chciałam jeszcze raz spotkać się z nią twarzą w twarz? Nie wiem. Coś mnie tam trzymało, kazało mi stawić jej czoła. Jakieś dziwne, irracjonalne przeczucie, że muszę koniecznie dowiedzieć się, z jakiej przyczyny wylewa potoki łez.

Dziewczyna opuściła kabinę i stanęła przede mną. Ledwie spojrzała mi w oczy, pośpiesznie wciągnęła powietrze i biegiem wróciła do kabiny. Słyszałam, jak wymiotuje. Pomyślałam, że tego jest już za wiele. Płakać może, proszę bardzo, ale wymiotować na mój widok! Po chwili pokazała się ponownie. Była blada jak prześcieradło.

— Tu nie wolno palić! — wrzasnęła. — Na dwór!

Uznałam, że nie powinnam jej dodatkowo denerwować i chciałam pośpiesznie zgasić papierosa, ale chwyciła mnie za rękę.

— Masz więcej? — zapytała.

— Mam dwie paczki — przyznałam się.

— Dawaj — rozkazała.

Bez sprzeciwów wyjęłam z torebki wszystkie papierosy i podałam jej na wyciągniętej ręce. Wzięła otwartą paczkę, wyjęła jednego i podsuwając mi go pod nos poprosiła, siląc się na uśmiech:

— Ognia, proszę!

Wpadłam w panikę. Papierosy wypadły mi z rąk. Nerwowo szukałam po całej torebce zapalniczki, która jak na złość ukryła się w jakimś załamaniu podszewki. Dziewczyna wyglądała na mocno zdesperowaną. Trochę się jej bałam. Jakaś babka znów zajrzała do toalety, ale widząc nas obie, krzyknęła wystraszona i wycofała się. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego współpracownicy Wacława unikają mnie jak dżumy. Moja nowa znajoma zaciągała się z rozkoszą i w międzyczasie spoglądała w lustro, oceniając stan swojego makijażu.

— Dobry tusz — stwierdziła. — Wcale się nie rozmazał. Warto było dać te parę groszy więcej — mówiła do swojego lustrzanego odbicia. — Narzeczona!

165

Krystyna Śmigielska

To już było do mnie. Pogardliwie wykrzywiła twarz, wydychając papierosowy dym.

— Gratuluje! Udało ci się go złapać! — szydziła.

— Nie ma czego — odparłam, zgodnie z prawdą.

— Ty zdziro jedna! Ty wywołoko! Nie ma czego? To po jakiego diabła ganiasz za nim z wywieszonym językiem? Włosy ci powyrywam! Oczy wydrapię! Cudzych chłopów ci się zachciewa? Ludziom życie marnujesz i jeszcze masz czelność wybrzydzać? Nie ma czego? Ja ci pokażę!

Olśniło mnie. Znam tę jędzę! Już ją widziałam! To przecież ona wiesziała się na Wacku.

Dziewczyna z filmu! Zamarłam. Niezła draka! Dostanę po mordzie! Jak amen w pacierzu, oberwę od tej rozgoryczonej dziewoi. Obję mi pysk za Wacusia! Dobrze mi tak, po co pcham się w takie historie? Nie ma co, ładnie mnie urządził! Stałyśmy w milczeniu i mierzyłyśmy się wzrokiem, jak dwa rozjuszony jelenie na rykowisku. Odruchowo opuściłam głowę, aby uchronić twarz przed paznokciami rywalki i przezornie zacisnęłam pięści. Szykowałam się do walki. Do ostatecznego starcia jednak nie doszło. Dziewczyna odwróciła się raptownie i znów pędem dopadła kabiny. Zgłupiałam kompletnie. Godzina była wczesna, a ona nie wyglądała na pijaną. Rzygała chyba z pięć minut. Spokojnie mogłam opuścić pole walki i schować się pod opiekuńcze skrzydła mojego narzeczonego. Nie chciałam jednak dać jej tej satysfakcji. Czekałam. Wróciła na chwiejnych nogach. Oparła się o umywalkę i zimną wodą myła spoconą z wysiłku twarz. W tym stanie nie była groźna. Widocznie doszła do tego samego wniosku, bo wycierając się papierowym ręcznikiem, wyszeptwała:

— Maryla. Właściwie to Maria, ale nie lubię tego imienia.

— Irmina — odpowiedziałam z wielką ulgą.

— Wiem — stwierdziła, przyglądając się swojej wymęczonej twarzy. — Chyba już sobie pójdę. Nic tu po mnie...

166

I y LU yiupiu JCbLCb!

— Zaczekaj! — powstrzymałam ją. — Jesteś chora? — zainteresowałam się.

— A ty głupia, czy tylko taką udajesz? — spytała, patrząc na mnie z politowaniem.

— O kurczę! — jęknęłam.

Teraz ja poczułam, że robi mi się niedobrze i chętnie pobiegłabym do kabiny, gdyby mi nogi nie odmówiły posłuszeństwa. I znów stałyśmy naprzeciw siebie. Teraz jednak nie szykowałyśmy się do walki. Czujemy się obie upokorzone, sponiewierane, oszukane. Maryla pierwsza odzyskała zdrowy rozsądek.

— Daj fajkę! Co mi tam! Niech to wszystko szlag trafi.

— No, nie wiem! W twoim stanie? Chyba nie powinnaś palić?

— Ty mi mówisz, co powinnam, a czego nie? Ty? Chyba oszaleję! Chłopa mi zabrałaś, a fajki żałujesz?

— No co ty? Nie żałuję! Proszę! — pośpiesznie częstowałam ją papierosem. — Myślałam tylko, że to szkodzi nie tylko tobie...

— No, no, no... Delikatna jesteś. Słowo „dziecko” nie przejdzie ci przez gardło? Tak się o nie troszczysz? Dobra ciocia z ciebie — śmiała się. — Ty się o moje dziecko nie martw! Ty mu, kurwa, ojca oddaj — mówiła spokojnie, zaciągając się moim papierosem. — Narzeczona! Wrażliwa dziewczyna! Suka jedna!

— Zaraz, zaraz — oprzytomniałam. — Tylko bez wyzwisk! Nie masz powodów, żeby mnie obrażać. A prawda jest taka, że nie jestem żadną narzeczoną, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo — łagodziłam tę bardzo nieprzyjemną dla nas obu sytuację.

— Masz szczęście, że trafiłaś na mnie — stwierdziła Maryla. — Poprzednia cizia Waclawa wydrapałaby ci ślepią bez mrugnięcia okiem. Ja mam to wszystko w dupie! Niech go szlag trafi! Ciul jeden! Dzieciorób!

— Wacuś! — przytaknęłam jej.

Spojrzała na mnie zdziwiona. Musiałam jej wytłumaczyć.

— Mąż mojej przyjaciółki określa tak swoją męskość, no wiesz...

167

Krystyna ьпипуיעіьки

Drzwi otworzyły się i do toalety weszła jakaś kobieta. Obejrzała nas dokładnie i ostentacyjnie odwracając się do mnie plecami, wypytywała Marylę.

— Wszystko w porządku? Potrzebna ci pomoc? Dać jej w mordę?

— Nie! W porządku! Rozmawiamy! Słuchaj, Aśka, możesz coś dla mnie zrobić?

— Oczywiście! Dać w łeb Waclawowi? Bardzo chętnie! — Aśka polecała swoje usługi.

— Szkoda twoich pięknych rączek na takiego drania. Przynieś nam tu wino i kieliszki, i pilnuj, żeby tu nikt nie chodził. Jest jeszcze jedna ubikacja dla niepełnosprawnych, niech dziewczyny z niej korzystają. Jak się spiją, będą tam miały drążki do trzymania, przynajmniej nie wpadną do czarnej dziury — siliła się na dowcip.

Aśka po chwili wróciła z dwoma krzeselkami, butelką wina, butelką szampana i kieliszkami.

— Jedzenia nie przyniosłam — tłumaczyła się. — To chyba nie jest odpowiednie miejsce na konsumpcję? Pić i palić jakoś ujdzie... ale jeśli chcecie, to się kopnę.

— Nie będę jadła. Zwracam wszystko, co przełknę. Irmina, chcesz jeść? — upewniała się.

— Chcę pić! Dużo pić! Niech pani wpadnie tu za godzinę, całkiem możliwe, że będziemy potrzebowały nowej dostawy!

Wino rozwiązało nam języki i pozwoliło przewyciężyć wzajemną niechęć. Maryla wyznała mi, że Waclaw nie wie o jej ciąży. Wszystko między nimi układało się po jej myśli do dnia, w którym Waclaw spotkał mnie na przystanku tramwajowym. Ludzkie losy w przedziwny

sposób splatają się ze sobą. Skąd mogłam wiedzieć, że to niewinne spotkanie sprowadzi na biedną Marylę takie kłopoty i przewróci jej życie do góry nogami. Mój samozwańczy narzeczony oświadczył jej, że właśnie przypadkowo wpadł na dawną znajomą,

168

ty to gtopia jesteś!

miłość jego życia i za nic w świecie nie da sobie odebrać podarowanej mu przez los szansy na szczęśliwe obcowanie z ukochaną. Swoją drogą, poczułam się mile zaskoczona, że zasłużyłam sobie na miano „miłości życia”, nawet jeżeli to życie należało do Wacka. Maryla postanowiła usunąć się, nie przeszkadzać mu w zdobywaniu szczęścia. Martwiła się, jak poradzi sobie w tej sytuacji, zwłaszcza, -że będzie musiała zrezygnować z dobrze płatnej pracy. Wiadomo, Waclaw potrafił liczyć i sprawa dziecka musiałaby wyjść w końcu na jaw. Koło jedenastej doszliśmy do porozumienia. Wytłumaczyłam jej, że jestem w stanie unikać go jak ognia i nie stanąć więcej na jego drodze. Obmyśliłyśmy wspólnie plan, w jaki sposób powiedzieć mu o ciąży. Byłam perfidna! Zgadza się! Możliwe, że moja złość przewyższała winy biednego Wacka. Wypiłam z Marylą kieliszek szampana, złożyłyśmy sobie życzenia noworoczne i przystąpiłyśmy do realizacji naszego planu. Maryla została w toalecie z napoczętą butelką szampana, a ja pomaszerowałam na salę. Śmiałym krokiem podeszłam do orkiestry i poprosiłam o udostępnienie mi mikrofonu. — Bardzo przepraszam, że wykorzystuję to urządzenie do prywatnych celów — grzmiałam z estrady na całą salę. — Myślę, że mi państwo wybaczą. Znać się dobrze, pracujecie ze sobą, przyjaźnicie się, spotykacie w wolnych chwilach. Stanowicie jedną, wielką rodzinę. Zbliża się Nowy Rok! Pragnę złożyć życzenia mojemu narzeczonemu! Waclawie, życzę ci wiele miłości, rodzinnego ciepła, tego, żebyś zawsze mógł polegać na swojej przyszłej żonie, cieszył się jej szacunkiem i podziwem! Życzę ci, żebyś dbał o nią jak o najcenniejszy klejnot, jak o najwspanialsze autko, jak o miłość swojego życia! W tym nadchodzącym roku czekają cię wspaniałe wydarzenia i wielkie wyzwania! Życzę ci, żebyś potrafił stawić czoła wszystkim kłopotom, miał wspaniały ślub i cieszył się z przyjścia na świat twojego dziecka. Dbaj o nie i obdarz swoją miłością! Proszę cię, dro-

169

Krystyna amigieisKa

gi Waclawie, przekaz moje najserdeczniejsze życzenia i gratulacje swojej narzeczonej, przyszłej matce twojego dziecka! Ona czeka na ciebie w damskiej toalecie. Idź do niej i nie zawieź jej oczekiwań! Miło mi było spędzić z tobą kilka jesiennych wieczorów. Pa!

Udanego życia! Do siego roku i dobrej zabawy!

Zeszłam ze sceny i szybkim krokiem ruszyłam w stronę szatni. Czułam na sobie wzrok wszystkich obecnych na sali. Kiedy byłam w połowie drogi, pani Aśka zaczęła klaskać. Opuszczałam sylwestrową zabawę żegnana owacyjnymi brawami. Dopiero na dworze poczułam się fatalnie. Oszukana, upokorzona, odtrącona. Biegłam przed siebie, zalewając się łzami. Dlaczego inne mogą znaleźć swoje szczęście, ułożyć sobie życie przy boku ukochanego mężczyzny, rodzić dzieci i zasypiać zmęczone i zadowolone z mijającego dnia? — Głupia jesteś! — skarciła mnie Magda. — Sama nie chcesz zauważyć swojego szczęścia. Powiedz mi, która z kobiet może pochwalić się, że jednego dnia była narzeczoną dwóch facetów? No, powiedz? Pocałuj Pechowca i przestań w końcu udawać pokrzywdzoną!

Nie miałam wyjścia, musiałam przyznać jej rację.

— Kto będzie świadkiem? — pytała podekscytowana Magda.

— Mój brat — powiedziała dumnie.

— Planujecie przyjęcie, czy duże wesele? — zainteresował się Igor.

— Żadnych przyjęć — zaprotestowała Magda.— Normalne wesele! Z orkiestrą, balonikami, tortem. To jedyny taki dzień w życiu. Długo na niego czekali. Irmina, a suknia? Długa, na kole?

— Jeszcze nie wiem. Pochodzisz ze mną po salonach? Sama chyba nie potrafiłabym wybrać — zaproponowałam.
— Wybieranie ślubnej sukni to najcudowniejszy moment w życiu kobiety — rozmarzyła się Magda.

170

Ty to głupia jesteś!

Siedzieliśmy przy moim pięknym stolyczku i graliśmy w tysiąca. Igor nerwowo spoglądał na zegarek. Miał odebrać synów po treningu. Nie mógł się spóźnić. Pechowiec nie odzywał się, obserwował nas z zastygłym na twarzy uśmiechem. Zachowywał się tak, jakby całe zamieszanie związane ze ślubem i weselem było mu całkowicie obojętne. Dobrze wiedziałam, dlaczego nic nie mówi. Umówiliśmy się, tak na wszelki wypadek, że nie będzie aktywnie włączał się w przygotowania. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jego pech może zakłócić całą uroczystość. Postanowienie to podjęliśmy po naszych zaręczynach. Biedny Mirek! Byłam pewna, że w końcu dostanie ataku serca i nie zdąży nawet poprosić rodziców o moją rękę. Wszystko przygotowaliśmy w najmniejszych detalach. Miało być pięknie, romantycznie, niepowtarzalnie. Niepowtarzalnie to na pewno było! Wynajęliśmy trzy pokoje w pięknym pensjonacie w Polanicy, salę w małej restauracji, zamówiliśmy bukiety kwiatów. Wszystko było związane na ostatni guzik. Sama przypilnowałam, posprawdzałam, rezerwowałam. Nic nie pomogło. Mirek miał kupić tylko pierścionek! Wybrałam go z Magdą. Ekspedientka była wtajemniczona w naszą intrygę. Miała od razu podać mu właściwy, zapakować w piękne pudełeczko. Na wszelki wypadek podałyśmy jej dokładny czas, kiedy mój narzeczony przybędzie po to cacko. Magda zostawiła jej nawet zdjęcie, na którym Mirek wyglądał jak amant filmowy. Nie pomyślałyśmy tylko o jednym! Na tej samej ulicy znajdowały się aż trzy sklepy z wyrobami jubilerskimi.

— Masz pierścionek? — upewniałam się, kiedy wsiadaliśmy do samochodu i ruszaliśmy na pierwszą zorganizowaną przez nas imprezę.

Pechowiec nerwowo przesuwając rękami po całym ubraniu. Wymacał pudełeczko w kieszeni marynarki i odetchnął z ulgą.

— Jest! Jak myślisz, wszystko będzie w porządku? Pierścionek mam, a to przecież najważniejsze — upewniał się.

171

Krystyna smigieism

— Powiem ci, kiedy będziemy wracali. Ciągle się obawiam, że coś niespodziewanego może nam popsuć szyki.

Samochód, o dziwo, ruszył. Byliśmy już spory kawałek za miastem, kiedy coś mnie tknęło.

— A dokumenty wzięłeś? — spytałam niby mimochodem. Pechowiec zahamował tak raptownie, że prawie wylądowałam na

przedniej szybie. Patrzył na mnie wybałuszonymi oczami. No tak! Mogłam się tego spodziewać! Myśl o zaręczynowym pierścionku pochłonęła go do tego stopnia, że zapomniał o całej reszcie. Bez słowa zawróciliśmy i oczywiście na miejscu zbiórki stawiliśmy się jako ostatni. Nasi rodzice sami dokonali prezentacji i zdążyli się już zaprzyjaźnić. Mieli sporo czasu, czekając na nas przed pensjonatem.

— O! Są i nasze dzieci! — przywitał nas radośnie mój tata. — Mamy się o was zamartwiały!

— To moja wina — tłumaczył się Pechowiec. Machnęłam tylko ręką.

— Daj spokój — powiedziałam.

Postanowiłam się nie denerwować. W końcu nie wydarzyła się żadna tragedia. Spóźniliśmy się, to prawda, ale już jesteśmy i możemy spokojnie realizować nasz wspólny plan. Umówiliśmy się z rodzicami, że o osiemnastej spotykamy się przed recepcją i razem pójdziemy na uroczystą kolację.

Mało mnie szlag nie trafił! Podczas przebierania okazało się, że Pechowiec nie zabrał mojej torby i w związku z powyższym nie mam swojej, tak starannie przygotowanej na tę okazję, sukienki. Nie było innego wyjścia, musiałam wystąpić w swetrze i dżinsach. Nie jest to dobry strój na oficjalne przyjęcie, ale trudno. Sam sobie winien! Będzie miał taką narzeczoną, jaką sobie wymarzył.

Kelnerki w restauracji były trochę zdezorientowane. Nie wiedziały, czy impreza już się zaczyna, czy czekamy na pojawienie się przyszłej panny młodej. Zasiadliśmy przy pięknie przygotowanym sto-

172

Ty to głupia jesteś!

liku. Wszyscy elegancko, galowo wystrojeni (oczywiście oprócz mnie, ja byłam „na sportowo”). Ogłupiałe dziewczyny nie wiedziały, czy mają zapalać już świece i wnosić szampana. Wstałam od stołu i podeszłam do nich.

— Proszę podawać według ustalonej kolejności — powiedziałam.

. Przyglądały mi się podejrzliwie, ale przystąpiły do wykonywania swoich obowiązków. Mój przyszły teść starał się rozbawić towarzystwo.

— Musisz uważać, Irminko, żebyś przypadkiem nie zapomniała welonu! Ślubu w dżinsach chyba nie weźmiesz?

Miałam nieprzepartą chęć odgryźć się i stwierdzić, że szybciej zapomnę o Pechowcu, niż o welonie. W porę jednak ugryzłam się w język. Postanowiłam wykorzystać swój, dobrze wyćwiczony, głupi uśmieszek. Co mi tam! Jak mają syna nieudacznika, niech przynajmniej nie czepiają się przyszłej synowej!

Zjedliśmy pyszny obiad. Rozmowa, jak zawsze w takiej sytuacji, nie kleiła się. Nadszedł najwyższy czas na kulminacyjny punkt programu, czyli na wystąpienie Pechowca.

Ćwiczyliśmy wielokrotnie, jak ma się zachować i tylko jego kwestia wygłaszana do mnie była nadal tajemnicą. Mirek wstał i zaczął biegać po sali. Najwyraźniej czegoś szukał.

Spoglądał bezradnie na swoje puste ręce i na mnie, na ręce i na mnie...

— Kwiaty! — wrzasnęłam.

No to koniec! Zapomnieliśmy odebrać zamówione w kwiaciarni bukiety! Spojrzałam na zegarek. Było już po dziewiętnastej. Kwiaciarnia dawno zamknięta. Odliczyłam od dziesięciu do jednego, zrobiłam trzy wdechy i machnęłam ręką. Co mi tam! Kwiaty odbierzemy jutro. Grunt, że obiad był dobry. Znowu wykorzystałam mój głupi uśmieszek. Jak tak dalej pójdzie, zostanie mi na ustach na wieki!

173

Krystyna Śmigielska

— Kochane mamy! Bardzo przepraszamy, trema nas chyba dopadła. Wybaczcie nam!

Kwiaty wręczymy wam jutro — tłumaczyłam, starając się zachować spokój.

W końcu to nasze matki, powinny nas zrozumieć i rozgrzeszyć. Owszem, rozgrzeszyły.

Mama Pechowca objęła nawet synka i pobłażliwie patrząc mu w oczy, powiedziała:

— Oczywiście, że się nie pogniewamy! Macie prawo być dziś zdenerwowani — mówiła łagodnie. — A co z kwiatami dla narzeczonej? — dopytywała się.

— Też będą jutro — smutno powiedział Pechowiec.

— Takie romantyczne oświadczenia? — drażyła. — Chcesz prosić o rękę pięknej, miłej Irminki bez kwiatów? Synu! Jak możesz? W tej chwili idź i załatw bukiet! Nie pozwolę na taki afront!

Spojrzałam na swoją mamę. Ukryła twarz w dłoniach. Dobrze wiedziałam, że za tą zasłoną płacze ze śmiechu. Rzeczywiście, kiedy odsłoniła ręce, zobaczyłam dwie strużki na jej policzkach. Kochana mama!

Wystraszony Pechowiec, który inaczej odczytał jej łzy, wybiegł w popłochu z sali i wrócił po godzinie, niosąc naręcze róż. Przyznał mi się potem, że dostał je od jakiejś miłej pani, której

opowiedział, jak wyglądają nasze zaręczyny. Sympatyczna kobieta ogołociła swój przydomowy ogródek i jako zapłatę zażądała od niego całusa w policzek. Twierdziła, że pocałunek świeżo upieczonego narzeczonego musi przynieść jej szczęście. Atmosfera przy stole rozluźniła się. W czasie oczekiwania na Pechowca, zamówiliśmy po lampce wina, następnie po lampce wina i tak ze cztery razy. Powrót syna marnotrawnego przywitaliśmy hucznymi brawami. Nie było już na co dłużej czekać. Wszyscy wstaliśmy od stołu i ustawiliśmy się w półkole. Wysunęłam się do przodu. Mirek spojrzał na mnie wystraszonym wzrokiem.

174

Ty to głupia jesteś!

— Nawet nie próbuj powiedzieć, że nie masz pierścionka — warknęłam.

— Mam, mam — uspokajał mnie. — Najpierw pytam twoich rodziców? — szeptał mi prosto w ucho.

— Tak — przytaknęłam, ale szczerze mówiąc, traciłam już cierpliwość.

Nie zdążyłam mrugnąć oczami, a już Pechowiec rzucił się na podłogę. Padł na oba kolana i w błagalnym geście uniósł do góry głowę. Drżącym głosem przemawiał do moich rodziców:

— Szanowni Państwo! Mam prawdziwy zaszczyt prosić o rękę mojej ukochanej Irminy! Przyrzekam, że będę się nią opiekował. Dbał, żeby niczego jej nie brakowało. Zapewnię jej spokojne i wygodne życie. Będę ją kochał do swojej śmierci i zawsze szanował, jak najcenniejszy klejnot. Proszę udzielić nam swojego błogosławieństwa i przyjąć mnie do rodziny!

Mój wzruszony ojciec delikatnie ujął jego ramię, czym dał mu do zrozumienia, że łaskawie pozwala na podniesienie się z klęczek. Pechowiec wstał i z niekłamany strachem oczekiwał na słowa ojca.

— Witam cię w naszej rodzinie — uroczyście oznajmił tata. — Mam nadzieję, że razem nie zginiecie i wasze wspólne życie będzie pełne dobrych i ciepłych chwil. Powierzamy ci nasz skarb, ukochaną córkę! Błogosławimy wam! Bądźcie szczęśliwi — i wykonał znak krzyża nad naszymi głowami.

Teraz do akcji wkroczyła moja przyszła teściowa.

— Dzieci moje kochane! — powiedziała i ryknęła płaczem. — Błogosławimy was! — znak krzyża nad naszymi głowami. — Irmino, przyjmujemy cię do naszej rodziny — chwyciła moją głowę w mocne ręce i obdarowywała moje policzki siarczystymi całusami.

Byłam pewna, że nigdy nie skończy. Pechowiec chyba myślał podobnie, bo złapał mnie od tyłu za ramiona i energicznym gestem

175

Krystyna Śmigielska

starł się wyswobodzić z objęć swojej rodzicielki. Każde z nich ciągnęło mnie w swoją stronę i byłam pewna, że rozedrą mnie na pół, gdy, o dziwo, teściowa nagle opadła z sił i puściła mnie niespodziewanie w chwili, kiedy to mój narzeczoney zaparł się właśnie nogami o podłogę i ciągnął ze zdwojoną siłą. Efekt był taki, że Pechowiec zachwiał się i stracił równowagę. Walnął na ziemię, jak kłoda zwałonego drzewa, a ja upadłam na niego.

Błogosławieństwo było zakończone. Cieszyłam się, że nie miałam na sobie swojej pięknej sukienki, bo z pewnością zostałaby podarta na strzępki, a tak będę mogła wykorzystać ją w czasie poprawin po naszym weselu. Niepewnie podnosiliśmy się z podłogi, a ja w duchu dziękowałam Bogu, że teraz tylko wręczenie pierścionka i spokojnie będziemy mogli napić się szampana. Spojrzałam na mamę. Odwróciła głowę i wtuliła się w ramię taty. Wiedziałam, jak podsumuje moje zaręczyny. Mirek zbierał rozrzucone po posadzce kwiaty i kiedy już wszystkie trzymał pewnie w ręce, stanął naprzeciw mnie. Chwilę, speszony, spoglądał mi w oczy, jakby chciał mnie przeprosić za wszystkie popełnione gafy. Uśmiechnęłam się czule.

Zrozumiał, że winy są mu darowane. Przyklęknął na jedno kolano i nieprzerwanie patrząc mi w oczy, recytował:

— Blaskiem swoim zorze przyćmiewasz. Dobrocią swoją świętych ujmujesz. Miłością swoją życie mi darujesz. Na szczęście takie nie zasłużyłem. Na rękach w przyszłość naszą cię poniosę. Zgódź się tve chwile połączyć z moimi i związać los swój z moim losem. Zamarłam. W jednej chwili przypomniałam sobie o Gwidonie. Nie mogłam jednak zastanowić się nad podobieństwem wyznań Pechowca do twórczości mojego znajomego czatownika, bo właśnie zobaczyłam maleńkie pudełeczko, które Pechowiec trzymał na wyciągniętej ręce. Nie było to czerwone pudełko w kształcie serduszka, jakie wybrałyśmy z Magdą. Nie miało kształtu serca, nie było czer-

176

lyiUyiUpiUjebItb!

wone. Było białe, owalne, a dodatku nie pokryte aksamitem! Zwykły, najzwyklejszy plastiki Ohyda!

— O Boże! — jęknęłam zawiedziona i szybko zabrałam się do otwierania tego paskudztwa. Mocowałam się. Nie mogłam zdjąć pokrywki i dostać się do środka. Pechowiec, widząc przestрах w moich oczach, próbował mi pomóc, ale i on nie mógł sobie poradzić. Z odsieczą pośpieszył mój tata, potem tata Pechowca. W końcu podważyliśmy wieczko nożem i moim oczom ukazał się świecący pierścień, z dużym błękitnym oczkiem, o rozmiarze męskiej obrączki.

— To nie ten... — wyszeptał rozżalony Pechowiec, a z jego oczu popłynęły autentyczne łzy. I znów mnie rozczulił! Wyjęłam pierścionek z pudełka, nałożyłam na palec. Majtał się i obracał we wszystkie strony.

— Jest piękny — szepnęłam. — Prześliczny! Troszeczkę za duży, ale to nie szkodzi. Zmniejszymy go! Dziękuję! Kocham cię i zostanę twoją żoną!

Chciał mi coś powiedzieć, ale uznałam, że najlepiej będzie zamknąć mu usta. Zawisłam na jego szyi i wpiłam się w jego wargi.

— Szampana! — zawołała uradowana teściowa. Najwyraźniej zyskałam u niej dodatkowe punkty. Moja reakcja na zaręczynowy pierścień spotkała się z ogólną aprobatą. Pechowiec, oszołomiony szczęściem, rzucił się do stolika i rozpoczął otwieranie butelki z szampanem.

— Proszę podejść bliżej — zachęcał wszystkich.

Nie zważając na konsekwencje, przybliżyliśmy się do niego. Widocznie chciał uczcić swoje szczęście wielkim wybuchem, bo potrząsnął trzy razy butelką i energicznym ruchem zdjął osłonkę z korka. Huknęło potężnie, aż się szyby zatrzęsły! Korek wyskoczył z wielkim impetem, odbił się od sufitu i spadając, uderzył moją mamę

177

IKiySLyilU LIШyĩCДЖи

prosto w oko. Osłupiały Pechowiec stał z wylewającym się na podłogę szampanem i najchętniej ze wstydu schowałby się pod ziemię. Ze względu na mnie jednak tego nie zrobił. Musiałabym zostać sama na tym świecie, a przecież już obiecał, że nigdy mnie nie opuści.

— Pamiętaj, kochanie — pouczał moją mamę tata. — Nigdy nie patrz za lecącym korkiem. Daj, pocałuję biedne oczko. Do wesela się zagoi — żartował.

Zirytowany teść wyrwał butelkę z ręki Pechowca i rozlał do kieliszków resztki szampana.

— Zdrowie młodej pary — wzniosła toast teściowa.

I tak zakończyły się moje najcudowniejsze zaręczyny, na które czekałam całe dwadzieścia dziewięć lat.

Oko mamy goiło się powoli. Codziennie dzwoniłam do niej i z nieukrywanym strachem w głosie dopytywałam się o jego obecny wygląd. Powtarzała jak mantrę: „Do wesela się zagoił”.

Pechowiec był załamany.

— Jak możesz mnie kochać? — dziwił się. — Nieudacznik ze mnie! Drugiego takiego niezdary można ze świecą szukać.

— Właśnie — śmiała się. — Sam widzisz, że naprawdę jesteś wyjątkowy! Nerwy przy tobie trzeba mieć ze stali, to prawda. Z drugiej strony, przynajmniej mam pewność, że nie trafiłeś w jej oko złośliwie, bo tego bym nie zniosła. Masz jedną, wielką zaletę. Nie próbujesz mnie zmieniać! Akceptujesz mnie z moimi wadami, których mi również nie brakuje. Kocham twojego pecha. Nudzić się z tobą nie będę. Jestem pewna, że dostarczysz mi jeszcze niejednej atrakcji.

Leżeliśmy objęci na mojej wersalce. W jego ramionach czułam się bezpieczna. Z rozkoszą wdychałam jego zapach. Chciałam, żeby ta chwila trwała wiecznie. Gdybym potrafiła zatrzymać czas! Nie potra-

178

i Y LU yilipiU jCbICb'.

fiłam. Czar prysł jak mydlana bańka, a ja pomyślałam, że tak właśnie będzie wyglądało nasze przyszłe życie. Moja wina. Nie posłuchałam Magdy, kiedy pouczała mnie, że męża powinienam wybierać wśród sierot. Komórka Pechowca wygrywała już dobrze mi znany motyw muzyczny. Teściowa! Miała nosa, muszę jej to przyznać. Wydzwaniała w najmniej odpowiednich momentach. Pechowiec podskoczył jak oparzony. Nie zdążyłam się obejrzeć, a on już stał na baczność przed moim cudownym stoliczkiem i trzymając komórkę przy uchu, słuchał i potakiwał głową.

— Tak, pamiętam. Tak, też tak myślimy! Dobrze, zaprosimy ciocię Manię! Oczywiście! Mamo, my to wiemy! Dobrze, zrobimy listę. Irmina dopilnuje! Nie martw się! Całuję! Pa! Śpij dobrze! Ja ciebie też kocham! — wyłączył telefon.

— Zrobię herbatę — zaproponowałam.

— Dobry pomysł. Przyda się nam na rozjaśnienie umysłów. Mama domaga się listy gości. Chyba tym razem nie uda nam się wykręcić — Pechowiec relacjonował treść rozmowy.

— Kim jest ciocia Mania? — pytałam z kuchni.

— Nie mam zielonego pojęcia — przyznał. — Nigdy w życiu jej nie widziałem. Podobno to jakaś kuzynka taty. Sam nie wiem, skąd ją mama wytrzasnęła.

— Pewnie oglądała swoje ślubne zdjęcia — odpowiedziałam bez zastanowienia.

— Całkiem możliwe — przytaknął mi. — Ona teraz nic nie robi, tylko wspomina własne wesele. Trochę się boję, że nie sprostamy jej wymaganiom. „Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. O niczym nie wolno wam zapomnieć. Lista! Musicie mieć porządnie przygotowaną listę zaproszonych gości” — parodiował własną mat-kę. '

— Zróbmy ją w końcu i będziemy mieli spokój — proponowałam, ustawiając szklanki na stoliczku.

179

муыуии snuyieisKU

— Twoja mama nie wtrąca się w nasze poczynania — nieśmiało zaczął Pechowiec. — Myślisz, że to dlatego, że ja... no wiesz... szampan?

— Myślę, że to dlatego, że nam ufa. Wie, że jesteśmy dorośli i poradzimy sobie, a jak będziemy potrzebowali pomocy, sami się o nią zwrócimy. Działa w myśl porzekadła: gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

— O Boże! — jęknął Pechowiec. — To nie koniec! Jeszcze menu! Z tym dopiero będzie problem — prorokował.

— Spokojnie. Ja to załatwię — próbowałam rozwiać jego obawy.

— Istna droga przez mękę — mówił, rozkładając brulion na stoliku.

Mój błąd! Przyznaję się! Ciągle jeszcze miałam spore kłopoty z perspektywnym myśleniem. Postawiłam szklanki z gorącą herbatą na stoliku, nie przewidując faktu rozłożenia na nim brulionu. A przecież gdzieś musieliśmy zapisywać zaproszonych przez nas gości. Spraw związanych ze sprawnym przygotowaniem ślubu i wesela było naprawdę sporo. Magda od razu zapowiedziała, że cienki zeszyt mi nie wystarczy.

— Brulion! — mówiła głosem znawcy. — Najlepiej zapisywać w brulionie. Nie musi być nowy. Możesz wykorzystać jakiś napoczęty, ale już nieaktualny. No wiesz, z liceum lub ze studiów. Walają się czasem takie po domu i sama nie wiesz, co z nimi zrobić. Kilka stron zapisanych. Szkoda wyrzucić, a nie ma jak wykorzystać.

Posłuchałam jej rady. Znalazłam swój stary pamiętnik. Jak prawie każda nastolatka próbowałam zatrzymać swoją młodość na śnieżnobiałych kartkach. Teraz, po wielu latach, z mieszanymi uczuciami czytałam zwierzenia tamtej Irminy. Dobrze, że wtedy brakowało mi wytrwałości i dzięki temu, cały mój sztambuch zmieścił się na trzech stronach zapisanych drobnym maczkiem. Z uwagą przeczytałam,

180

lytognmpiajesies!

jak powinien wyglądać mój przyszły mąż. Porównując wyobrażenia ze stanem faktycznym, stwierdziłam, że rzeczywistość ma się nijak do marzeń, a może odwrotnie, marzenia mają się nijak do rzeczywistości. Pechowiec nie był blondynem. Jego oczy nie były niebieskie. Nie miał metra osiemdziesiąt wzrostu. Nie miał sylwetki supermana. Nie palił fajki. Nie poruszał się marynarskim krokiem. Nie nosił wy-- strzałowych ciuchów. Z moim wyśnionym ideałem łączył go tylko zapach. Pachniał ciepłem i miłością. Musiałam już dawniej, intuicyjnie przeczuwać, że ten właściwy aromat jest najważniejszy, ponieważ pamiętnik zaczynał się słowami:

„Mój mężczyzna będzie pachniał miłością...”

Oczywiście zapisane kartki usunęłam z naszego ślubnego zeszytu i aby mieć całkowitą pewność, że nie wpadną w niepożądane ręce, czyli ręce Pechowca, spaliłam je nad zlewozmywakiem. O dziwo, mieszkanie ocalało, chociaż w pewnej chwili myślałam już, że bez straży pożarnej się nie obejdzie. Rozżarzone kartki fruwały po całej kuchni.

I ten właśnie brulion rozkładał Pechowiec na moim stoliczku, wylewając przy okazji dwie szklanki świeżo zaparzonej herbaty.

— Nic się nie stało! — krzyczałam. — Zapisuj, kochanie, swoich krewnych na naszą czarną listę, a ja tymczasem zrobię nam nową herbatkę i szybciotko posprzątam.

— Pomogę ci — zaproponował w poczuciu winy.

— Ani się waż! — warknęłam. — Jeszcze tego brakowało! Herbata się kończy! Ty pisz, ja sprzątam.

Zużyłam całą rolkę papierowego ręcznika, starając się wycisnąć herbatę z dywanu. Od pobytu Cynii w moim mieszkaniu czynność tę miałam opanowaną perfekcyjnie. Po mokrych plamach nie było śladu. Dwie szklanki świeżo zaparzonej herbaty ustawiłam na brzeżku stoliczka. Zadowolona usiadłam obok Pechowca. Zerknęłam na listę.

181

Krystyna śmigielska

— Co to jest? — zapytałam wystraszona.

— Może kogoś pominąłem — zastanawiał się. — Ale to nic, jak sobie przypomnę, to dopiszemy.

— Nikogo nie będziemy dopisywać. Masz tu drzewa genealogiczne chyba pięciu rodzin! Zwariowałaś? Jak dodam swoich najbliższych, wyjdzie nam wesele na dwieście par! A gdzie Magda i Igor? — cenzurowałam jego listę.

— Myślałem, że dopiszesz ich do swoich — wyszeptał.

— Do swoich? — nie mogłam uwierzyć własnym uszom. — Przecież Magda jest świadkiem. Twoim świadkiem, jak mnie pamięć nie myli. Dawaj ten zeszyt — próbowałam przysunąć brulion do siebie.

Pechowiec z uporem maniaka bronił swojej listy. Zaczęliśmy się szamotać i nie wiem, które z nas potrafiło szklanki, faktem jest jednak, że obie wylądowały na dywanie.

— Teraz ty wyciskasz! — rozkazałam. — Papierowy ręcznik znajdziesz w kuchni! Ja zajmę się naszymi gośćmi.

Bez słowa protestu zabrał się do pracy. Po wnikliwej analizie krewnych i znajomych z obu rodzin, doszliśmy do konsensusu. Na naszym weselu będzie się bawić ciocia Mania z mężem i osiemdziesiąt pięć pozostałych par, nie licząc dzieci!

Kochałam go! Naprawdę go kochałam! Jak mógł mi to zrobić? Tak mnie oszukać? Nie chcę go widzieć! To już koniec...

— Posłuchaj mnie! — błagała. — Daj sobie coś powiedzieć! Tak nie można!

— Nie chcę znać ciebie i twojego parszywego kuzyna! Dobrze ci radzę, nie próbuj ze mną rozmawiać! Pracuję!

182

ly LU L/UpiU jCbICb'

— Irmina! To nie tak, jak myślisz! On naprawdę cierpi! Jesteś bez serca! Zgódź się chociaż na krótką telefoniczną rozmowę — Magda nie dawała za wygraną.

— Ostrzegam cię! Jeszcze raz zaczniesz o nim mówić, a pójde do szefa i złożę wymówienie! Po co ty się w to mieszasz? To nasza sprawa! — denerwowałam się.

— I tu się mylisz. Siedzę w tym po uszy. Powinnaś w końcu poznać prawdę. Dlaczego nie chcesz posłuchać? — perswadowała.

— Słuchaj, ja znam prawdę! Więcej nic nie chcę wiedzieć. Ślubu nie będzie! Nie wyjdę za Gwidona! W dodatku nie jestem pewna, czy on jest prawdziwym, czy fałszywym Gwidonem. Dostyć! Jest mi dobrze samej i nie chcę tego zmieniać. Wcale mi nie jest potrzebny! Bo niby do czego? Moja mama dostała trzy tygodnie zwolnienia lekarskiego, tak ją urządził. Nawet szampana nie umie otworzyć, pierścionka kupić, kwiatów odebrać, porządnego wiersza napisać! Nie! Nie! Jeszcze raz nie! Jeszcze nikt mnie tak nie upokorzył!

— A Wacek? — nieśmiało podpowiadała mi Magda.

— O! Tak, Wacka to ty się umiesz czepiać! A jak chcesz wiedzieć, to jestem miłością jego życia. On mnie nie oszukał. Nic nie wiedział o dziecku. Teraz żałuję, że uniosłam się honorem. Niestety, jest już za późno. Wyobraź sobie, że ożenił się z Marylą. Spotkałam ich kilka dni temu! Okazało się, że Wacek ma swój honor, a Pechowiec nie ma! — syczałam. Dyrektor stanął w drzwiach. Przyglądał się nam zasmucony. Dobrze widziałam, że Magda daje mu jakieś znaki. Postać chwilę i westchnąwszy głęboko, wrócił do swojego gabinetu.

— A ty ploty musisz roznosić! — wrzasnęłam na Magdę. — Wszyscy muszą wiedzieć, że uciekłam prawie przed ołtarza! Zastrana przyjaciółka z ciebie! Żebyś wiedziała, nic ci już nie powiem! Cała ta wasza rodzinka jest dobrze pokręcona. Ręka boska mnie ustrzegła przed popełnieniem błędu — wyrzucałam z siebie na jednym wydechu.

183

i\ijljiiu -лщцююг^и

— Irmina, błagam, posłuchaj... — szeptała.

— Nigdy! I nie przeszkadzaj mi, znów się pomyliłam.

Do pokoju weszła Wera. Spojrzała na nas i z politowaniem pokiwała głową. Zaintrygowało mnie, której z nas żałuje, czyją trzyma stronę. Nie chciałam jednak wypytywać, bo to byłoby dolewanie oliwy do ognia. Wera położyła na moim biurku plik faktur do sprawdzenia i zbolełym głosem oznajmiła:

— Irmina, do szefa.

— Po co? — warknęłam na bogu ducha winną Werę.

— Znowu coś naknociłaś. Masz szczęście, że szef to ludzki człowiek i potrafi zrozumieć, że jak ktoś ma kłopoty, to nie ma głowy do pracy — informowała mnie.

Wściekła wstałam z krzesła i nie patrząc na nie, ruszyłam na dywanik do Tadzia.

— O, jest pani — ucieszył się szef. — Proszę usiąść. Może papierosa?

— Dziękuję, rzucam palenie — skłamałam.

— To może napije się pani kawy albo herbaty? Poproszę panią Werę... — podniósł się zza biurka.

— Nie trzeba! — zatrzymałam go. — Zresztą Wery nie ma. Właśnie obgaduje mnie z Magdą.

— Pani Irmino, nie poznaję pani... Przecież się dobrze znamy. Dlaczego pani to robi? Cała ta sprawa bardzo niekorzystnie odbija się na pani pracy. Jestem poważnie zmartwiony, szukam jakiegoś rozwiązania. Zaprosiłem tu panią, żeby spokojnie porozmawiać. Rozumiem, że ma pani żal do swojego narzeczonego. Nie wiem, co między wami zaszło, ale widzę, że Magda bardzo chce wam pomóc. Może nie trzeba odtrącać wyciągniętej ręki? Bardzo proszę, niech jej pani wysłucha. Przecież w takiej atmosferze nie da się pracować. Niech pani to zrobi dla mnie! Bardzo, bardzo proszę!

184

ry to gupia jesteś!

Skończył i czekał na moją odpowiedź. Czuję się głupio. Moje prywatne sprawy były rozpatrywane przez wszystkich pracowników biura. Poważnie myślałam o zmianie pracy i powrocie do rodziców. Właściwie nie wiedziałam, co mnie tu jeszcze trzyma. Dyrektor, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, ponowił próbę udobruchania mnie. - — Pani Irmino, mogę na panią liczyć?

— Porozmawiam z nią — obiecałam.

Umówiliśmy się w Galerii. Tym razem Magda stawiła. Miałam wielką ochotę naciągnąć ją na spory rachunek. Idąc na spotkanie, planowałam, co sobie zamówię. Mrożona kawa i puchar orzechowy to tylko preludeum, przygrywka. Wypiję dwie lampki wina, zjem tort czekoladowy i jak tylko się dobrze będę czuła, zmuszę ją do kupienia lodów. Tanio skóry nie sprzedam! Nie ma głupich! Rekompensata słusznie mi się należy. Mój telefon komórkowy pikał bez przerwy. Pechowiec przysyłał ciągle tę samą wiadomość. Znałam ją już na pamięć, nie musiałam odczytywać. „Kocham Cię! Bardzo przepraszam! Wybacz mi!” Nie był oryginalny, ale za to wytrwały.

Magda siedziała przy stoliku. Na mój widok wstała i oficjalnie się przywitałyśmy, podając sobie ręce.

— Zamówiłam mrożoną kawę, puchary orzechowe i wino — informowała mnie z przymilnym uśmiechem.

— Zjem jeszcze tort czekoladowy — powiedziałam spokojnie. — No, czego chciałaś? Mów, tylko szybko! Nie mam czasu — skłamałam.

Rozglądała się niepewnie, jakby szukała pomocy. Musiała sama wypić piwo, którego nawarzyła.

185

Krystyna Śmigielska

— Powiem krótko — zaczęła. — Nie ma co ukrywać! Gwidon to ja! A właściwie, to moje dziecko! Ja go wymyśliłam.

— Masz mnie za głupią? Nic z tego! Tak łatwo ci ze mną nie pójdzie — byłam zaskoczona jej wyznaniem.

— Pechowiec nie miał z tym nic wspólnego. Ja go w to wrobiłam. Mówię prawdę! Uwierz!

— Taki z ciebie Cyrano de Bergerac w spódnicy? Myślisz, że mnie nabierzesz? — naśmiewałam się z niej.

— Kiedy to prawda. Może nie do końca Cyrano, ale cała sprawa bardzo przypomina tamtą historię. Zaczęło się bardzo niewinnie, a potem sami nie wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć.
— Jednak spisek! Wszystko się zgadza — tryumfowałam. — Ale byłam głupia! Za późno was przejrzałam. Dlaczego? Co ja wam zrobiłam? Co chcieliście osiągnąć? Magda, o co wam chodziło? — pytałam.

— Irmino, znasz Pechowca... on jest taki nieśmiały...

— Nieśmiały! Też mi coś! Wybił prawie oko mojej mamie! Znam go, to prawda! — podniosłam głos. — Dlaczego? — upierałam się.

— Bo się zakochał, bo chciał tylko ciebie, bo bał się do ciebie odezwać, bo to wspaniały chłopak, bo cię lubię, bo chciałam wam pomóc — Magda otarła zażawione oczy.

— Oj, pomogłaś nam, pomogłaś! — drwiłam. — Może aż za bardzo. Taka niedźwiedzia przysługa. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Wasze kręactwa wyszły na jaw i tyle. Spokojnie, Pechowiec na pewno znajdzie sobie odpowiednią dziewczynę i znów będziecie mogli zabawić się jej kosztem. To coś w rodzaju gry. Wciąga jak narkotyk, co? Jedna ofiara wymknęła wam się z rąk, ale znajdziecie kolejne — szydziłam, udając, że ją pocieszam.

— Dobrze, opowiem ci wszystko, od początku do końca. Nie przerywaj mi, bo mogę zgubić wątek — prosiła.

186

Ty to głupia jesteś!

— Nie wiem, czy chcę tego słuchać. Zakulisowe działania mało mnie obchodzą. Efekty się liczą, a te znam — mówiłam już spokojniej, bez emocji. — Myślałam, że znalazłam drugą połówkę jabłka. Skąd mogłam wiedzieć, że wpadłam w zastawioną sieć? Wszystko tak pięknie się układało. Ja naprawdę go kocham. Nie mogę mu jednak wybaczyć oszustwa z premedytacją. To tak jak zbrodnia bez

-afektu. Wszystko było starannie zaplanowane. Moje zdanie i moje uczucia były dla was nieważne.

— Irmina, zrozum w końcu, że to nie tak. Oczywiście, jak teraz na to patrzę, słusznie możecie mieć do nas żal. Plan był prosty i niewinny. Doprowadzić do spotkania. Chciałam, żebyście mieli okazję porozmawiać, poznać się, zaprzyjaźnić... Cała reszta należała do was. Oboje byliście samotni i czekaliście na partnera, z którym będziecie mogli przejść przez życie...

— Właśnie — weszłam jej w słowo. — Z oszustem nigdzie nie pójde. Potrafię dbać o siebie. Dotąd nie zginęłam, to już nie zginę. Opowiadaj! Trudno, niech się już dowiem. Ciekawe, jak knuliście tę intrygę, jak pletliście pajęczą sieć, jak zarzucaliście przynętę. Może się od ciebie nauczę kilku sztuczek. Kto wie, co się w życiu przyda.

Magda przywołała kelnerkę i poprosiła ją o następne lampki wina. Uśmiechnęłam się.

Pomyślałam, że za całą libację zapłaci pewnie Pechowiec. Igor nie pozwoliłby jej na taką rozrzutność. Zapaliłyśmy papierosy. Czekałam, aż Magda zbierze się na odwagę i spokojnie opowie przebieg wydarzeń.

— Pierwszy raz zobaczył cię wiosną. Może pamiętasz? Przyjechał po mnie z Igorem. Chwilę rozmawialiśmy na parkingu. Chcieliśmy cię podwieźć. Pechowiec siedział w samochodzie.

— Nie kojarzę — przyznałam się.

— No właśnie. Spodobałaś mu się. „Miła dziewczyna” — powiedział. Często pytał o ciebie. Wiem, że czasem spacerował pod two-

187

Krystyna brmgieisKa

im blokiem. Kilka razy widział cię w tramwaju. Powoli dostawał obsesji na twoim punkcie. Na imieninach Igora wypił trochę za dużo i rozżalił się. Twierdził, że jesteś idealną istotą, a on, nieudacznik jeden, nie może się przemóc i porozmawiać z tobą normalnie, jak człowiek. Taki głupi charakter. No i się zaczęło. Igor uczył go, jak należy podrywać panienki (ciekawe, skąd on to może wiedzieć), a ja zmywałam talerze i kombinowałam, co zrobić, żebyś to ty się

na niego rzuciła. Wiedziałam, że skoro macie być razem, będziesz nad nim górowała. Pasowaliście do siebie. Pechowiec ma swoje wady, ale musisz przyznać, że potrafi emanować ciepłem i miłością. Takiego mężczyzny szukałaś, a właściwie czekałaś, aż on cię znajdzie. W te dyskoteki i niedobrego Tomka nigdy nie wierzyłam, nie chciałam jednak demaskować twoich niewinnych kłamstewek. Jak sama widzisz, wszyscy kłamiemy, udajemy, pokazujemy inną twarz. Chowamy się pod maskami, które zmieniamy w zależności od okoliczności.

— Zrozumiałam, co chciałaś mi powiedzieć. Zgadzam się z tobą. Istnieją kłamstwa i kłamstewka. Kłamstwa nas ranią, kłamstewka wywołują uśmiech politowania.

— W trakcie tego zmywania, przypominałam sobie, że kiedyś mówiłaś o czacie. Uznałam, że to wspaniały pomysł. Internet stał się bezpłatnym biurem matrymonialnym. Prosiłam go, jak mogłam, żeby wybrał sobie jakiś interesujący nick, ale on poszedł na skróty. Pomyślał, że jego drugie imię nadaje się jak znalazł. I tu jest pies pogrzebany!

— Magda, wybac — przerwałam jej. — Sama nie wiem, jak to opisać. Wyobraź sobie, siedzę z mężczyzną moich marzeń w urzędzie stanu cywilnego. Panienska zapisuje nasze dane. Data ślubu wyznaczona. Uśmiechnięci, trzymamy się za ręce. Pełnia szczęścia. Nic dodać, nic ująć! A tu nagle, jak grom z jasnego nieba! „Pana

188

Ty to głupia jesteś!

drugie imię?”, „Gwidon”! No nie! Są granice przyzwoitości! Przed oczami stanęła mi ta biedna suka! Nie daruję mu tego! O suce nie daruję! A ten drugi? Ten od cud-randki, kim on jest?

— Właśnie! Nie wiem! Samozwaniec! Może śledził was na czacie? Skąd wiedział tyle o Gwidonie? Dojdziemy do niego. Teraz po kolei, bo się pogubimy. Po kilku dniach okazało się, że ten pomysł

- nie wypalił. I wtedy wymyśliłam karteczki. Wiedziałam przecież, jak uwielbiasz poezję. Chciałam, żeby ci zaimponował. Kazałam mu napisać jakiś krótki wierszyk. Bronił się, jak mógł. Fakt, proza wychodzi mu znacznie lepiej! Jego wierszyki okazały się grafomańskie. Widocznie nie każdy może być poetą! Płakał i pisał. Pierwsza kartka była pognieciona, nie dlatego, że siedziałam na niej, ale dlatego, że stoczyliśmy o nią wielką bitwę. Pechowiec nie chciał jej oddać i musiałam wyrwać mu ją siłą. Igor obserwował nasze zmagania i zaśmiewał się do rozpuku. Zdobyłam ją! Byłam z siebie duma. Kiedy opowiedziałam o twojej reakcji, bardzo się ucieszył i następne pisał już z wielkim zapałem. Tak się wczuł w swoją rolę, że zakończył radosną twórczość na nieszczęsnej suce. To też moja wina. Zdażyłam opowiedzieć mu o tragedii szefa. Widocznie empatia wzięła górę nad rozumem i teraz mamy tego oplakane skutki.

— Prawda, wierszyki nie posiadają wartości artystycznej. Zawierają jednak duży ładunek emocjonalny. Podziwiałam go za odwagę, za chęć podzielenia się swoimi uczuciami. Podobał mi się pomysł ich kolportażu. Szkoda, że sam tego nie wymyślił. Z tego co mówisz, wynika, że karteczki nie podróżowały autobusem linii sto dwadzieścia trzy... — zastanawiałam się.

— Tylko w mojej torebce — przyznała. — Na to, co wypisywał na czacie, nie miałam już żadnego wpływu. O to możesz mieć pretensję tylko do niego. Chciałam, żebyś spojrzała na Pechowca przychylnym wzrokiem, ale chyba się nie udało.

189

Krystyna Śmigielska

— Nie rozumiem, dlaczego wymyśliłaś zamianę z Lalką i szefem? Wy tłumacz mi! Miałam zakochać się w Pechowcu, a ty robiłaś wszystko, żebym myślała tylko o Tadziu.

— To miała być taka psychologiczna zagrywka. Myślałam, że jak Gwidonem zainteresują się inne kobiety, łatwiej będzie przekonać cię do jego zalet. Nigdy nie myślałam poważnie o tej zamianie. Chwył okazał się skuteczny, przyznasz. Im mocniej na ciebie napierałam, tym bardziej byłaś zaintrygowana naszym poetą i nie chciałaś go oddać za żadne skarby. Potem

pojawił się prawdziwy rywal. To dopiero było wyzwanie! Wacuś był przystojniakiem, w pewnym sensie miał klasę. Literacka nagroda wybawiła mnie z kłopotów. Mogłam spokojnie prowadzić kampanię reklamową na rzecz mojego niezaradnego kuzynka. Cynia spadła mi z nieba. Pechowiec sam wspominał, że odwiedził państwa Krajeńskich i oglądał piękne szczenięta. To był prawdziwy strzał w dziesiątkę! Sama napisałam ogłoszenie, a Pechowiec powiesił je na przystanku w chwili, kiedy byliśmy w Galerii. Krążąc po ulicy, obserwował, czy złapałaś przynętę. Muszę jednak szczerze wyznać, że kosz kwiatów i kawiarnia, to już mój autorski pomysł. Zwymyślał mnie po powrocie, ale chyba warto było.

— Kto za to wszystko płacił? — jednak nie wytrzymałam. Babska ciekawość zwyciężyła.

— Koszty pokrywał zainteresowany. Nie jestem filantropką. Służyłam tylko dobrymi radami — oburzyła się. — Potem pojawił się ten drugi Gwidon i całkowicie zbił mnie z pantafelku.

Kim on, u diabła, jest? Podejrzewaliśmy Wacka, że podłożył nam świnie, ale to chyba nie był jego numer. Dawał sobie radę bez takich chwytów, a tu istniała poważna obawa, że możesz się zakochać w Samozwańcu. Kiedy wydawało się, że ponieśliśmy totalną porażkę i zaprzestaliśmy dalszych działań, sama wpadłaś w ramiona Pechowca. Prosiłam tego głupka, żeby się przyznał, opowiedział o karteczkach. Po-

190

Ty to głupia jesteś!

kazał kawałki swojej prozy i tym samym urósł w twoich oczach. Ale ten kretynek tak się bał... Nie przewidział, że w urzędzie stanu cywilnego spytają go o drugie imię, a wtedy będzie już za późno na wyjaśnienia. To chyba wszystko! Pechowiec popadł w czarną rozpacz. Martwię się o niego. Kocha cię, tęskni. Miej litość w sercu! Odezwij się do niego! Irmina, przez głupotę możesz przegapić prawdziwe «zczęście! Taki chłop w domu to prawdziwe cacko. Możesz z nim zrobić, co tylko zechcesz, on nie będzie się sprzeciwiał, nie pójdzie z kolegami na piwo, nie zdradzi cię z pierwszą lepszą laską. Spokój i stabilizacja! Przecież o to ci chodziło.

— Dobra jesteś — stwierdziłam. — Z tego wynika, że ty kręciłaś te lody. W takim razie zamówię dużą porcję! ja nie płacę, pamiętasz? — upewniałam się.

— Płaci Pechowiec — śmiała się. — Lody i jeszcze jedna lampka wina! Chyba doszliśmy do porozumienia?

— Co przez to rozumiesz? Ślub? — zastanawiałam się.

— Przez te cztery dni nic się nie zmieniło. My nie odwoływaliśmy żadnej rezerwacji. W kościele jeszcze zdążycie załatwić. Jeśli się zgodzisz, czeka cię bonus — mówiła tajemniczo.

— Coś znowu wymyśliła? — czułam, że cała złość rozeszła mi się po kościach.

Nie wiedziałam, czy to wino tak na mnie podziałało, czy wyznania Magdy, grunt, że zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Może niepotrzebnie tak impulsywnie zareagowałam. Intencje były czyste. Wykonanie troszkę szwankowało, ale można ich z tego rozgrzeszyć. Zbudowanie takiej intrygi nie było proste. Nieźle się nagłówkowali i napracowali. I sporo ich to kosztowało.

— A szal? — dopytywałam się.

— Jego pomysł i wykonanie. Ja tylko potwierdziłam, że to udany prezent i chyba miałam rację.

191

Krystyna Śmigielska

— Jesteś pewna, że powinnam dać się przeprosić? Pamiętaj, jeżeli coś znów nie wypali, będziesz miała ze mną do czynienia — groziłam jej.

— Będę trzymała rękę na pulsie, a w razie czego przywołam Pechowca do porządku!

Irminko złota, wspaniała, kochana! Ja też cię kocham! Mogę do niego zadzwonić? — prosiła.

— Czeka, czeka! Niech zgadnę! Włóczy się właśnie, oczywiście przypadkiem, po Galerii i po twoim telefonie zjawi się tu z bukietem róż! — prorokowałam.

— Ciepło, ciepło — zachęcała mnie. — Może jeszcze coś dodasz do tych róż?
— No, wiesz? Rozczuliłaś mnie. Pierścionek zaręczynowy w pudełeczku w kształcie serduszka? — nie mogłam uwierzyć.
— Powinniśmy założyć spółkę detektywistyczną — śmiała się Magda. — Jesteśmy dobre w te klocki!
— Sprawy kryminalne i intrygi matrymonialne! Może kiedyś... zobaczymy.
Magda wyjęła telefon komórkowy. Patrzyła na mnie pełna napięcia.
— Dzwonić? — spytała.
— Raz kozie śmierć! Dzwon!

Ciocia Mania zaszczyliła nas swoją obecnością. Śmiało mogę przyznać, że uratowała moje wesele. Okazało się, że roztacza wokół siebie wspaniałą aurę i skutecznie przeciwdziała pechowi mego, dopiero co poślubionego, męża.

Wkroczyła w moje życie jak dobry anioł. Spadła mi z nieba. Właśnie nakładałam ślubną suknię. Zrobiłam to może za energicznie

192

Ty to głupia jesteś!

i przy okazji uszkodziłam misternie ułożoną przez Magdę fryzurę. Wystraszona spjrzałam w lustro. Na głowie miałam coś, co przypominało najeżony stóg siana. Wtedy właśnie do pokoju weszła moja teściowa, prowadząc dobrą wróżkę, ciocię Manię. W błyskawicznym tempie dokonaliśmy prezentacji. Okazało się, że ciocia Mania ma na imię Eufemia, ale cała rodzina zgodnie nazywa ją Manią. Nie miałam czasu, ani ochoty wypytywać o przyczyny takiego stanu rzeczy. Miałam gorsze problemy na głowie. Patrzyłam bezradnie w lustro i czułam, że się rozpłaczę.

— Spokojnie, kochanie! Zaraz coś poradzimy. Poproszę ołówkę, piankę, lakier i spinki — łagodnym głosem wydawała rzeczowe polecenia.

Rozdygotana Magda podawała jej wymienione przedmioty.

— Grzebień jest niepotrzebny — mówiła ciocia Mania, odkładając go na stolik. — Ręce, dziewczęta! Ręce są ważne! Teresa — zwróciła się do matki Pechowca — przynieś moje kwiaty. Nie ma innego wyjścia, Irmino! Bukiet ode mnie poniesiesz na głowie.

Byłam tak sparaliżowana strachem, że nie mogłam się bronić i z milczącą aprobatą śledziłam w dużym lustrze poczynania cioci. Zachowywała się jak chirurg podczas operacji. Sprawnie wywijiała ołówkiem, nawijając na niego kosmyki włosów, zawijała je w cudowne węzłki, które przypinała mi do głowy spinkami ozdobionymi maleńkimi, kolorowymi różyczkami. W białej, długiej sukni, z kwiatami we włosach wyglądałam jak najpiękniejsze uosobienie wiosny.

— I jak? — pytała ciocia Mania, z zadowoleniem oglądając swoje dzieło.

— Pięknie! Jestem zachwycona! Nie wiem, jak pani... cioci dziękować? — promieniałam.

— To proste — nachyliła się nad moim uchem i ściszyła głos. — Mów do mnie Mania!

193

Krystyna smigieisKa

Mania przez kilka lat mieszkała w Austrii. Nie potrafiła przyzwycząić się do życia na obczyźnie i nie bacząc na konsekwencje, wróciła do kraju. Z zawodu była lekarzem. Niska, szczupła, zawsze z rozwianymi włosami. Byстрыmi oczkami spoglądała na otaczający ją świat. Z miną zdobywcy wyruszała na jego podbój. Miała w sobie tyle energii! Patrząc na jej drobną sylwetkę, nie można było oprzeć się wrażeniu, że zaraz eksploduje. Bawiła się życiem jak dziecko. Należała do tych cudownych osób, przy których czujesz się bezpiecznie i widząc je pierwszy raz, masz uczucie, że spotkałaś przyjaciela.

W trakcie wesela Mania grała na gitarze, śpiewała, zastępowała wodzireja. Swoim urokiem podbiła serca weselników. Mimo swoich pięćdziesięciu lat, była prawdziwą królową parkietu. Jej mąż przyglądał się wyczynom uroczej Mani z pobłażliwym, ale smutnym uśmiechem na

twarzy. W odróżnieniu od niej, był człowiekiem statecznym, bardzo poważnym i nieskorym do tańca.

Oboje z Pechowcem polubiliśmy ciocię Manię i z radością przyjęliśmy jej zaproszenie.

Zaproponowała nam tygodniowy pobyt w uroczym domku nad jeziorem.

To były wspaniałe wakacje. Pływaliśmy jachtem, odwiedzaliśmy wszystkie okoliczne knajpy, wieczorami paliliśmy ogniska i z wielką przyjemnością słuchaliśmy recytowanych przez Manię wierszy. Podziwiałam jej podejście do życia. W czasie wspólnych spacerów opowiadała mi swoje przygody, zabawne anegdoty, wspomnienia z młodości. Snułyśmy wspólne plany na przyszły rok. Słuchając jej rad, uwierzyłam, że mogę być wspaniałą żoną. W jej towarzystwie wszystko wydawało się proste, jasne i oczywiste.

Pozostałą część miesiąca miodowego spędziliśmy w uroczym pensjonacie w Polanicy.

Do domu wróciliśmy pod koniec września. Pechowiec stanął na środku pokoju i wygłosił płomienną mowę.

194

Ty to gupia jesteś!

— Wszystko, co najpiękniejsze mamy już za sobą. Teraz czeka nas proza życia. Czy potrafimy jej sprostać? Wspólnie dźwigać ciężar codzienności? Czy zdołamy ocalić uczucia? Dbać o naszą miłość? Pielęgnować ją, mimo przeciwnych wiatrów? Kocham cię i mocno w nas wierzę!

Byłam pewna, że dokonałam właściwego wyboru. Z Pechowcem chcę przejść przez życie!

— Jednak zapalę — mówiłam, wyjmując papierosa.

— Irmina, nie rób tego — ostrzegała mnie Magda. — Ostatnio źle wyglądasz. Zobaczysz, będzie ci niedobrze.

— Nie martw się. Otworzę drzwi do kabiny i w razie czego będę miała blisko. Chyba się czymś strułam. Pechowiec ostatnio preferuje dietę rybno-warzywną. Nie mogę tego jeść, a on się upiera przy swoim. Głowę dam sobie uciąć, że to po tym wczorajszym dorszu.

— Wiesz, co ja myślę? — Magda uśmiechała się kpiąco. — Ty to dorsza zostaw w spokoju. Błada jesteś od tygodnia. Uwierz mi, dorsz tu nie zawinił...

— Co ty sugerujesz? Znów knujesz intrygi? Nie chcę o niczym słyszeć — broniłam się.

— Usłyszysz, usłyszysz! No, trochę musimy na to poczekać... może jakieś osiem miesięcy — śmiała się.

— O Boże! — krzyknęłam wystraszona. — Myślisz, że ja...

— A ty przypadkiem tak nie myślisz? Tak to bywa z młodymi mężatkami! Za pieszczoty trzeba płacić! Nie wiedziałaś? W bociany wierzysz?

Zaciągnęłam się dymem i osunęłam po ścianie. Przykucnęłam i głęboko oddychałam.

Czułam, że mam mokre ręce, a zimny pot zrosił mi plecy.

195

ікіуіуи г>шіуісіьки

— Będzie dziewczynka — prorokowała Magda. — Przy chłopaku nie miałabyś czasu narzekać na dorsza, tylko rzygałabyś bez przerwy. O, mnie już też jest niedobrze. Tylko na ciebie spojrzę i już mi się udziela. Zараźliwe cholerstwo, czy co?

Nie wiem czemu, ale poczułam się lepiej. Podniosłam się i stanęłam w szeroko otwartym oknie.

— Co z tobą, ciotka? Kiedy to się miało ostatnią miesiączkę? — pytałam ze zgryźliwym uśmieszkiem na twarzy.

Magda zrobiła się sina. Zastygła, tylko dłoń, w której trzymała papierosa zaczęła jej skakać w górę i w dół.

— Kurczę! Oby twoje słowa zamieniły się w... — nie dokończyła.

— W dziewczynkę — przyszłam jej z pomocą. — Taką małą, o jasnych jak śnieg policzkach, kręconych blond włoskach, w różowej sukience?

— Ty to głupia jesteś! Wiesz?! — nie wiem, czemu miała do mnie pretensję.
— A ty co? W bociany wierzysz? O dwóch synów za późno!
— To się Igorek ucieszy — mówiła smutno.
— Magda, nie martw się — pocieszałam ją. — Będzie z Pechowcem chodził na spacerki.
— To co? Jeszcze po jednym? Niech się dziewczyny ostatni raz dobrze zaciągną! Dawaj i wyrzucamy papierosy przez okno!
— No co ty? Nie można tak śmiecić — starałam się ocalić swoją paczkę.
— Na trzy, cztery wyrzucamy! Spróbuj tego nie zrobić, to powiem Pechowcowi — ostrzegęła mnie.
— Dobra, dobra! Trzy, cztery!
— Która leci do apteki? Może ty? W końcu jesteś młodsza. Pójdiesz? — pytała, starając się opanować zdenerwowanie.
— Jesteś prawdziwą wariatką. Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś w pracy robił sobie test ciążowy.

196

Ty to głupia jesteś!

— Irmina, zasuwasz do tej apteki, bo mnie zaraz szlag trafi. Zwolnię cię u Tadzia.
— Obiecuj mi, że nie będziesz płakała — prosiłam.
— Najwyżej ze szczęścia — odparła dyplomatycznie.
Magda musiała być bardzo szczęśliwa! Wyła jak bóbr! Nie mogłam jej uspokoić.
— Bądź cicho — błagałam. — Całe biuro zwali nam się na głowę. Nie muszą wszyscy wiedzieć, że obie jesteśmy w ciąży.
— Chcesz to zachować w tajemnicy? — dziwiła się. — Myślisz, że nikt nie zauważy?
Irmina, co ty wygadujesz? Mam ukrywać ciążę? Puknij się w czoło — śmiała się przez łzy.
— Dwie dziewczynki — rozmarzyłam się. Do pokoju wszedł Tadzio.
— Panie znowu nie pracują? — spytał retorycznie. — Nowa tragedia? Kłopoty z mężami? — drwił.
— Nie pracują i jak będą chciały, to jutro też się będą objajały! — syczała Magda. — I nic nam pan nie zrobi!

— To się okaże — ryknął Tadzio.

Był wyraźnie w złym nastroju. Magda jakby celowo drażniła go i starała się na nim wyładować swoje negatywne emocje.

— Niech pan spróbuje! Nie ma pan szans. Wyrzucić dwie kobiety w ciąży... to panu nie przejdzie płazem.

Szef zbladł! Teraz jego zamurowało. Przenosił wzrok z jednej na drugą.

— Dwie? W ciąży? Ładnie mnie urządziłyście, nie ma co! Błagam, popracujecie, póki możecie! Jutro macie wolne! Obie panie do lekarza! Musicie o siebie zadbać, żebyście jak najdłużej mogły być w pracy

197

Krystyna Śmigielska

- Do samego rozwiązania — obiecywałam.

— Głupia! — zraniła mnie Magda. — Tu urodzimy!

— Gratuluję paniom! — krzyknął szef i szybko wycofał się za drzwi.

I w ten właśnie sposób, szef naszej firmy, Tadeusz Witkowski był pierwszym mężczyzną, który dowiedział się o naszych ciążach. Śmiałyśmy się i płakałyśmy na przemian.

Mężczyźni popijali piwo. Tegoroczne imieniny Igora bardziej przypominały stypę.

— Nie potrafię się z tym pogodzić — cicho mówiła Magda. — Byliśmy u nich, rozmawialiśmy, śmialiśmy się. Dlaczego nam nie powiedzieli? Nie uprzedzili nas. To okropne. Mania, żegnając się z nami, zapewniała, że święta spędzimy razem.

— Miała rację — smutno wtórował jej Pechowiec. — Będziemy z nią myślami. To ona zajmie puste miejsca przy świątecznych stołach. Dobrze o tym wiedziała. Cudowna kobieta!
— Słuchajcie! Nie możemy tak siedzieć! Zróbmy coś. Biadolenia nic już nie pomogą. Musimy się czymś zająć, odgonić od siebie te przygnębiające myśli. Mania mówiła, że smutek zabija nawet umarłych. Dla niej, rozumiecie? Dla niej musimy się śmiać z życia i cieszyć się nim, bawić, tańczyć... Sama nie wiem... ale nie siedźmy tak. Może w coś zagramy? — próbowałam, jak mogłam, znaleźć jakieś wyjście z tej przygnębiającej nas sytuacji.

Mania odeszła. Pozwoliła, żebyśmy ją pokochali. Rozpaliła w nas chęć życia i cichutko, chyłkiem wymknęła się z naszych objęć. Okazało się, że od roku wiedziała. Wiedział też Leon, jej mąż. Wymogła na nim przysięgę, że nikomu nie zdradzi jej tajemnicy. Uszanował tę decyzję i dlatego wiadomość o jej śmierci spadła na nas dosłownie

198

IV IL/ UJUpiU JOJU/^.

jak grom z jasnego nieba. Nieprzygotowani na jej odejście, czuliśmy pustkę i żal do życia, że odebrało nam możliwość obcowania z kochaną ciotką Manią.

— Powiedziała mi — wspominała Magda — że w przyrodzie nic nie umiera. Głaskała mój brzuszek i uśmiechała się. Twierdziła, że wierzy w reinkarnację. Miała swoją teorię, popartą przykładami,

» w myśl której bilans wychodzi na zero.

— Magda, co ty opowiadasz? Jaki bilans? Nie rozumiem — niecierpliwił się Igor. — To jakieś brednie.

— No, nie wiem — upierała się. — Mania przekonywała mnie, że jeśli w rodzinie umiera kochana przez wszystkich osoba, to wkrótce wraca na świat w nowym wcieleniu. To proste, ktoś umiera, ktoś się rodzi. Jak tak głębiej się zastanowimy, to okazuje się, że jest wiele przykładów na poparcie tej tezy. Choćby ja!

— Ty? — zawołaliśmy równocześnie.

— Tak! — Magda dumnie wypięła pierś. — Mirek, nie wiedziałeś? Urodziłam się dwa tygodnie po śmierci naszego dziadka.

— Rzeczywiście — Pechowiec przyznał jej rację. — To nie wszystko. Sama Mania urodziła się po śmierci jakiejś ciotki. Babcia mówiła mi, że dlatego miała takie dziwaczne imię. Po tej ciotce. Eufemia! Śmieszne! Jak ze starego romansidła.

— Cholera! A może wy macie rację — zastanawiał się Igor. — To by się nawet zgadzało. Jak zginął Zbyszek, mój przyjaciel z podstawówki, to zaraz okazało się, że jego siostra jest w ciąży.

— Coś w tym jest. Nie za każdym razem tak się zdarza, ale podobne przypadki możemy mnożyć. Mania twierdziła, że tylko dusze dobrych ludzi wędrują i ciągle powracają do tych samych rodzin.

— Zaczynam się bać — powiedziałam całkiem poważnie.

— Boisz się Mani? — zdziwił się Pechowiec.

— Nie! Pomyślcie! Obie jesteśmy w ciąży.

199

г^іуліуни оііууісісі^u

— Wystraszyłaś mnie — przyznała się Magda. — Tu akurat nie ma powodu do niepokoju. Z tego, co Mania mówiła, to przechodzi energia, a tej jak wiemy, miała w nadmiarze. Spokojnie wystarczy na nasze obie dziewczynki.

— Eufemia — zastanawiał się Igor. — Co powiesz na to, żeby nasza córeczka miała na imię Eufemia? To chyba oryginalny pomysł? — zwrócił się do Magdy.

— Owszem, bardzo oryginalny — potwierdziła. — Damy jej na imię Eufemia, a mówić będziemy Mania — śmiała się.

— Właśnie — podchwycił Pechowiec. — Musimy wybrać imiona. Nie mogą być identyczne. Najlepiej zróbmy to teraz.

Igor bardzo zapalił się do tego pomysłu. Pobiegł do kuchni i przyniósł kalendarz.

— Mam już pomoce naukowe — żartował. — Możemy zaczynać.

Wszyscy nachylili się nad stołem. Igor przekładał kartki i głośno czytał imiona. Po każdym z nich patrzyliśmy na siebie i robiąc zniechęcone miny, dawaliśmy mu do zrozumienia, żeby przeszedł do dalszych przykładów.

— W ten sposób nigdy nie wybierzemy dla nich imion — niecierpliwił się Igor. — Czepiacie się! Co powiecie o Dobrochnie? Staropolskie. Ładnie brzmi. Dobrochna! — rozkoszował się. — Dobrunia! Dobrusieńka!

— Dobra! — przedrzeźniała go Magda. — Damy jej tak na imię i będziemy potem wołali na nią Mania!

Igor nie protestował. Szukał dalej.

— Adelajda! Adela! Adelusia! Odpowiedzieliśmy mu zgodnie:

— Mania!

— Karina — czytał dalej. — Karincia! Karineczka! A my na to:

— Mania!

200

Ty to głupia jesteś!

— Eulalia!

Tu obyło się bez zdrobnień. Nasza reakcja była natychmiastowa.

— Mania!

— Halszka!

— Halutka — próbował swoich sił Pechowiec.

— Halusieńka! Haleczka! — dodała Magda. I wszyscy razem:

— Mania!

— Tomisława — Igor czytał już bez emocji. My na to:

— Mania!

— Igor, daj spokój. Chodzi nam o normalne imiona. Czytaj tylko te, które znamy i możemy zdrobnić — prosiłam.

Igor posłusznie wertował kalendarz.

— Chcecie znane? Proszę bardzo! Są tu i takie. Na przykład Telimena! — tryumfował.

— To dawno wyszło z mody — protestowała Magda. — Z Telimeny i tak wyjdzie nam Mania!

— W takim razie może Grażyna — proponował Igor, ostentacyjnie zamykając kalendarz.

— Grażyna, cud dziewczyna? — zastanawiał się Pechowiec.

— Petronela — poddała mu Magda.

— Z gumek strzela! — radośnie wołał mój mąż.

— Marta! — rzucił Igor.

— Nic nie warta! — odpowiedział mu Pechowiec.

— Małgorzata — wtrąciłam.

— Tra ta ta! Smarkata! — promieniał nasz poeta.

— Zosia! — próbowała Magda.

— Gospośia-samosia — Pechowiec sypał jak z rękawa. Zabawa nas wciągała.

Przekrzykiwaliśmy się nawzajem, a biedny

Pechowiec dwoił się i troił, wymyślając zabawne rymy.

201

Krystyna Śmigielska

— Beata!

— Smarkata!

- Nora!
- Miła od rana do wieczora.
- Gertruda!
- Ale nuda!
- Stanisława!
- Dobra zabawa.
- Krystyna!
- Jak malina!
- Jadwiga!
- Wiadra dzwiga!
- Marysia! — powiedziała Magda.
- A może jednak Krysia? - poważnie zastanawiał się Pechowiec.

Pomysł został zaakceptowany. Ustaliliśmy zgodnie, że nasze dziewczynki będą ochrzczone imionami: Krystyna i Maria (inaczej zwana Manią). Nie udało nam się jednak dojść do porozumienia, która ma być którą. Emocje rosły. Dyskusja trwała. Sprawa była poważna i nikt nie chciał ustąpić. Kiedy ja chciałam Krysię, Magda upierała się, że to jest najodpowiedniejsze imię właśnie dla jej córki, i na odwrót. Kiedy ona zgodziła się na Marysię, Pechowiec twierdził, że my mamy większe prawo do Mani, bo ciotka była na naszym weselu. Igor przyglądał się nam z dezaprobatą. W końcu przemówił głosem wyroczeni:

- „Najlepsza będzie droga, zdać się na los i Boga” — próbował zacytować. - Czy jakoś tak. Dokładnie nie pamiętam - usprawiedliwiał się. — Mogłem coś pomylić.
- Nieważne! Co przez to rozumiesz? — dopytywała się Magda.
- Pociągniemy losy — tłumaczył Igor.

202

Ty to głupia jesteś!

Chciałam sama wybierać między karteczkami, ale mężczyźni wzięli sprawy w swoje ręce. Ręka Pechowca wyciągnęła nam Krysię.

- Niech będzie Krysia — mówił zawiedziony Pechowiec. — Ładne imię...
- Nie martw się! — pocieszała go Magda. — W domu możecie mówić na nią Mania!
- Mam dla ciebie nowinę — krzyczał Pechowiec, zamykając drzwi.

— Rozbieraj się szybko i umyj ręce. Zaraz obiad — wołałam z kuchni.

Wynajęliśmy większe mieszkanie, ale Pechowiec upierał się, że powinniśmy zamieszkać u państwa Krajeńskich. Tłumaczył mi, że dziecko potrzebuje świeżego powietrza, a tam będę mogła wychodzić z nim na dwór. Nie pomagały moje tłumaczenia, że nie stać nas na dojazdy do pracy. Byłam pewna, że nowina dotyczy jego pertraktacji w sprawie wynajęcia całego piętra w willi z ogródkiem.

— Wyobraź sobie, że dzwoniłem dziś do Krajeńskich — mówił, całując mnie w policzek. — I zgadnij, z kim rozmawiałem?

— Z Betą? — spytałam zjadliwie.

Nikt inny nie przychodził mi do głowy. Znałam tylko panią Krajeńską i Betę, czyli matkę Cynii. Co prawda szczerze powątpiewałam, żeby to właśnie Beta odebrała telefon i przekazała Pechowcowi jakąkolwiek nowinę.

- Właśnie — zastanawiał się mój mąż. — Ty go przecież nie znasz.

Nie znam - przytaknęłam, podając mu talerz z zupą.

203

— To nic! Naprawimy ten błąd. Pamiętasz, jak upierałem się, że koniecznie musimy zaprosić mojego przyjaciela?

— Ty się upierałeś? To chyba niemożliwe — przekomarzałam się. — Kiedy to było?

— Chciałem zaprosić go na nasz ślub.

— Rzeczywiście, coś mi świta. I co? Nie zaprosiłeś go? Dlaczego?

— Zaprosiłem, ale był za granicą. Nie przyjechał. Szkoda. Ten przyjaciel to syn państwa Krajeńskich i kiedy zadzwoniłem...- zawiesił głos.

— Czekał, czekał, kochanie! Niech zgadnę! Zaraz, zaraz, zadzwoniłeś... mówisz, a tu w słuchawce odzywa się ten twój przyjaciel, syn państwa Krajeńskich, który właśnie wrócił z zagranicy!

— Mój ty kochany, ciężarny detektywie — śmiał się.

— Jak znamy już nowinę, możemy spokojnie zająć się drugim daniem — stwierdziłam, zbierając ze stołu talerze.

— Nie — powiedział niespodziewanie. — Drugie danie zjemy w restauracji. Jesteśmy zaproszeni na osiemnastą. Ubierz się ładnie. Podobno czeka na nas niespodzianka!

— To którą sukienkę mam nałożyć?— pytałam zgryźliwie. — Białą czy czarną? Informuję cię lojalnie, że w inne nie wchodzę.

— Rozrasta mi się kobieta, rozrasta — cieszył się Pechowiec. — W sobotę idziemy na zakupy. Obiecuję. Nałóż białą. Pięknie w niej wyglądasz i tak ślicznie podkreśla ci brzuszek.

— Mówisz, masz! A na zakupy już się umówiłam. Magda też się rozrosła — śmiałam się. Nie mieliśmy dużo czasu, zrezygnowałam więc z makijażu. Co mnie właściwie obchodzi jakiś obcy facet. Najchętniej zostałabym w domu. Po co on mnie ciągnie? O czym ja będę rozmawiała z młodym Krajeńskim, no chyba, że jest zagorzałym psiarzem. O psach mogę, czemu nie. Pechowiec postanowił uczcić to spotkanie i zamówił nam taksówkę. Zapowiadała się szampańska zabawa.

204

Ty to głupia jesteś!

Przeraziłam się dopiero, kiedy samochód zatrzymał się przed restauracją. Przed tą samą restauracją, w której spędziłam swoją wspaniałą randkę z Gwidonem Samozwaniec.

Wchodząc, zamknęłam na moment oczy i przypominałam sobie pięknego Apollina, który tu kiedyś na mnie czekał. Otworzyłam je i stanęłam ja wryta. Świat zawirował. Byłam bliska omdlenia. Pechowiec starał się ruszyć mnie z miejsca, ale wrosłam w podłogę jak stuletnie drzewo, którego nawet huragan nie wyrwie. To nie było deja vu, ani nawet fatamorgana. Gwidon Samozwaniec stał z bukietem róż w holu restauracji i uśmiechał się serdecznie. Zanim zdążyłam paść trupem, zbliżył się do nas, wręczył mi kwiaty i szarmancko ucałował moją bezwładną dłoń.

— Pięknie wyglądasz! Istna bogini! Cudownie cię widzieć — mówił, przyglądając się mojej bladej twarzy.

Następnie, bez cienia zmieszania, serdecznie uściskał Pechowca i gratulował mu szczęścia przy moim boku.

Myślałam, że śnię! Szczypałam się w ramię, w dłoń, w bok. Nic nie pomagało. Samozwaniec wciąż był z nami. Zaprowadził nas na salę i usadowił w miękkich fotelach przy okrągłym stoliku. Nie było sensu dalej się opierać. Uśmiechałam się niezręcznie i podziwiałam jego elegancki, nienaganny strój. Bardzo mi się spodobał beżowy golf do brązowej marynarki. Pomyślałam, że Pechowcowi też byłoby ładnie w takim ubranku. Muszę go namówić, może da się przekonać.

— Może wody? — Samozwaniec zainteresował się moją osobą. — Jak się czujesz?

— Dobrze! — jęknęłam cicho.— Poproszę wodę! Niegazowaną! Mój mąż w końcu zorientował się, że Gwidon Samozwaniec wcale

nie ukrywa naszej znajomości. Przyglądał mi się podejrzliwie. Poczułam się fatalnie. Zupełnie tak, jakbym go zdradziła. Nie wiem, dlaczego czepiał się mnie, a swojego serdecznego przyjaciela nadal obdarzał miłym uśmiechem.

205

Krystyna śmigielska

— Bardzo przepraszam, że nie mogłem być na waszym ślubie — tłumaczył się grzecznie Gwidon Samozwaniec. — Naprawdę przykro mi z tego powodu. Mam dla was spóźnioną niespodziankę — mówiąc, schylił się pod stół.

O, nie! Tego już nie przeżyję! Jeszcze jedna niespodzianka! Niepotrzebnie się fatygował, sam był najlepszą niespodzianką. Prędzej bym diabła się spodziewała niż jego! Ciekawe, co wyciągnie z kapelusza? Może królika? Nie pomogła nawet szklanka zimnej wody. Nie mogłam odzyskać równowagi ducha. Mój domyślny mąż w końcu zdobył się na heroiczny wyczyn i zapytał bez ogródek:

— Wy się znacie?

— Znamy. Gdyby nie to, że Irmina tak bardzo cię kocha, nigdy nie oddałbym jej innemu — spokojnie mówił Gwidon Samozwaniec.

Zamarłam. Co on wyczynia? Pechowiec mnie zostawi! Zostanę sama, z dzieckiem na ręku!

O, nie, mój drogi panie! Tak dobrze nie będzie! Zaprosiłeś nas tu, żeby rozbić nasze małżeństwo? Nigdy na to nie pozwolę! Poczułam, jak krew zaczyna szybciej krążyć w moich żyłach. Bronić się! Bronić małżeństwa! Bronić Pechowca!

— Owszem, znamy się! Prawda, Gwidonie? — cedziłam przez zaciśnięte zęby. — Przyjacielu? Ładny przyjaciel! To on jest Samozwańcem! To on podawał się za ciebie i chciał mnie zbałamucić — krzyczałam na całą salę.

Sama zdziwiłam się, że stać mnie było na takie wystąpienie. Zbałamucić? Też coś! Skąd u licha znam takie słowa?

Gwidon Samozwaniec nie wystraszył się mojej napastliwości. Ciągłe uśmiechnięty, mówił czule, delikatnie unosząc moją rękę do swoich ust.

— To prawda, Irminko! Chętnie bym cię zbałamucił. Pamiętasz mojego e-maila? Wszystko ci wyjaśniłem. Spotkałem się z tobą, ponieważ bardzo chciałem pomóc przyjacielowi.

Widziałem, jak prze-

206

Ty to głupia jesteś!

■ t y .naiomość z Wackiem. Nie mógł się pogodzić z tym, że żywa two)ą znjornos^:r
^ ^ ^ ^ bym dę

ZZTZ^^ -bi. Możesz wierzyć albo ni,

^LZZJ^y^ przyjaciółmi. Zresztą nic by z tego ,tak

Г w twoich oczach widziałem jego odbicie. I co, kłamałem? me było. W twoKoczac
^^ ^.^

do innego. MO) P n.e ma zasługi _ zakonczył.

1 SZCZĘSUWy- S*t uwierzyć - przyznał się Pechowiec. - Podałeś

epoki - rozczulał się. Namiętnie' - pomyślałam.

Rłaoł hłasał! Jeszcze jak błagał! Namiętnie. FJ

TniCZTn~S— ZU l i -6W zasw.ec* chmury na naszym^małże

^^ Яц,,,

stonce. Gwidon Samozwan c €Y ^ ^

„y, ешгспиап, n,an2 ^*m ,J ^ ^

W-f "8 ' 1 Pectawto" „ieli. mi dyspensy i pozwoli) wypić toe-^Γar aΓΓaa^ty do domu we
wspaniaiyh nastro|ac Γ.1 wTePOwidon samozwaniec spojrzą, na to, brzusz* , za-
pytał:

Chłopiec czy dziewczynka'

ZatrZy'r<tanto pocałował mnie w policzeR. Jak do tej pory

małam. Musiałam go zapytać, jak ci właściwie na imię? I Gwidon! «wie caMem poważnie.
Pokaże c paszport - za-
proponował.

Krystyna Śmigielska

— Pokaż! — nie mogłam uwierzyć.

Pokazał. Jeszcze raz się pożegnaliśmy. Taksówka z Gwidonem odjechała pustą o tej porze
ulicą. Pechowiec objął mnie ramieniem. Ja i Pechowiec. Dwie połówki jabłka.